



NOWA SERIA AUTORKI ZAPŁĄTANYCH

# Emma Chase

## *Ułaskawienie*

W KOŃCU NAWET PRAWNICY MOGĄ SIĘ ZAKOCHAĆ...



*Brief* seria  
*Legal Briefs*



# Emma Chase

## *Ułaskawienie*

*Legal* <sup>seria</sup> *Briefs*

Przełożyła  
Katarzyna Agnieszka Dyrek

**FILIA**

*Dla wszystkich dziewczyn z sąsiedztwa*

*i chłopaków, którzy je kochają.*

# 1

– Ty parszywy draniu!

Kennedy siada i patrzy na mnie, jakby w ogóle mnie nie poznawała. Co jest dziwaczne, biorąc pod uwagę, że jesteśmy nagusieńcy w moim łóżku. Jeszcze chwilę temu dogłębnie badaliśmy każdy centymetr naszych ciał.

Jednak najbardziej niepokoi mnie ton jej głosu – powściągliwy, zabarwiony ledwie powstrzymanym gniewem zmieszany z bólem.

Jakbym skradł powietrze z jej płuc, jakbym uderzył ją w brzuch.

Słowa mnie nie martwią. Obelgi są naszym flirtem. Kłótnia – grą wstępną. Pewnego razu tak się zapędziła, że zamachnęła się na mnie, na co mój fiut zareagował niezaprzeczalną erekcją.

To nie jest aż tak pokręcone, jak się wam wydaje. W naszym przypadku się sprawdza.

Przynajmniej sprawdzało się jeszcze dziesięć sekund temu.

– Czekaj. Że co? – pytam, szczerze zaskoczony.

Myślałem, że będzie wdzięczna. Zadowolona. Może zaoferuje zrobienie mi loda, by okazać uznanie.

Oczy błyszczą jej niebezpiecznie, więc myśl o dopuszczeniu jej w okolice mojego krocza odpływa niczym mała rybka w wielkim

akwarium. Tej kobiety nie wolno lekceważyć, jest siłą, z którą należy się liczyć. Łamie serca i miażdży jaja.

– Cały czas to planowałaś, prawda? Wkręcać mnie, usypiać

fałszywym poczuciem bezpieczeństwa, bym przestała się pilnować po to, żebyś mógł wygrać ten proces – syczy.

Próbuje wstać, ale chwytam ją za rękę.

– Myślisz, że mam na tyle potężnego fiuta, by zmienić cię

w kretynkę? Ooo, skarbie, naprawdę mi to schlebia, ale nie muszę się sprzedawać, by wygrywać w sądzie. Świrujesz bez powodu.

– Spieprzaj!

Kiedyś potrafiłem postępować z kobietami.

Jeśli do gry wchodziło słowo „pieprzyć”, zawsze słyszałem po nim „mnie”, uzupełniane wyrazami takimi jak: „mocniej”, „błagam” i, moi drodzy, „więcej”.

To były czasy...

Wyszarpuje mi się i wyskakuje z łóżka, z furią zbierając

porozrzucane po podłodze ubranie. A ponieważ robi to nago, pochylając się i kołysząc wszystkimi krągłymi kształtami, muszę patrzeć. Na jej tyłku widać ślady zębów – moich zębów. Skóra nie jest przecięta,

zostały zaledwie różowe punkciki. Możliwe, że w nocy trochę mnie

poniosło, ale jej tyłeczek jest cholernie słodki, okrągły i stworzony do gryzienia.

Biorę leżącą na stoliku nocnym protezę i zakładam ją na kikut

lewej nogi. Tak, obcięto mi ją poniżej kolana, gdy byłem dzieckiem –

amputacja podudzia, jeśli potrzebny wam medyczny termin. Wrócę do

tego później, ponieważ kobieta nie chce czekać. Właściwie to w niej

lubię – nigdy nie ustępuje. Nie myśli o tworzeniu specjalnych układów lub traktowaniu mnie inaczej niż w pełni sprawnego człowieka.

Najwyraźniej w tej właśnie chwili ma mnie za kompletnego kutasa.

Zapinam mocowanie protezy i wstaję w chwili, w której Kennedy

znajduje swój but w kącie, dokładając go do trzymanego w rękach stosu.

– Uspokój się, kotku – mówię stonowanym głosem.

– Nie nazywaj mnie tak! – warczy. – Uzgodniliśmy, że nie

będziemy mówić o procesie, taką zawarliśmy umowę.



Podchodzę, unosząc dłonie, co jest ogólnościowym znakiem  
pokoju.

– Zgodziliśmy się na wiele rzeczy, które nie są już aktualne,  
cukiereczku.

Jej nozdrza falują na to pieszczotliwe określenie. Najwyraźniej  
muszę dodać „cukiereczka” do listy wyrażen zakazanych, a wielka  
szkoda. Pasuje do niej.

– Poruszyłem ten temat jedynie dlatego, że chciałem ci pomóc.

Postanowione: jestem pieprzonym kretynem. Ze wszystkich złych  
rzeczy, które mogły wyjść z moich ust, ta jest najgorsza.

– Myślisz, że potrzebuję twojej pomocy, protekcyjony  
obciążacz?!

Odwraca się w kierunku drzwi, ale chwytam ją za rękę.

– Puszczaj. Wychodzę.

Chciałbym odpowiedzieć starym, dobrym: „Jeszcze czego” lub

bardziej bezpośrednim: „Nigdzie nie pójdziesz”, ale obydwa te zwroty mają bardzo rozkazujący  
wydźwięk. A nie chcę tego rozgrywać w ten  
sposób.

Zamiast tego wyrywam jej ubranie z rąk i podchodzę do okna.

– Co ty...? Nie!

Za późno.

Jej spódnica od projektanta, jedwabna bluzka bez rękawów

i czerwona koronkowa bielizna unoszą się przez chwilę, po czym

spadają na pobliską ulicę. Biustonosz zaczepia się o antenę

przejeżdżającego samochodu i powiewa majestatycznie, oddalając się od nas, niczym flaga na pojeździe  
dyplomaty pochodzącego

z niesamowitego kraju zwanego Cyckolandią.

Czuję, że powinien zaszalutować.

Zamykam okno, krzyżuję ręce na piersi i się uśmiecham.

– Jeśli teraz wyjdiesz, biedny Harrison zostanie naznaczony na całe życie. – Harrison to mój lokaj. Ponownie – wrócę do tego później.

– Ty sukinsynu!

Pięści kierują się w stronę mojej twarzy. Te wszystkie lata nauki

baletu dodały jej szybkości, zwinności i gracji. Jednak, mimo że jest szybka i ma silną osobowość, mierzy również jedynie nieco ponad metr pięćdziesiąt. Zatem, zanim może wyprowadzić cios lub pomyśleć, by

wbić kolano w mój nabiół, z łatwością rzucam ją na łóżko. Siadam na

niej okrakiem, pochylając się, by przytrzymać jej ręce nad głową. Mój członek, gorący i twardy, ociera się o jej gładką skórę tuż pod piersiami, co przywodzi mi na myśl kilka cudownych pomysłów – jednak one

również będą musiały poczekać.

*Szkoda.*

Spoglądam na nią.



– A teraz, pączuszk, pozwól, że dokończymy naszą rozmowę.

To przezwisko również jej pasuje. Jej skóra jest miękka i kremowa niczym pączek w lukrze. A jej zapach, *Jezu*, smak – słodki i delikatny – przywodzi na myśl świeżego pączka z cukierni.

Kosmyki blond włosów prześlizgują się po jej obojczyku, gdy rzuca się pode mną, poddając mojemu fiutowi jeszcze kilka ciekawych pomysłów.

– Pieprz się! Skończyłam z gadaniem.

– Dobrze. Może więc zamkniesz śliczne usteczka i posłuchasz?

Zawsze mogę cię zakneblować.

I tak mógłbym użyć knebla, ale tylko dla zabawy. Prawdopodobnie mógłbym w tym celu wykorzystać jej majtki.

– Nienawidzę cię!

Parskam śmiechem.

– Nie, wcale nie.

Piorunuje mnie spojrzeniem brązowych oczu, zupełnie jak lata temu.

– Nie powinnam ci ponownie zaufać.

Trzymając jej ręce nad głową, pochylam się nieco i rozkoszuję widokiem.

– Gówna prawda. To najlepsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłaś. A teraz słuchaj, kwiatuszku...

Wyznamę wszystko, co powinienem powiedzieć wiele dni temu. Nie

– lat...

*Miesiąc wcześniej*

– Miałem wczoraj dziwny sen. – Chodzę za kanapą, ściskając piłeczkę tenisową. Kiedy docieram do końca, odbijam piłkę o ścianę, chwytam ją jedną ręką, po czym zawracam i idę w drugą stronę.

W ruchu lepiej mi się mówi i myśli. – Byłem na plaży... Przynajmniej wydaje mi się, że to była plaża, bo nie pamiętam wody. Ale był piasek, kopałem w piasku...

*Odbicie, chwyt, obrót.*

Niektórzy uważają spotkania z psychoanalitykiem za oznakę

słabości – jednak nie mogliby mylić się bardziej. Trzeba mieć wielkie, stalowe jaja, by odkryć przed kimś swoje myśli. Obawy, błędy, zboczone pragnienia. To niczym siłownia dla duszy. Zmusza do zobaczenia

samego siebie – swojego prawdziwego ja.

Uważam, że w tym tkwi problem – większość ludzi nie chce

poznawać samych siebie. Wolą wierzyć, że są osobami, za które uważają ich inni, a nie samolubnym, zboczonym palantem, który naprawdę

w nich żyje.

– Piasek był wyschnięty, biały, beżowy i czarny, ale kopałem dalej.

Nie wiedziałem, czego szukam, ale gdy to znalazłem, wiedziałem, że to właśnie to.

*Odbicie, chwyt, obrót.*

– To był rubin. Rubin zakopany w piasku. Ale to nie była

najdziwniejsza rzecz. Kiedy próbowałem go podnieść, wciąż wymykał

mi się z palców. Bez względu na to, jak mocno się starałem, jak bardzo je zaciskałem, nie potrafiłem go podnieść. Cholernie popieprzone, co, Waldo?

Mój terapeuta nazywa się Waldo Bingham. To cichy,

zamyślony gość, kilka lat przed emeryturą. Inni pacjenci nazywają go doktorem Binghamem lub, w skrócie, doktorem Bingiem, ale ja lubię jego imię. To najbardziej wypasione imię, jakie ktokolwiek mógłby

nosić. Jeśli nazwiecie syna Waldo, będziecie musieli zapytać, jak w tej grze: „Gdzie jest Waldo?”. A to szalenie zabawne.

Mężczyzna przygląda mi się cierpliwie. Zdejmuje staromodne

okulary w grubej ciemnej oprawie i chusteczką powoli czyści ich szkła.

Od lat, odkąd do niego przychodzę, stosuje tę samą strategię. Czeka, dając mi czas, bym sam sobie odpowiedział.

*Odbicie, chwyt, obrót.*

Ale tym razem jestem zdeterminowany, by usłyszeć jego

profesjonalną odpowiedź. *Co, do cholery, oznacza ten sen, Waldo?*

W końcu mruga.

– Myślałem, że będziemy rozmawiać o tym, dlaczego

wykorzystujesz seks, by uniknąć intymności.

Przewracam oczami.

– Seks, seks, seks, tylko o tym wy, wyznawcy Freuda, chcecie rozmawiać. Tylko tym dla ciebie jestem? Kawałkiem mięsa? Fiutem na dwóch nogach? Cóż... – Śmieję się, stukając w plastikową protezę. – ...na jednej nodze. Żona znów ci nie daje?

Pisze coś na trzymanej na kolanach podkładce.

– Możemy dodać również to, w jaki sposób wykorzystujesz

sprośny humor do odwrócenia uwagi od rzeczy, które cię onieśmielają, do listy przyszłych tematów, które powinniśmy omówić.

*Odbicie, chwyt, obrót.*

– Nie, po prostu taki ze mnie żartowniś. Życie jest zbyt poważne,

nie mam zamiaru mu się poddać. Poza tym myślę, że mylisz się co do tej intymności. Pieprzenie z natury jest intymne.

– Nie w sposób, w jaki ty to robisz.

– Osądzasz mnie, Waldo?

*Tak, musiałem ponownie wypowiedzieć jego imię.*

– Chcesz, żebym cię osądzał, Brent?

– Uważasz, że powinienem chcieć, żebyś mnie osądzał?

Chodzę na terapię od dziesiątego roku życia – mogę tak kluczyć przez cały dzień.

– Myślę, że wykorzystujesz sen, by odsunąć rozmowę o tym, że za pomocą seksu unikasz intymności.

– Nie, to tylko namieszało mi w głowie. Chcę wiedzieć, co oznacza.

*Odbicie, chwyt, obrót.*

Waldo wzdycha. Poddaje się i mówi:

– Sny są odbiciem naszej podświadomości. Wyrazem uczuć

i pragnień umysłu, do których nie chcemy się przyznać. Nie ma

znaczenia, co oznacza dany sen, liczy się jedynie to, co oznacza dla ciebie. Jak sam uważasz?

Pierwsze przychodzi mi na myśl, że umysł podświadomie sugeruje,

że potrzebne mi są wakacje. Wyjazd w jakieś ciepłe, tropikalne miejsce, gdzie znajdę drinki z parasolkami i kobiety w skąpych bikini.

Albo, jeszcze lepiej, toples.

To za proste. Sen był inny. Wydawał się... ważny.

– Chyba oznacza to, że czegoś szukam.

Waldo zakłada okulary.

– I?

– I kiedy to znajdę, nie będę w stanie tego zatrzymać.

Przytakuje. Niczym dumny ojciec.

– Uważam, że masz rację.

*Odbicie, chwyt, obrót.*

Właśnie z tego powodu terapia jest zajebista. Przez te cztery słowa

pochwały czuję się silny – pewny siebie i kompetentny. Może nie wiem, co mnie czeka, ale jestem pewien, że cokolwiek to będzie, dam sobie

z tym radę.

– A teraz... wracając do twoich problemów z intymnością.

Jęczę gardłowo – marudząc jak dzieciak, który musi siedzieć przy

biurku i odrabiać zadanie domowe. Siadam na kanapie i zarzucam jedną rękę na jej oparcie.

– Dobra. Dawaj, mistrzu.

Tłumiąc uśmiech, zerka w swoje notatki.

– Wspominałeś, że Tatianna wróciła w zeszłym tygodniu do

miasta. Widziałeś się z nią?

Tatianna to stara przyjaciółka. W biblijnym znaczeniu tego słowa.

Jest również prawdziwą księżniczką. Gdyby Disney kiedykolwiek kręcił

porno, Tatianna byłaby jego muzą. Nie stoi na czele kolejki do tronu, ale jej krew z pewnością jest błękitna. A jedyne, co potrafią wyższe sfery, to imprezować.

– Widzieliśmy się, tak.

– I jak było?

Zakładam ręce za głowę i strzelam karkiem.

– Przyszła. Wyszła.

Właściwie w międzyczasie przeżyliśmy gorące chwile. W łóżku,

w kuchni, w ogrodowym jacuzzi. Było fajnie.

Waldo kiwa głową.

– Mówiłeś, że Tatianna jest zaręczona?

– Zgadza się. Następnym razem, gdy odwiedzi Amerykę, będzie miała tytuł księżnej.

W dzisiejszych czasach jedynym obowiązkiem wysoko

urodzonych jest pilnowanie, by fortuna została w rodzinie –

produkowanie dziedziców i dziedziczek, którzy mogliby przejąć spadek.

Co, niestety, dla mnie i Tatianny oznacza koniec zabawy.

– Twój partner w interesach, pan Becker, również się zaręczył?

– Tak, trzy miesiące temu. Nie postradał jeszcze wszystkich zmysłów, ale jest cholernie blisko.

Niewiele jest na tym świecie śmieszniejszych rzeczy, niż

przyglądanie się, jak Jake Becker – wielki, silny typ – zostaje zmuszony do wybierania kwiatowych aranżacji na stół na swoje zbliżające się

wesele.

– A pozostali partnerzy, pan Shaw i pani Santos spodziewają się

narodzin pierwszego dziecka?

Ponownie przytakuję.

– Tak, chłopca. Małego Beckera Masona Santosa Shawa.

To nazwa naszej kancelarii prawnej – w której wszyscy jesteśmy partnerami, obrońcami w sprawach karnych. Uważam, że pierwsze dziecko urodzone w nowej firmie powinno nazywać się jak ona. Nie przekonałem do tego jeszcze Sofii i Stanton, ale pracuję nad tym.

Chociaż, jeśli się nad tym zastanowić, może woleliby imię Waldo?

– Jak się z tym czujesz, Brent? Tylu ludzi w twoim najbliższym otoczeniu bierze ślub, ma dzieci, rozwija się w życiu.

– Uważam, że to super. Cieszę się z ich powodu. To znaczy, jeszcze w tamtym roku Jake był zatwardziałym kawalerem, Mrocznym Rycerzem, samotnym w swojej nietoperzowej jaskini, w dodatku bez Vicki Vale. Ale w tej chwili ma wspaniałą kobietę i chatę pełną dzieciaków. Jest szczęśliwszy niż kiedykolwiek przedtem.

Waldo zapisuje coś na podkładce.

– A ty chciałbyś tego w życiu? Żony, dzieci?

Mrużę oczy.

– Moja matka znowu do ciebie dzwoniła?

– Jak co miesiąc. – Waldo wzdycha i pociera czoło. – Ale wiesz, że nie rozmawiam z nią o naszych sesjach.

Mamuńcia prawdopodobnie sama powinna umówić się na terapię – biorąc pod uwagę to, że w zeszłym miesiącu poprosiła swojego lokaja

Hendersona, by zgromadził informacje na temat tego, jak ma adoptować wnuka, ponieważ ja – jej jedyny syn – ociągam się w obowiązku

zapewnienia jej potomka. Nie ma to jak jazda na wyrzutach sumienia.



Pochyłam się, opierając łokcie na kolanach.

– Dobra, chodzi o to, że cieszę się z ich powodu, ale myślę też, że

zostali uwięzieni. Związani przez odpowiedzialność. A ja, mimo iż

mocno angażuję się w pracę, wciąż mogę lecieć do Szwajcarii poskakać na bungee, czy połowić ryby na muchę w Nowej Zelandii. Za pomocą

jednej rozmowy telefonicznej mogę umówić się z dwiema dziedziczkami

hotelowej fortuny na seks na wszystkie sposoby, po czym odpoczywać,

obserwując, jak zajmują się sobą.

Dla waszej wiedzy: w gabinecie psychoterapeuty termin „za dużo

informacji” nie obowiązuje.

– Gdyby nie obowiązek wobec rodziny, całe życie mógłbym

wpadać do domów przyjaciół i być ulubionym wujkiem ich dzieci. –

Otwieram szeroko ręce, by podkreślić geniusz mojej teorii. – Same

plusy, zero minusów. Życie jest krótkie, chcę je wykorzystać. I naprawdę lubię wolność.

Waldo zastanawia się przez chwilę, po czym mówi:

– Mmm...

I cisza.

– „Mmm” co? – pytam. – Wydawało mi się, że już dawno

skończyliśmy z „mmm”, Waldo.

Bębni końcem długopisu o wargi.

– Cóż, to oczywiste, że wierzysz w to, co mówisz. Uważasz, że

pragniesz tego egoistycznego, wolnego od odpowiedzialności stylu

życia. Podobnie jak Pinokio chciał odciąć swoje sznurki i stać się

prawdziwym chłopcem.

– Ale?

Zawsze jest jakieś „ale”.

– Ale w duchu zastanawiam się, czy nie wyolbrzymiasz tej teorii.

Czy przypadkiem, w głębi serca, nie pragniesz od życia czegoś więcej.

Zobowiązanie nie zawsze jest ciężarem, Brent. Może być również źródłem niewyobrażalnej radości i satysfakcji.

Oczyszczam umysł i przeszukuję go – w sposób, w który Luke

Skywalker robił to, gdy Obi-Wan uczył go o Mocy.

Nie – nic nie ma.

– Mylisz się w tym przypadku.

Wzrusza ramionami.

– Zatem zapytaj samego siebie: czy według ciebie twoi „związani”  
przyjaciele śnią o zakopanych w piasku rubinach?

Wspominałem już, że Waldo potrafi być też przebiegłym  
sukinsynem?

Widywałem swoje nazwisko na bibliotekach, szpitalach i tego typu

instytucjach, ale szczególną radość odczuwam, widząc je nad drzwiami kancelarii prawnej Becker, Mason, Santos & Shaw. Ponieważ jest moje, nie rodzinne, i sam na to zapracowałem. Kiedy dorastacie w cieniu

dokonań waszych przodków, osiągnięcie czegoś samemu jest naprawdę znaczące.

Jessica, nasza wakacyjna pomocnica – znana także jako stażystka –

wita mnie z błyszczącymi oczami i stosem wiadomości.

– Dzień dobry, panie Mason.

Biorę korespondencję, unikając kontaktu wzrokowego i pilnując

neutralnej miny. To wypraktykowane posunięcie. Ponieważ stażystki są nienasycone, chętne i gotowe zaatakować od tyłu.

I to prawda w przypadku Jessiki.

Sposób, w jaki patrzy, w jaki niechący ociera się piersiami o moje

ramię i w jaki wchodzi do mojego gabinetu, gdy pracuję do późna,

podpowiada mi, że jest gotowa służyć w każdy możliwy sposób.

A Jessica nie jest przeciętnie wyglądającą stażystką. Jest wysoka, ruda i ma biodra, które każdy mężczyzna chciałby trzymać w pozycji na

pieska. Jest seksowna.

Ma też dwadzieścia cztery lata.

Nie wiem, od kiedy dwadzieścia cztery to za mało – po prostu tak

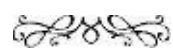
jest.

– Dziękuję, Jessiko.

Wchodzę schodami na górę. Ciemne drewniane podłogi,

eleganckie listwy wykończeniowe i stonowane zasłony dodają temu

miejscu profesjonalnego wyglądu, jak i historycznej elegancji. Dwa



biurka – jedno zajęte przez sekretarkę, panią Higgens, a drugie przez naszą asystentkę – są ustawione przy przeciwległych ścianach, podobnie jak dwie długie brązowe skórzane kanapy dla gości stojące naprzeciwko siebie.

Kiwam głową pani Higgens i idę do siebie popracować przez resztę popołudnia.

O szesnastej wysuwam głowę zza drzwi, by poprosić do środka

klienta, Justina Longhorna. Jest typowym lalusem – ma zmierzwiłone

brązowe włosy, poszarpane rurki i stylizowaną na starą koszulkę z logo Nirvany, a jego kciuk nieustannie przesuwa się po ekranie najnowszego iPhone'a.

Zanim mam szansę się z nim przywitać, zauważam w korytarzu

szesnastoletnią Riley McQuaid. Podczas wakacji pracuje u nas

w niepełnym wymiarze godzin jako pomocnica. Riley jest najstarsza

z sześciorga dzieciaków McQuaidów.

Dzieciaków McQuaidów Jake'a.

Jeśli jeszcze nie rozumiecie, za chwilę się połapiecie, ponieważ

następna scena przypomina oglądanie wypadku samochodowego

w zwolnionym tempie.

Albo taniec godowy młodych strusi. Na YouTube można znaleźć

naprawdę dziwne rzeczy.

Para ocenia się wzrokiem, wodzi spojrzeniami od czubka głowy, aż

po okryte podobnymi Conversami stopy.

Justin unosi podbródek.

– Cześć.

Riley zakłada brązowe loki za ucho.

– Cześć.

Nie może wyjść z tego nic dobrego. I nie ja jeden tak uważam.

– Czeeeść – mówi Jake niskim, groźnym głosem z drzwi swojego gabinetu, stojąc ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i błyskiem w szarych oczach.

Jake Becker to kawał faceta i jeden z moich najbliższych kumpli.

Potrafi też być cholernie nadopiekuńczym sukinkotem, jeśli tego zechce.

Gniewne spojrzenie, jakie posyła mojemu klientowi, mogłoby doprowadzić do łez dużo starszych, większych mężczyzn.

Jednak Justin go nie zauważa – ponieważ jest zbyt zajęty obczajaniem Riley.

– Mam dla ciebie robotę, Riley. – Jake wskazuje palcem przez ramię. – W moim gabinecie.

– Dobrze. Już idę. – Ale się nie rusza, przynajmniej nie od razu.

Przygryza najpierw dolną wargę, patrząc na Justina, po czym rzuca klasyczne: – Na razie.

Justin kiwa głową.

– Z pewnością.

*Ha.* Nigdy nie podejrzewałem Justina o skłonności samobójcze.

Jednak najwyraźniej je ma.

Riley przechodzi obok Jake'a, wchodząc do gabinetu, jednak mężczyzna się nie rusza, nadal piorunuje chłopaka lodowatym spojrzeniem. Młody najwidoczniej nie ma silnego instynktu samozachowawczego, ponieważ unosi podbródek i pyta tępo:

– Co tam?

Twarz Jake'a jest przyjazna jak cegła.

Czuję się odpowiedzialny za Justina. Jest moim klientem, więc moim zadaniem jest utrzymywanie go z dala od pudła i krat – no i wiecie – przy życiu.

– Jake, zajmę się tym. Wyjaśnię... pewne sprawy.

– Będę wdzięczny – mówi cierpko, po czym znika u siebie bez kolejnego spojrzenia w kierunku Justina.

Wprowadzam nastolatka do swojego gabinetu i zamykam za nim drzwi.

– Kto to... – zaczyna pytać.

– Nie – ostrzegam. Wskazuję fotel. – Siadaj.

– Ale...

– Przestań – gramię, przyciągając jego uwagę. Na co dzień jestem wesoły, beztroski i wyluzowany. Ale czasami mi przechodzi. Kiedy to następuje, dostaję to, czego chcę. Justin siada.

Zajmuję miejsce za biurkiem.

– Oglądasz *Grę o tron*, Justin?

– Tak, jasne – odpowiada, ściągając brwi.

– Pamiętasz odcinek, w którym jeden gość zmiażdżył głowę drugiego gołymi rękami?

– Noo...?

Wskazuję na drzwi.

– Myśl dalej o tej dziewczynie w sposób, w jaki robiłeś to jeszcze chwilę temu, a taka właśnie czeka cię przyszłość.

Opiera się na krześle, rozważając moje słowa i prawdopodobnie wyobrażając sobie niesamowicie brutalną scenę, która śmiertelnie

przeraziła widzów na całym świecie.

Jednak chłopak jest nieustępliwy, muszę mu to przyznać, bo nadal próbuje:

– Ale ja...

– Jesteś siedemnastoletnim hakerem, który został oskarżony przez federalnych o kradzież, wirtualne oszustwo i szereg innych rzeczy.

Bądźmy szczerzy, Justin, jesteś cholernie winny. – Ponownie wskazuję na drzwi. – Ta dziewczyna to córka mojego partnera. Najstarsza córka.

Chwytasz? – Kładę ręce na biurku, po czym powoli zaciskam je w pięści. – Wyciśnie cię jak cytrynę.

Justin nie jest złym dzieciakiem. Jest bystry, zabawny. Przypomina

mi Matthew Brodericka z *Gier wojennych* – nie zdawał sobie sprawy, że wpadł w gównno po uszy, aż było za późno. Ale Riley jest moją

przybraną bratanicą, więc żaden dzieciak, który „może być sądzony jak dorosły” w żadnej chwili jej życia nie będzie mógł się do niej zbliżyć.

Przechodzę od razu do ostatecznego ostrzeżenia:

– A zanim wpadniesz na jakieś pomysły zaczerpnięte rodem

z *Gwiazd naszych win*, pamiętaj, *Romeo i Julia* to nie romans. To tragedia. Oboje umierają.

Jeszcze raz zerka na drzwi, po czym wyraźnie przytakuje.

– Kumam, szefie.

– Dobrze. – Przysuwam fotel. – A teraz porozmawiajmy o twojej sprawie. Gdzie twoja matka?

Justin wzrusza jednym kościstym ramieniem.

– Zadzwoił jej prawnik i musiała jechać. Wrócę do domu autobusem.

Rodzice Justina właśnie się rozwodzą. Tak na poważnie. Nie potrafią przebywać w tym samym pomieszczeniu, ani nawet

uczestniczyć w konferencji telefonicznej. Jego matka jest zgorzkniała, a ojciec to gnojek. Oboje są egoistami, zaskakująco niezainteresowanymi niczym, co dotyczy ich syna.

Co odpowiada na pytanie, dlaczego młody włamał się do międzynarodowego systemu bankowego. Mądry dzieciak plus beznadziejni rodzice to na bank kłopoty.

I nawet jeśli jego proces startuje za kilka dni, głowy jego starych wciąż tkwią w ich własnych tyłkach. To smutne.

– Do twojej sprawy został przydzielony jakiś nowy oskarżyciel. –

Spoglądam na dokumenty leżące na biurku. – K.S. Randolph. Nigdy o nim nie słyszałem, ale mam zamiar się z nim spotkać, by omówić warunki ugody.

Justin kiwa głową, ręce trzyma złożone na brzuchu.

– Zawiasy, prawda? Ponieważ to moje pierwsze przewinienie.

– Zgadza się. I dlatego, że nie wydałeś pieniędzy, które zabrałeś.

Nie chcę, żebyś się martwił, Justin. Nie wejdiesz nawet na salę rozpraw, okej?

– Dzięki, Brent. – Wypuszcza powietrze i się pochyla. – Serio. Nie mówiłem wcześniej, ale jesteś dla mnie... superbohaterem. Dziękuję.

Pierwszy komiks kupił mi tata. Przywiózł go do szpitala po

wypadku samochodowym, po którym amputowano mi połowę lewej

nogi. Był to pierwszy numer Supermana, wart w tym czasie jakiś milion dolców. Pokazał mi go, rozerwał foliową torebkę, która chroniła jego wartość, i przeczytaliśmy go razem.

Ponieważ, jak powiedział, czytanie go wraz ze mną było dla niego cenniejsze niż ten milion.

Stałem się więc nałogowym czytelnikiem i kolekcjonerem.





W miesiącach zaraz po operacji czas szybciej leciał właśnie dzięki

komiksom, ponieważ mogłem skupiać się na czymś innym niż ból

i strata. I – tak między nami – bohaterowie w tych komiksach

przemawiali do mnie. Rozumiałem, skąd się brali. Ponieważ każdy

z nich przeżył coś straszego, okropnego. Ale wyszli z tego, nie tylko czując się dobrze, ale też stali się dzięki temu lepsi.

Właśnie tego chciałem dla siebie. Właśnie w ten sposób

postanowiłem potraktować utratę kończyny. Była to rzecz, dzięki której byłem lepszy, niż gdyby wypadek w ogóle nie miał miejsca.

Zatem myśl, że Justin nawet nie wie, ile znaczą dla mnie jego

słowa, jest dla mnie czymś naprawdę wielkim.

– Dlatego tu jestem, młody.

Kiedy byłem mały – jeszcze przed wypadkiem – cechował mnie

nadmiar energii. Największą karą, jaką mogła wymyślić mi niania, było siedzenie nieruchomo w kącie. Nie mając na co patrzeć. Co robić.

Czułem się wtedy jak małpa laboratoryjna w klatce i dostawałem szału.

Ta sama cecha towarzyszy mi również w dorosłym życiu. Właśnie

dlatego codziennie biegam po piętnaście kilometrów, dlatego od razu po wyjściu z łóżka robię pompki i przysiady. Dlatego też mam w pracy

w biurku przyrządy do ćwiczenia palców, które ściskam, gdy dyktuję

jakieś pismo, czy rozmawiam przez telefon. Dzięki temu mam mocne,

twarde ciało i niebywałą wytrzymałość.

Kobiety naprawdę cieszą obie te rzeczy i, o rany, potrafią to

docenić.

Również dlatego, choć mam lokaja, który jest jednocześnie moim

szoferem, każdego dnia chodzę do pracy na piechotę.

Jest ciemno, gdy przestępuję próg swojego domu, urządzonego

dość pretensjonalnie i, choć mikroskopijnego w porównaniu z posiadłością, w której się wychowywałem, będącego w sam raz dla

kawalera, znajdującego się przy ulicy, przy której mieszkają sami młodzi profesjonaliści jeżdżący BMW i hybrydowymi leksusami.

Cóż, jestem kawalerem, a lokaj jest moim wiernym towarzyszem.

Jestem na tyle męski, by nie wstydzić się zawołać:

– Kochanie, wróciłem.

Tylko po to, by go wkurzyć.

Ponieważ, Brytyjczyk czy też nie, Harrison jest poważniejszy niż jakikolwiek dwudziestodwulatek być powinien. To syn lokaja moich rodziców, Hendersona. Kiedy postanowił pójść w ślady ojca – i ponieważ moja matka nadal mdleje na myśl o tym, że miałbym mieszkać sam – z przyjemnością wziąłem dzieciaka pod swoje skrzydła.

A teraz, gdy jest ze mną, mam nadzieję go rozkręcić.

Harrison bierze ode mnie aktówkę.

– Witam w domu, sir.

Unoszę brwi, czując się dokładnie jak rodzic, który po raz setny musi przeprowadzić tę samą rozmowę ze swoim nastoletnim dzieckiem.

Zastrzelcie mnie, gdy nadejdzie dzień, kiedy pozwolę komukolwiek nazywać mnie „sir”.

Zamyka brązowe oczy, po czym znów na mnie spogląda.

– Brent. Chciałem powiedzieć: „Witaj w domu, Brent”.

Z jasną cerą licznie usianą piegami Harrison wygląda młodziej – to

coś, co nas łączy. Właśnie dlatego postanowiłem zapuścić brodę i mieć pełne policzki starannie przystrzyżonych ciemnych włosów.

Kobiety również to doceniają – ta szczecina nawet się przydaje.

– Jak ci minął dzień?

Klepię go w plecy.

– Świetnie. Umieram z głodu, co na obiad?

– Kurczak Cordon Bleu. Nakryłem do stołu na patio, wydaje się, że to idealny wieczór, by zjeść na zewnątrz.

Kurczak Cordon Bleu Harrisona wymiata.

Mój niewielki ogródek jest profesjonalnie zaaranżowany. Ma biały płot gwarantujący prywatność. Był koniecznością, ponieważ nieładnie

narażać sąsiadów na oglądanie, jak uprawiam seks. A to często się

zdarza, biorąc pod uwagę wielkie jacuzzi z hydromasażem, zajmujące miejsce na oświetlonej platformie pośrodku. Jest też mały trawnik, jakieś krzewy, klika japońskich klonów i pachnące drzewko cytrynowe do

kompletu.

Siadam przy niewielkim, nakrytym obrusem stole, Harrison

zdejmuje pokrywę znajdującą się na moim gorącym talerzu.

– Twoja matka dzwoniła – wspomina, stając za mną. –

W najbliższą sobotę kuzynka Mildred urządza córce pierwsze urodziny

w posiadłości nad Potomakiem. Dokładne słowa pani Mason to:

„Nalegam, by przybył, jeśli tak się nie stanie, osobiście po niego przyjadę”.

To właśnie moja matka – Jacqueline Bouvier Kennedy na

zewnątrz, Brudny Harry w środku. Kiedy wydaje jakiś rozkaz, nikt nie śmie się sprzeciwić, no chyba że ktoś jest szczęśliwym małym

gnojkiem, ale gnojki nigdy nie są szczęśliwe.

Zanim zacznę jeść, pytam przez ramię:

– Dołączysz do mnie, Harrisonie?

To nie pierwszy raz, gdy go o to proszę, ale jego odpowiedź

pozostaje niezmienna.

– Zaproszenie jest kuszące, ale gdybym je przyjął, ojciec by się mnie wyparł. Wolę, gdy mnie lubi.

Przytakuję.

– Więc idź i też zjedz. Nie będę cię już potrzebował.

Kłania się i wchodzi do domu.

Po kilku chwilach i kęsach mięsa otacza mnie cisza – nie słychać dziś nawet świerszczy. Nie lubię ciszy tak samo jak siedzenia nieruchomo.

Wcześniej często jadałem w towarzystwie przyjaciół po pracy.

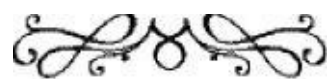
Obiad, drinki, czasami tańce. Ale ostatnio mają na głowie składanie

kołysek, dzieciaki, które trzeba wszędzie wozić, i układanie weselnych planów. Są również inni ludzie, z którymi mógłbym spędzać czas, starzy kumple, znajomi ze szkoły, kobiety, które cieszyłyby się, gdybym do

nich zadzwonił, ale nie wydaje mi się, żeby było to warte wysiłku.

Dusi mnie ta cisza, drażni niczym ciężki wełniany koc.

Wstaję więc, biorę talerz i wchodzę do domu. Chociaż mój



ogródek jest niesamowity, kolacja przed telewizorem wydaje się lepszym rozwiązaniem.

W sobotę, godzinę po planowym rozpoczęciu imprezy, Harrison podwozi mnie do posiadłości rodziców. Ma jakieś sprawy do załatwienia, więc mówię, żeby jechał, ale daję wyraźne instrukcje, że ma mnie odebrać dokładnie za trzy godziny.

Nie żebym nie lubił swojej rodziny, są świetni, ale w małych dawkach. Jeśli spędzę z nimi za dużo czasu... Cóż, zobaczycie.

Moje kroki odbijają się echem w ogromnym marmurowym foyer.

Mijam pokój muzyczny, bawialnię, oranżerię i bibliotekę, w której wisi portret, przedstawiający mnie jako pięciolatek, ubranego w niebieskie ogrodniczki i czapkę – wyglądałem jak dzieciak z holenderskiej reklamy farb, ale miałem ciemne włosy. Zaoferowałbym matce moje pierworodne

dziecko, którego zapewne nigdy nie będę miał, by go zdjęła – ale jest nieugięta. Gdyby Stanton, Jake czy Sofia kiedykolwiek go zobaczyli,

miałbym przerąbane.

Z tyłu domu, z kuchni emanuje nerwowa energia, którą można raczej poczuć, niż usłyszeć – kelnerzy uzupełniają tace z szampanem i kawiozem, dokładają lodu, by homary i ostrygi pozostały świeże.

Na zewnątrz rozłożone zostały namioty i stoły, jest tam również zespół muzyczny oraz dobrze zaopatrzony bar z dwoma barmanami. Nie ma jednak serpentyn i błyszczących balonów, klaunów i magików, choć powinno to być przecież przyjęcie dla dziecka. Tak naprawdę jest to impreza dla dwustu dorosłych, by mogli porozmawiać, uścisnąć sobie dłonie, pocałować się w policzki i wbić noże w plecy.

Tak, powiedziałem: „dwustu” – rodzina.

Widzicie, mój ojciec jest najmłodszym z ośmiorga rodzeństwa.

Moja matka najmłodszą z dwanaściorga. I obie strony cieszą się

znakomitym zdrowiem – żyją w nieskończoność. Co oznacza, że dzieci rodzeństwa, wujkowie i ciotki, wnuczki, prawnuczki i całe kuzynostwo –

cały gang – są tu dziś obecni.

Poza dobrym zdrowiem w mojej rodzinie jest jeszcze jedna mocna cecha. Można by powiedzieć, że to... ekscentryczność. Szaleństwo nawet.

Weźmy na przykład ciotkę Bettę. To kobieta w beżowej sukni, patrząca w górę na koronę klonu – gada z ptakami jak jakaś bezdomna w parku. Ma czwórkę dzieci i z żadnym nie rozmawia. Od lat. Woli towarzystwo zapchlonych gołębi. Myślę, że wygrywa w tej konkurencji.

Ważne jest, by mieć w życiu cel. Nuda zabiła więcej osób w wyższej klasie społecznej niż rak i choroby serca razem wzięte.

Większość ludzi musi pracować na takie rzeczy jak jedzenie, mieszkanie, ubranie, a praca ta wymaga chęci i ambicji. Daje powód do wstawania rano z łóżka.

Jednak, gdy te potrzeby są zapewnione – gdy dosłownie nie musisz podcierać własnego tyłka, jeśli nie masz na to ochoty – co niby masz ze sobą zrobić?

Jeśli jesteś głupi, sięgniesz po narkotyki, alkohol czy hazard, by jakoś zabić czas. Nuda jest jak choroba. Albo uleczysz się, robiąc coś, co lubisz, albo umrzesz, próbując.

– Cześć, kuzynku.

Jest też kuzyn Louis, przymilny mały facecik z kiepską fryzurą.

Bogactwo zmienia niektórych mężczyzn w palantów, jednak on nawet bez grosza przy duszy i tak byłby dupkiem. Po prostu taki się urodził.

– Louis. – Ściskam mu dłoń.

Zauważcie, że nie pytam, jak się ma, ale i tak mi powie.

– U mnie świetnie, stary. Właśnie zawarłem bardzo lukratywną umowę odnośnie pewnej nieruchomości. Świetna lokalizacja. Zburzę ten budynek i przerobię na parking.

Mój człowiek już pisze wypowiedzenia najmu dla dotychczasowych lokatorów – zakonnic, sierot, czy kogoś

takiego. – Śmieje się jak jakiś złoczyńca. – Ale przecież chodzi o interes, prawda?

– Niezupełnie.

Nie słyszy mnie albo narcyzm zagłusza wszystko, prócz jego własnego głosu.

Zauważam, że skupia wzrok na tyłku brunetki stojącej po prawej.

– Wow, Cynthia Beardsley ładnie wyrosła. – Przenosi spojrzenie na mnie. – Ciocia Kitty już cię ożeniła?

– Nie.

Znowu rechocze.

– Wszyscy będziemy musieli przejść kiedyś po desce. Założę się o butelkę Royal Salute 50, że do końca roku sprawi, że się zaręczysz.

– Dobra. – Wyciągam rękę, którą ściska. Louis może i jest gnojkiem, ale nie odmówię, jeśli da mi butelkę szkockiej wartą dziesięć tysiaków.

Kilka metrów dalej zauważam kierującego się w moją stronę ojca.

Jest przystojny, co po nim odziedzyczyłem – wysoki, ma gęste ciemne włosy, niebieskie oczy i twarz, która wygląda o piętnaście lat młodziej niż swoje sześćdziesiąt pięć lat.

Wymieniamy uścisk dłoni, a tata z czułością klepie mnie po ramieniu.

– Synu.

– Cześć, tato.

Popija brandy.

– Co tam u twoich przestępców?

No i się zaczyna.

Ojciec nigdy nie był fanem pomagania sobie nazwiskiem. Kiedy

byłem nastolatkiem, rodzinne obiady przypominały przesłuchania

hiszpańskiej inkwizycji: jakie zrobiłeś dziś postępy? czym się

wyróżniałeś? za co zostaniesz zapamiętany? Kiedy rozpocząłem studia

prawnicze, wymyślił sobie, że powinienem postawić na politykę –

oskarżyciel Brent Mason, następnie prokurator generalny Brent Mason, a w końcu senator Brent Mason – i tak w nieskończoność.

Zamiast tego zostałem obrońcą w sprawach karnych. Nie sądzę, by

tata się z tym pogodził.

– Są oskarżonymi, nie przestępcami.

– A to różnica?

– Jestem pewien, że znaczna w przypadku niewinnych.

Dobra, niemal żaden nie jest niewinny, ale ludzie rzadko robią

nielegalne rzeczy tylko po to, by je robić, zawsze są jakieś okoliczności łagodzące. Wyrównywanie szans dla tych gorzej urodzonych sprawia, że każdego ranka chce mi się wstawać z łóżka.

– Gram w racquetballa z sędzią najwyższym z departamentu

sprawiedliwości – mówi.

Tata gra w racquetballa z każdym, ale nie rzuca nazwiskami, bo dla

niego pieniądze i znajomości są niczym reguły w *Fight Club* – pierwsza zasada brzmi: „Nie rozmawiamy o tym”.

– Zawsze szukają dobrych ludzi, pamiętaj o tym, Brent.

Pukam się w skroń.

– Zakodowane.

– Brent, kochanie, przyszedłeś – mówi mama miękko,

dźwięcznym głosem, podchodząc do mnie od tyłu.

Mama jest cicha, subtelna, delikatna. Niczym róża, której płatki

opadną, jeśli na nią dmuchniecie. Nigdy nie przeklina, nie podnosi głosu, nie zrobiła tego, nawet gdy miałem siedem lat i musieli zawieźć mnie do szpitala, ponieważ wsadziłem sobie do nosa ziarna kukurydzy, by



sprawdzić, ile się ich tam zmieści. Dwadzieścia trzy, jeśli jesteście ciekawi.

– Cześć, mammo. – Pochyliam się i całuję ją w policzek.

Gładzi dłonią materiał mojej jasnoniebieskiej koszulki polo.

– Dobrze ci w tym kolorze, synku.

– Dzięki.

Przygląda mi się z uwielbieniem.

– Przejdź się ze mną, Brent.

*Szlag.*

Mama namawiająca na spacer jest niczym narzeczona mówiąca:

„Musimy porozmawiać”. To nigdy nie kończy się dobrze.

Bierze mnie pod rękę i prowadzi przez trawnik, z dala od gości.

– Ostatnio dużo czytałam – zaczyna. – I tak sobie myślałam, masz

trzydzieści dwa lata, skarbie, jesteś przystojny, dobrze się ubierasz, dobrze tańczysz, zawsze byłeś czysty.

Przez ostatnią uwagę przyglądam się jej rozbawiony, ale nie pytam.

– Syn Tatuli Fitzgibbons jest mniej więcej w twoim wieku

i ostatnio powiedział jej, że został homoseksualistą.

*O rany.*

– Ale to nie koniec, zapłacił również surogatce, która spodziewa

się w tej chwili trojaczków. Czyż to nie cudowne, Brent? Trojaczki!

– Mammo...

Ale pociąg już ruszył ze stacji.

– Więc chciałam, żebyś wiedział, że jeśli jesteś homoseksualistą,

będziemy z ojcem kochać cię równie mocno, jak do tej pory. – Klepie

mnie w ramię i dodaje: – Zwłaszcza jeśli doczekasz się dzieci.

– Nie jestem gejem, mammo.

Wygląda na rozczarowaną.

– Jesteś pewien?

– Mamo, jestem najmniej homoseksualny, jak tylko mężczyzna może być.

Stuka palcem w usta, zastanawiając się nad tym.

– Dobrze. W takim razie chciałabym, żebyś porozmawiał z wnuczką Celi Hampshire. Przyjechała dziś i jest uroczą młodą damą.

– Wnuczka Celi Hampshire chodzi do liceum.

– Nie, ukończyła je w zeszłym miesiącu.

Uciskam nasadę nosa.

– Dobra... idę do baru. Teraz. Możemy porozmawiać o tym później?

– Oczywiście, kochanie. Cieszę się, że przyszedłeś.

A ponieważ ją kocham i jestem dobrym synem, mówię:

– Ja też.

Mama wraca do ojca, a ja udaję się w stronę baru. To naprawdę powinien być mój pierwszy przystanek.

Udaje mi się przejść ze trzy kroki, gdy jakaś ręka chwyta moją i ktoś mocno szturcha mnie biodrem.

– Ale jesteś pewien, że nie jesteś homoseksualistą? Zdajesz sobie sprawę, że przez ciebie ciotka Kit nie może być obiektem plotek?

Porywam kuzynkę Katherine w mocny uścisk.

– Dzięki Bogu, że jesteś.

Jej ciemne oczy połyskują wesoło.

– Dlaczego? Ponieważ jestem twoją jedyną normalną krewną?

– Tak, właśnie dlatego.

Katherine jest także moją ulubioną kuzynką. Porywczą i głośną, z uśmiechem, którego nie da się nie odwzajemnić. Kiedy byliśmy dziećmi i inna moja kuzynka stwierdziła, że jestem za mały i zbyt denerwujący, by bawić się w jakąś głupią zabawę, Katherine dopilnowała, bym został w niej uwzględniony. Kiedy skończyłem dwadzieścia jeden lat, pojawiła się na mojej uczelni i zabrała mnie na moje pierwsze legalne piwo. Rodziny się nie wybiera, ale gdybym mógł to zrobić, Katherine byłaby pierwsza w mojej drużynie.

Jej czteroletni synek chwyta mnie za nogę, a za nim biegnie jego dwuletnia siostrzyczka.

– Wujek Brent! – piszczy.

Biorę ją na rękę.

– Annie, maleńka. – Spoglądam na Jonathona. – Co tam, chłopie?

Odchyła głowę w tył, wciąż trzymając mnie za nogę.

– Robię kupę do nocnika.

– Witaj w dorosłym świecie. – Przybijam z nim piątkę, mały podskakuje, by to zrobić.

Annie wije się w moich ramionach, więc stawiam ją na ziemi, po czym dzieci biegają wokół nas. Znow spoglądam na Katherine.

– Gdzie Patrick?

Wzrusza ramionami, a błysk w jej oku przygasa.

– W Portugalii, na „służbowym” wyjeździe z sekretarką.

Patrick to mąż Katherine, któremu przy najbliższej okazji zamierzam skopać dupę.

– Odsuść, nie złość się – uspokaja. – Jest jak jest.

– Ale to popieprzone. Dlaczego się na to godzisz?

Wzrusza ramionami.

– Ponieważ, kiedy jest ze mną, jest dobrym mężem i ojcem. Dzieci go kochają, tak jak i ja.

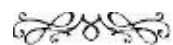
– Zaslugujesz na kogoś lepszego, Kat. O wiele lepszego.

– Jest tym, kogo chcę.

Kręcę głową, gdy Annie ciągnie mnie za nogę, wskazując na krzaki.

– Wujku, chcem motyjka, a on odlatuje.

– Dobra, chodźmy połapać motylki z Jonathonem.



Katherine uśmiecha się do mnie z wdzięcznością, więc biorę chłopca na ręce i we troje udajemy się na polowanie.

Dwie godziny później rozglądam się po tłumie zajętych rozmowami, bezbarwnych osób. Wszyscy usiłują być jak klony, niczym się nie wyróżniać, nie być jaskrawymi. To morze beżu – brązowe spodnie, kremowe sukienki, jasnobrązowe przeciwsłoneczne ray-bany.

Aż z białego namiotu wyłania się czerwień.

Może, mimo wszystko, to popołudnie nie będzie stracone.

Suknia jest elegancka i kusząca, długa do kolan, bez rękawów,

sznurowana na dekolcie i ze skrzyżowanymi paskami na plecach. Jednak prawdziwym zjawiskiem jest odziane nią ciało. Jego właścicielka jest niewielka, ale niesamowicie kobieca – ma ciepłą, brzoskwiniową cerę, smukłą szyję, delikatne ramiona, małe piersi, wąską talię i mocne nogi z delikatnie zarysowanymi mięśniami. Ma gęste włosy

w wielowarstwowym odcieniu blond – od jasnych, niemal białych pasm okalających jej twarz, do złotych i karmelowych upiętych z tyłu w kok.

Jest cholernie oszałamiająca. Nie mam pojęcia, kim jest, ale za

wszelką cenę muszę się tego dowiedzieć.

Przygląda się, jak podchodzę. Jasne, turkusowe oczy oceniają mnie

ostro, taksują z góry na dół. *Ciesz się widokiem, skarbie.*

Z przyjemnością pozwolę jej później na bardziej szczegółową inspekcję.

– Hej – mówię z uśmiechem, gdy przed nią staję.

Unosi głowę i prostuje plecy.

– Cześć.

Jest w niej coś znajomego. Łaskocze mnie w tył głowy i pobudza

fiuta. Zastanawiam się, czy jest koleżanką, czy kuzynką – pewnie jakąś druhną, z którą zawarłem bliższą znajomość na jednym z wesel.

– Dobrze się bawisz?

Rozgląda się po zebranych, kołysząc kryształowym kieliszkiem

trzymanym w dłoni.

– Tak. Jestem pewna, że solenizantka się cieszy. Kawior

i szampan, przecież tego właśnie pragnie każde dziecko.

Sarkazm. Lubię go. Wskazuje na inteligencję. Pewność siebie.

Chociaż jej tyłek podoba mi się jeszcze bardziej – już dyskretnie go obadałem.

– Wieść w country clubie niesie, że masz swoją firmę – rzuca od

niechcienia. – Kancelarię pod własnym nazwiskiem.

Jej cycki też są fenomenalne. Małe, nie większe niż B, ale jędrne,

soczyste i magicznie pyszne. Takie, przy których można porzucić

biustonosz, aby sutki wypychały koszulkę z podniecenia. Uwielbiam to w kobietach.

– Tak, już prawie dwa lata. Wypracowaliśmy sobie całkiem dobrą

markę.

– Musisz być dumny.

– Jestem.

Unosi jedno ramię.

– Myślę, że to cholernie pretensjonalne.

Natychmiast spoglądam jej w twarz.

– Słucham?

– To farsa. Młody wojowniczy adwokat rzuca pracę w dużej firmie, by pomagać maluczkim – rzuca szyderczo. – Łatwo być odważnym, gdy siedzi się na pieniążkach dziadka.

Marszczę czoło.

– To trochę aroganckie z twojej strony.

– Nie, aroganckie jest to, że uważasz, iż możesz tu przyjść, ślinić się na moje cycki i tyłek oraz zakładać, że nie zwrócę na to uwagi.

Najwyraźniej wcale nie byłem taki dyskretny, jak mi się wydawało.

– Czy jest takie słowo jak „ślinogenna”? Bo jeśli jest, taka właśnie jesteś. Wiele kobiet przyjęłoby to jako komplement.

Staje ze mną twarzą w twarz.

– Wiele kobiet to idiotki. Ale ja taka nie jestem, bo wiem, jakim egoistycznym, niedojrzałym, małym fiutem potrafisz być.

Małym? Nie podoba mi się to słowo, szczególnie że w jej zdaniu stało blisko wyrazu „fiut”.

– Kim ty, u diabła, jesteś?

Przygląda mi się przez chwilę. Odrzuca głowę w tył i zanosi się śmiechem.

– Mój Boże. Wszystko sobie wyobrażałam, ale nie to, że o mnie zapomnisz. Chociaż zapewne nie powinno mnie to dziwić, wtedy nie byłam godna zapamiętania.

– Co to w ogóle...

– Kennedy! – krzyczy jakaś kobieta, przerywając mi i powalając na

łopatki. Podchodzi do nas Mitzy Randolph, jedna ze starych przyjaciółek mojej matki i nasza sąsiadka, po czym całuje blond piękność stojącą

obok mnie. – Czekałam na twój przyjazd – mówi.

– Jestem tu od dwudziestu minut, mamó.

*Cholera jasna.*

Pani Randolph, trzymając rękę na plecach córki, zwraca się do

mnie:

– Czyż to nie cudownie, że nasza Kennedy wróciła do domu,

Brent?

Mogę jedynie wydusić z siebie głupekowato:

– Tak... cudownie.

Mitzy odsuwa się, bierze córkę za rękę i rozkłada je na boki –

przyglądając się jej, oceniając, jak za starych dobrych czasów.

– Tak się cieszę, że opuściłaś Nevadę. Te okropne kasyna i kurz

pustyni... – Dotyka jej policzka. – To suche powietrze niszczyło twoją skórę. Jeszcze w tym tygodniu umówię cię na wizytę u kosmetyczki.

Potrafi zdziałać cuda.

Kennedy wzdycha zrezygnowana.

– Dziękuję, mamó.

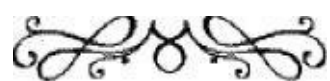
– Zostawię was, byście mogli porozmawiać. Widziałam, że

przyszli Vanderblastowie, a jeśli nie spędzę przynajmniej dziesięciu minut z Elleorą, poczuje się urażona.

Kiedy ponownie zostajemy sami, nie mogę przestać się gapić.

Dawno temu była moją przyjaciółką. Przez krótką chwilę była kimś

więcej. Ale później mnie znenawidziła. A na końcu po prostu...



zniknęła.

Nie spotkaliśmy się przez czternaście lat, a kiedy widziałem ją po raz ostatni, z pewnością tak nie wyglądała.

– Kennedy...? – szepczę, wciąż nieprzekonany, że to ona.

Przechyla głowę, wypycha biodro i uśmiecha się pogardliwie.

– Cześć, palancie.

Dobra. Teraz jestem już pewny.



# 4

Potrzebuję chwili, by otrząsnąć się z szoku, ale kiedy to robię, uśmiecham się, ponieważ jeśli jest jedna rzecz, w której jestem dobry, to jest nią rewanż.

– Kennedy Randy Randolph.

Jej uśmiech znika niczym beczka rzucona do wodospadu Niagara.

– Na drugie mam Suzanne.

– Wiem, ale nigdy nie nadałem ci ksywki. Chociaż rozważaliśmy Randy, prawda? Niezbyt dobrze pasowało, więc popracuję na tym.

Kręcę głową, ponownie się jej przyglądając. Wiem już, kim jest, więc pojawia się tutaj zupełnie nowy poziom niegrzecznego zainteresowania.

– Cholera. Wyglądasz...

– Tak, wiem. – Wzdycha, po czym przygląda się swoim paznokciom z grymasem, z jakim zwykły to robić kobiety. – Dziękuję. –

W jej głosie nie ma ani odrobiny szczerości, brzmi, jakby słyszała wcześniej milion lepszych komplementów. Co przy jej urodzie jest zdecydowanie możliwe. Ale jest jeszcze coś.

– Co zrobiłaś z oczami? – Przysuwam się, marszcząc brwi.

– To się nazywa „soczewki kontaktowe”.

– Wyjmij je. Nie podobają mi się. Masz przecież niesamowite oczy.

Właściwie zapierają dech – są wielkie, ciemnobrązowe z drobkami złota. Wszędzie bym je poznał.

– A ty co zrobiłaś z twarzą? – pyta, krzyżując ręce na piersiach.

Dotykam podbródka.

– Zapuściłem brodę.

– To ją zgól. Wygląda jak wagina z pornola z lat siedemdziesiątych.

Drga mi warga, jej słowa mnie bawią.

Zawsze tak było.

– Zaczynam odnosić wrażenie, że już mnie nie lubisz, kochaniutka.

W jej oczach pojawia się wyzwanie.

– Zakładasz, że wcześniej cię lubiłam, ale znasz takie powiedzenie, że nadzieja jest matką głupich?

Przygotowuję się na sprzeczkę. *G ra rozpoczęta, Kennedy.*

– Z pewnością mnie lubiłaś. Pamiętasz te wakacje, gdy pokazałaś mi cycki? To musiało coś znaczyć.

– Niczego ci nie pokazywałam. – Krzywi się.

– Pokazałaś. Były pierwszymi, jakie kiedykolwiek widziałem.

Wywarły na mnie niesamowite wrażenie.

Zgrzyta zębami.

– Wskoczyłam do basenu i stanik podjechał mi do góry.

– Myślę, że to było celowe. Podświadomie chciałaś to zrobić, ponieważ mnie lubiłaś.

– A ja myślę, że jesteś nadętym dupkiem. Ewentualnie psychopatą.

Uśmiecham się.

– To wcale nie oznacza, że mnie nie lubiłaś.

Ponad ramieniem Kennedy dostrzegam wygłodniały wzrok matki.

Byłaby bardziej taktowna, gdyby wycelowała w nas halogenem i przyglądała się przez lornetkę.

– Mama nas obserwuje.

Kennedy odstawia pusty kieliszek na tacę przechodzącego kelnera i zabiera pełny.

– Oczywiście, że nas obserwuje. Od lat jej największym marzeniem było, bym dała jej wnuki.

Prycham.

– To niedorzeczne. – Kątem oka obserwuję Kennedy, czekając na jej reakcję. – Prawda?

– Oczywiście. – Patrzy mi prosto w oczy. – Nigdy nie mogłabym być z kimś takim jak ty, masz dojrzałość dwunastolatka.

Unoszę kieliszek.

– A ty jego piersi.

Spodziewam się, że rzuci podobną, kąśliwą uwagą, ale tylko wskazuje na mnie otwartą dłonią.

– Nie będę się spierać.

Jak na ironię, w pierwszym odruchu mam ochotę pokazać jej język.

Jednak w ten sposób dałbym jej tylko satysfakcję.

– Poza tym – dodaje z wyniosłym uśmiechem – spotykam się z kimś. Może o nim słyszałeś. David Prince.

David Prince jest młodym senatorem z Illinois, który ma chrapkę na Biały Dom. Jest gwiazdą, drugim Johnem F. Kennedym. Założę się,

że cała partia demokratyczna i część republikanów ma jego zdjęcie na ścianie w gabinecie – powieszone tak samo jak plakaty Jona Bon

Joviego z rozwichrzoną fryzurą nad łózkami moich szesnastoletnich kuzynek. I dwóch kuzynów.

– Spotykasz się z politykiem? – mówię, wypowiadając to jak

przekleństwo, ponieważ z doświadczenia wiem, że politycy rzadko są  
czyści.

Unosi idealnie wydepilowaną brew.

– Sam prawie jesteś politykiem.

– Tylko w snach mojego ojca – odpowiadam. – Chociaż zawsze  
powtarzałaś, że wyjdiesz za księcia. Wygląda na to, że jesteś na dobrej drodze.

– Mama tak mówiła, nie ja.

Uśmiecham się.

– Więc musi być w ekstazie. W końcu jesteś taka, jaką chciała cię  
widzieć.

*Gem. Set. Mecz.*

Coś zmienia się w oczach Kennedy i mam przeczucie, że już nie  
gramy.

– Nie do końca. Matka chciała, bym została baleriną.

Słyszałem kiedyś, że robiła licencjat na uniwersytecie Browna,

jednak później nie było żadnych wieści. Jej ojciec jest gadułą, matka plotkarą, ale odkąd Kennedy  
skończyła szkołę średnią z internatem,

informacje na jej temat były pilnie strzeżone.

– To właśnie robiłaś w Las Vegas? Tańczyłaś? Nie jesteś za niska  
na tancerkę, co?

Gdybym tylko mógł, siedziałbym w pierwszym rzędzie na  
występach tej dziewczyny.

Powoli kiwa głową i uśmiecha się zadowolona.

– Tak, na tancerkę jestem za niska... ale jestem wystarczająco  
wysoka na prokuratora federalnego.

Zamieram. Nagle czuję silną więź z bękartem Neda Starka przez

tekst: „Nic nie wiesz, Jonie Snow!”.

Najwyraźniej ja również nic nie wiem.

– Jesteś...?

– Proces Moriottiego, tego mafijnego bossa? To byłam ja.

W zeszłym tygodniu przeniesiono mnie do Waszyngtonu i nie mogę się doczekać, aż zacznę grać na rodzimym gruncie.

Przez czternaście lat często zastanawiałem się, jakby to było ponownie spotkać się z Kennedy Randolph – jednak nigdy nie przeszło mi przez myśl, że stanie się to na sali sądowej.

– Zdajesz sobie sprawę, że to czyni z nas śmiertelnych wrogów?

Wiesz, jak Lexa Luthora i Supermana, Magneto i Profesora Xaviera...

– Widzę, że twoja komiksowa obsesja wciąż mocno trzyma, chociaż powiedziałabym, że to bardziej tak, jakbym była Wandą dla twojego kompleksu Piotrusia Pana.

Ignoruję ten przytyk, ponieważ jestem pochłonięty łączeniem kropek.

– Czekaj... na drugie masz Suzanne.

– Myślałam, że już to ustaliliśmy.

– Jesteś K.S. Randolph?

Jej uśmiech się poszerza, w tej chwili to dwa rzędy perłowo-złowieszczej bieli.

– Tak. Tak się podpisuję.

– Jesteś oskarżycielem w sprawie Longhorna?

Cicho klaszcze.

– Zgadza się.

– Próbowałem umówić się u twojej sekretarki na spotkanie, byśmy mogli porozmawiać.

Na jej twarzy maluje się udawane zmieszanie.

– A niby o czym miałabym z tobą rozmawiać?

– Em, o warunkach ugody?

Dziewięćdziesiąt siedem zarzutów federalnych ma swój finał w drodze ugody. Jeśli chcecie mieć obraz prawdziwego wymiaru sprawiedliwości, zapomnijcie o sędziach i młotkach, przygotujcie się raczej na negocjacje. Śmieje się w niezbyt miły sposób.

– Brent, Brent, Brent, ja nie chodzę na ugodę. Nigdy. Właśnie z tego jestem znana. Och, i nigdy nie przegrałam. Z tego również słyne.

Myliłem się – gra się jeszcze nie zakończyła. Dopiero się rozpoczęła.

– Justin Longhorn ma siedemnaście lat – mówię.

– Dokładnie – wylicza. – Jest na tyle dorosły, że powinien wiedzieć, co jest złe.

– To jego pierwsze oskarżenie.

– I miał cholernie udany debiut. Mam zamiar zażądać maksimum.

Twojego chłoptasia zamkną na dwadzieścia lat.

W młodości Kennedy była inteligentna, zabawna, społecznie wycofana, ale nigdy nie była złośliwa. Jednak, patrząc na nią w tej chwili, widzę, że się zmieniła. Jest jak ratlerek o ostrych ząbkach, na którego nadepnęto zbyt wiele razy.

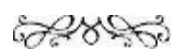
Po części uważam, że ta zaciekłość jest okropnie seksowna. Nie

jest już dziewczyną – jest ostrą, silną, w pełni niezależną kobietą. Taką, którą chciałbym trzymać za włosy, wkładając fiuta głęboko do jej gardła.

Taką, która mogłaby jęczeć, kiedy wbijałbym się w nią mocno i szybko przy ścianie.

Jednocześnie jednak oplakuję jej straconą słodycz. Odważną, niewinną, piękną i dziką dziewczynę, która siadała na kierownicy mojego roweru i ufała, że będzie bezpieczna, kiedy pedałowalem. Tę, która brała mnie za rękę i prosiła, bym z nią tańczył, choć miałem niedopasowaną protezę, ponieważ uważała, że była na tyle silna, by mnie złapać, gdybym się potknął.

Jest we mnie również profesjonalista, który po prostu został wkurzony, ponieważ zamierza utrudniać sprawę, którą powinno się łatwo zakończyć.



Podchodzę do niej bliżej.

– Co, u diabła, Kennedy? Pieniądze zostały zwrócone. To była pomyłka. To dzieciak.

Unosi głowę i patrzy na mnie, w jej oczach widać ogień.

– Jest przestępcą. I prześladowcą. Skrzywdził niewinne osoby.

Namieszał im w głowach, zburzył poczucie bezpieczeństwa tylko dlatego, że mógł to zrobić. Celowo i świadomie zabrał tysiące dolarów.

Nieważne, czy je oddał, i tak mam zamiar dopilnować, by za to zapłacił.

– Wow. Widzę, że prawdziwy z ciebie inspektor Javert.

Kennedy kręci głową i się śmieje.

– Zawsze byłeś bystry, Brent. Uroczy. Mam nadzieję, że dla dobra swojego klienta masz teraz coś więcej niż tę swoją słodycz.

Pochyliam się i mówię tuż przy jej lśniących wargach:

– Do tej pory nikt się nie skarżył.

Spogląda na moje usta o sekundę za długo.

Mruga i odrywa od nich spojrzenie.

– Dobrze. W takim razie zobaczymy się w sądzie, panie adwokacie.

– Możesz postawić swoją słodką pupcię na to, że tak będzie.

Kennedy mija mnie i odchodzi – nie pozostawiając mi innego wyboru, jak tylko się jej przyglądać.

Nie rozmawiamy więcej, jednak przez resztę popołudnia zerkam na

Kennedy – gdzie stoi, z kim rozmawia. Niepokoję się, kiedy na dłużej znika mi z oczu, ale gdy ponownie ją odnajduję, moją pierś zalewa ulga.

Przez bardzo długi czas, przez lata zastanawiałem się, co porabiała, gdzie była, chciałem się z nią zobaczyć, tak jak alkoholik łaknie

zakosztować znajomego smaku.

Nie było to łatwe, ale w końcu dałem sobie spokój i całkowicie

odpuściłem, ponieważ czekanie i zastanawianie się jest z góry przegraną sprawą. Więc, chociaż dobrze ją widzieć, nie jestem chętny, by

ponownie wsiąść do tego pociągu.

– Nie chcę iść, mamó! – płacze Jonathon, szarpiąc matkę za rękę i próbując wbić pięty w trawę.

Katherine powiedziała dzieciom, że jest już późno i pora wracać do domu.

Annie dodaje swoje jękliwe trzy grosze:

– Chcem stucne ognie.

Staję obok kuzynki, gdy jej dzieci nie przestają marudzić.

– Przegapimy fajerwerki, mamó! – krzyczy Jonathon.

– Spokojnie, młody człowieku – mówię do niego. – Nie będzie dzisiaj żadnych fajerwerków. Mamy je jedynie w Nowy Rok.

Każdego roku moi rodzice wydają wielkie, huczne przyjęcie



noworoczne – zaczęli chyba jeszcze przed moim urodzeniem. Są smokingi, suknie, tańce, fontanny szampana... i fajerwerki o północy, rozświetlające żywymi kolorami niebo nad rzeką Potomak. Młodszym dzieciom, jak Jonathon czy Annie, nie pozwala się zostać na całą noc.

Przed północą odsyłane są do spania do jednego z dziesiątków pokoi na górze. Jednak Jonathon i Annie najwyraźniej wiedzą o sztucznych

ogniach. Prawdopodobnie wyszli z łóżek i oglądali je przez okno.

Robiłem tak każdego roku, gdy byłem w ich wieku.

Z tą różnicą, że ja nie oglądałem ich przez okno. I nie byłem sam.

– *Pójdę pierwszy – mówię do Kennedy, stojąc u podstawy drabiny.*

– *Żebym mógł otworzyć włącznik.*

*Nawet jeśli oboje mamy po dziewięć lat, ona jest ode mnie dużo*

*mniejsza. To pierwszy raz, gdy wspinamy się na dach, no i jestem chłopakiem, więc zdecydowanie powinienem pójść pierwszy. Mogą tam być jakieś wściekłe ptaki albo nietoperze.*

*Stoimy na wielkim strychu, gdzie zgromadzone są stare kufry,*

*książki, obrazy i owinięte folią ubrania. Jest ciemno, pełno tu kurzu, a w kątach czają się złowrogie cienie. Kennedy uwielbia tu przychodzić.*

– *Chodź, niedługo się złączym – mówię. – Na strych wrócimy jutro.*

*Nadal ma szeroko otwarte oczy za grubymi okularami w żółtej*

*oprawce, gdy się rozgląda, ale w końcu przytakuje.*

– *Dobra.*

*Wchodzę po drabinie i otwieram klapę zamontowaną w suficie.*

*Wspinam się przez nią i wyciągam rękę. Kennedy ją chwyta i również przechodzi przez włącznik, po czym stajemy na płaskiej części dachu.*

*Czasami Kennedy nazywa mój dom zamkiem – Zamkiem Masonów –*

*ponieważ mamy salę balową. Jej dom jest po prostu duży. Nie mają takiej sali, jednak mają małe kino, co jest o wiele fajniejsze.*

*Chłodny wiatr podwiewa mi szlafrok – w tym roku jest lodowato,*

wystarczająco zimno, by zobaczyć wydychaną z ust parę. Niebo nad nami jest czarne, ale gwiazdy świecą tak jasno, że wydaje mi się, że mógłbym po nie sięgnąć i je złapać – tak łatwo, jak zrywa się jabłko z drzewa. Kennedy obraca się szybko, przez co rozsypują się jej długie, brązowe włosy.

– Miałaś rację, tu jest super!

Uśmiecha się, a metalowy aparat na jej zębach błyszczy w świetle księżyca.

Odpowiadam uśmiechem, aż znajduje się za blisko krawędzi dachu.

Chwytam ją za rękę i ciągnę w tył.

– Uważaj!

Siadamy blisko pięciu kominów, osłaniając się od wiatru. Kiedy

Kennedy zaczyna szczekać zębami, obejmuję ją. Przyciska się do mnie, chcąc się ogrzać. Rozmawiamy, czekając na pokaz.

– ...i pozwolili mi zrezygnować z szermierki, zamiast tego mam

grać w lacrosse – mówię. – To zarąbiste.

– Szczęściarz z ciebie! – przyznaje Kennedy. – Moja mama mówi,

że nie mogłabym porzucić baletu, nawet gdybym złamała nogę.

Powiedziała, że wyjdę za księcia, a żaden książę nie będzie chciał

księżniczki, która nie potrafi tańczyć.

Dobiega do nas grana przez zespół na dole muzyka.

– Zastanawiam się, czy Claire tańczy z twoim kuzynem Louisem –

mówi Kennedy. – Powiedziała, że go dzisiaj pocałuje.

Czuję, że się krzywię.

– Dlaczego?

– Mówiła, że to właśnie robi się o północy. Całuje się chłopaka, którego się lubi.

Krzywię się jeszcze bardziej, ponieważ nie potrafię sobie

wyobrazić, by ktokolwiek lubił Louisa, a co dopiero go całował.

Na tarasie poniżej rozlega się chór głosów:

– Dziesięć, dziewięć, osiem...

*Chwilę później zespół zaczyna grać Auld Lang Syne, a niebo*

*ekspłduje kolorami. Wybuchają czerwienie i błękity, fiolety i zielenie, a wszystko, co połyskuje żywo na niebie, odbija się również w płynącej nieopodal rzece.*

*Przyglądam się fajerwerkom, kiedy Kennedy obraca się pod moim*

*ramieniem. Po chwili całuje mnie w policzek.*

*– Szczęśliwego Nowego Roku, Brent – szepcze.*

*Spoglądam na nią z uśmiechem.*

*– Szczęśliwego Nowego Roku, Kennedy.*

*Otrząsam się ze wspomnienia i rozglądam po ogrodzie, szukając*

*czerwonej sukienki. Jednak kiedy ją znajduję, nie czuję ulgi, to coś zupełnie innego. Ostrzejszego, gorętszego, nienasyconego.*

*Ponieważ Kennedy na mnie patrzy.*

*Nie zauważa, że ją widzę. Jest zbyt zajęta wpatrywaniem się*

*w moją pierś, ramiona, a nawet pośladki. W jej oczach widać głód, a na policzkach maluje się rumieniec – nie sądzę, by miał cokolwiek*

*wspólnego z popołudniowym słońcem. Obracam się w jej stronę*

*i rozkładam ręce, by miała pełen obraz, więc jej spojrzenie natychmiast podrywa się do mojej twarzy.*

*Szczerzę zęby w uśmiechu, unosząc brew.*

*Rozchyła usta, a jej policzki z różowych stają się szkarłatne.*

*Podnoszę rękę i macham.*

*Unosi głowę i odwraca się ode mnie.*

*I wiecie co? Myślę, że będzie zabawnie.*

Półtora tygodnia później wchodzę do sądu na pierwszą rozprawę

Longhorna, ubrany w najlepszy granatowy garnitur i moje szczęśliwe

srebrne spinki do mankietów. Gotowy na pojedynek.

Mała panna „Nie idę na ugodę” wyraziła się dość jasno, że liczy na

dobrą walkę. Jeśli tego chce, mam zamiar jej to dać. Ale skoro walczę w sądzie, mam zamiar wygrać. Jeśli nie będzie miła, będę grał nieczysto.

Dotyczy to również spraw poza salą sądową.

Kładę aktówkę na biurku obrony. Justin już tu jest, wygląda młodo,

choć sztywnie w szarej marynarce i bordowym krawacie. Gdy

powiedziałem mu, że nastąpiła mała zmiana planów, że jednak zasiądzie na sali sądowej, zaczął panikować, co jest całkowicie zrozumiałe. Jest tu dziś jego ojciec, siedzi za synem w pierwszym rzędzie, gapiąc się na wyświetlacz telefonu, ledwo poświęcając dzieciakowi jakąkolwiek

uwagę. Wypracowaliśmy naprzemienny plan obecności rodziców. Mam

tylko nadzieję, że będą się go trzymać, bo nie chcę się dodatkowo

martwić ich wojną.

Wchodzi Kennedy, ubrana, by zabić.

Dosłownie – wygląda jak seksowna, niezwyciężona bizneswoman,

przemieniająca się w wojowniczkę, która została wyrwana prosto ze

stron jednego z moich komiksów: ołówkowa spódnica do kolan z czarnej skóry, lśniąca czarna jedwabna bluzka, opinająca tors we wszystkich

właściwych miejscach, rozpięta na dekolcie i ujawniająca srebrny

naszyjnik z onyksem, włosy upięte w kok na czubku głowy, a na twarzy subtelny makijaż tylko podkreślający jej urodę.

Zajmuje miejsce za biurkiem oskarżenia, obraca się w moją stronę

i się uśmiecha. Mój fiut reaguje na to niczym wąż na zaklinacza, unosi

się i napina, budząc się w obliczu zapierającego dech uśmiechu.

To idealne połączenie słodyczy i zła. Smakowite, lecz zabójcze. To uśmiech mówiący: zniszczę cię, ale będzie ci się podobała każda sekunda.

Wciąż ma te turkusowe soczewki kontaktowe, przez co czuję niewielką ulgę, ponieważ jej naturalne tęczyówki podobają mi się tak bardzo, że mógłbym się jedynie ślinić.

Zaczyna rozkładać na blacie jakieś dokumenty, więc przyglądam

się jej smukłej sylwetce. Cholera, z tyłu pończoch ma linię – seksowny ciemny ślad, biegnący aż do ud, niknący pod materiałem spódnicy. Tak na wszelki wypadek dotykam podbródka.

Nie, nie ma śliny. Spoko.

Woźny każe nam wstać, gdy sędzia Phillips wchodzi na salę

i zajmuje swoje miejsce. Sprawdza, czy wszyscy są, i rozpoczyna proces.

Spodziewam się, że powoła ławę przysięgłych, po czym będziemy mogli

złożyć wstępne oświadczenia – i przyznam, że nie mogę się doczekać,

by zobaczyć Kennedy w akcji.

Jednak nic takiego się nie dzieje.

Ponieważ wstaje Kennedy.

– Wysoki sędzie, chciałabym złożyć wniosek o oddalenie

ekspertyzy komputerowej przygotowanej przez obronę.

Kryminalistyczny technik komputerowy bada dane pozostawione

przez cyberprzestępcę. Mój ekspert jest najlepszy w branży, ma

zeznawać, że dowody zebrane po włamaniu do banku i kradzieży

wskazują, że ślad, który według oskarżenia prowadzi do komputera

Justina, jest błędny. Tak, jasne, komputer dzieciaka mógł zostać

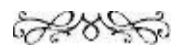
wykorzystany przy przestępstwie, ale nadal istnieje niewielka szansa, że jednak tak nie było. Niewielka szansa jest wszystkim, czego potrzebuję, by zasiać zwątpienie.

Gdyby to była gra w szachy, mój ekspert informatyczny byłby wieżą – nie najsilniejszym pionkiem w obronie, ale wciąż istotnym elementem strategii.

Wstaję.

– Na jakiej podstawie?

Kennedy piorunuje mnie wzrokiem.



– Ponieważ nie jest formalnie dopuszczony jako ekspert i został niedawno zatrudniony. Przesłuchanie to ujawni.

Sędzia się zgadza, więc rozpoczyna się jego przesłuchanie i dwie

godziny później mój ekspert zostaje przez niego odrzucony. Z powodów formalnych, ponieważ pochodzi z Londynu i nie pofatygował się, by

przedłużyć pozwolenie na pracę w Stanach, które jest w tej chwili

wymagane.

Wygląda na to, że Kennedy również przygotowała się do potyczki.

I jest cholernie dobra w swojej pracy.

Rozprawa rozpoczyna się od przedstawienia sędziemu naszych

oświadczeń, a następnie Kennedy zaczyna przesłuchiwać własnego

technika kryminalistyki komputerowej. Jej pytania są szybkie, rzeczowe i bije od nich pewność siebie. Ekspert odpowiada szczegółowo i nudno, ponieważ większość technicznych aspektów taka właśnie jest, jednak

okazuje się skuteczny. Wyjaśnia sprawę ławnikom w bardzo przystępny

sposób.

Co niezbyt służy Justinowi.

W krótkim czasie sędzia wzywa mnie do przesłuchania go. Co

byłoby dobre, gdyby Kennedy pozwoliła mi zadać choć jedno pytanie.

Wygląda to mniej więcej tak:

– Czy zechce nam pan wyjaśnić...

– Sprzeciw!

I tak:

– Skąd może mieć pan pewność...

– Sprzeciw!

I następnie:

– Kiedy pan określił...

– Sprzeciw!

Większość jej sprzeciwów zostaje oddalona, ale nie o to chodzi. To

strategia. Chce wybić mnie z rytmu, zatrzymać z dala od strefy, gdzie mógłbym wyciągnąć od świadka to, czego chcę, a następnie rzucić mu

w twarz jego własną odpowiedzią.

Stara się mnie zirytować i udaje się jej. Naprawdę mówiłem, że to

będzie zabawne? Myliłem się. Zaczynam wyobrażać sobie, jak zaciskam

dłonie na jej smukłej szyi i to nie w seksowny sposób.

Zatem, kiedy pytam:

– Jakie są szanse...

Kennedy podrywa się z miejsca.

– Sprzeciw!

Krzyczę:

– Sprzeciw!

Sędzia zerka na mnie zza okularów.

– Kieruje pan sprzeciw w stosunku do własnego pytania?

– Nie... wysoki sędzie – jąkam się. – Kieruję sprzeciw przeciwko

jej sprzeciwowi.

Unosi brew.

– A to nowość.

– Czy mogę dostać szansę na przesłuchanie świadka? W tym tempie mój klient dobije do emerytury, zanim ten proces dobiegnie końca.

– Jeśli pan Mason zacznie poprawnie formułować pytania, nie będę zgłaszać sprzeciwu, wysoki sędzie – mówi spokojnie Kennedy.

– Nie ma nic złego w tym, jak formułuję swoje pytania – warczę.

Sędzia nas karci:

– Kierujcie państwo uwagi w moją stronę, a panna Randolph proszona jest o powstrzymanie się od zgłaszania sprzeciwu.

– Oczywiście, wysoki sędzie.

– Tym wnioskiem zakończmy dzisiejsze posiedzenie. Odraczam je do jutra, do godziny dziewiątej.

Po wyjściu sędziego uspokajam Justina, klepiąc go po plecach

i pokrzepiając słowami. Pakuję aktówkę i udaję się do drzwi. Kto rusza od biurka w tym samym czasie, idąc tuż obok, niczym seksowna zdzira?

– Oczywiście, wysoki sędzie – przedrzeźniam ją wysokim tonem.

Po czym go obniżam: – Lizuska.

– Wolę być lizuską niż głupolem. Nie wiedziałam, że dyplom prawniczy znalazłeś w chipsach, za które zapłacił ci tatuś.

– Hej. – Staję przed nią i wskazuję na własną pierś. – Sam kupuję sobie chipsy.

Wzrusza ramieniem, zupełnie nieporuszona.

– Skoro tak mówisz.

Puszczam ją przodem, ponieważ tak właśnie robią dzientelmeni –

oraz by móc przyglądać się, jak kołysze swoim jędrnym tyłeczkiem. To czyni całą sytuację o wiele



znośniejszą.

W połowie korytarza Tom Caldwell woła Kennedy po imieniu,

więc kobieta zatrzymuje się, by z nim porozmawiać. Tom jest

prokuratorem, który już wcześniej występował na rozprawach przeciwko naszej firmie. Nie jest złym facetem, jest po prostu denerwująco

uczciwy, wkurzający niczym przesłodzona szarlotka. Słyszałem, że

zaręczył się niedawno z ładną nauczycielką o imieniu Sally.

Celowo klękam kilka metrów dalej, by zawiązać sobie buta,

podśluchując. Nie oceniajcie.

– Wychodzimy całą grupą do Red Barron na drinka – mówi

Caldwell. – Powinnaś dołączyć.

– Brzmi fajnie. Dzięki, Tom. Przyjdę – mówi wesoło, przyjaźnie.

Od lat nie odezwała się tak do mnie. Zazdrość kłuje mnie niczym

jeżowiec w okresie godowym. Obserwuję, jak razem odchodzą.

Pieprzony Caldwell.

Wyjmuję komórkę z kieszeni i dzwonię do Stantona.

– Goose – mówię, gdy odbiera – zapinaj kombinezon, potrzebuję

skrzydłowego. Ty, ja i picie. Jak za starych, dobrych czasów...

w zeszłym roku.

Jego głos jest ochrypły od snu.

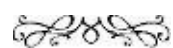
– Sorry, stary, nie mogę. Drzemiemy.

– Drzemiecie? – Zerkam na zegarek. – Jest dopiero piąta po

południu!

– Gdybyś nie zauważył, Sofia jest w zaawansowanej ciąży.

– Tak, ale nie ma osiemdziesiątki! I jest w ciąży, co to w ogóle za



wymówka?

Ziewa.

– Wróciliśmy wcześniej do domu. Odpoczywa tylko wtedy, gdy

leżę obok, przez co oboje zasypiamy. Za to w nocy nie będę mógł spać, więc popracuję. Ten dzieciak zamienia mnie w pieprzonego wampira.

Kręcę głową.

– Wstydz się, koleś. Zawodisz drużynę.

– Gdzie Jake?

– Na próbie baletowej Regan. Jęczał o tym cały ranek. To

wystarczająca kara.

– Przykro mi, Brent.

– Tak, tak, wracaj drzemać, dziaduniu. Nie zapomnij wyjąć

sztucznej szczęki.

Śmieje się.

– Pieprz się.

Rozłączam się i wzdycham. Wygląda na to, że na tę misję lecę

sam.

Nie idę od razu do Red Barron, to byłoby zbyt oczywiste. Zabijam

jakieś czterdzieści pięć minut w innym barze, po czym przechodzę do

niewielkiego lokalu. Jest stary, ma piwo, wino i whisky. Na tyłach

znajduje się tarcza do rzutek, nad barem wisi niewielki telewizor, kilka stolików, które pamiętają lepsze dni, stoi przed lustrzaną ścianą. Pomimo że zaniedbane, miejsce wypełnione jest po brzegi. Wciskam się między kilku klientów i dostrzegam wysoką postać Toma Caldwell'a pośród

grupy ubranych w garnitury mężczyzn i kobiet w garsonkach,

skupionych przy barze.

Tom obraca się, gdy klepię go mocno w ramię. W jego oczach

widać wyraźne zaskoczenie, ale się uśmiecha.

– Cześć, Mason.

Ściskam mu dłoń.

– Jak leci, Caldwell?

– Dobrze. Wpadłem na drinka po pracy.

– Tak, ja też.

Ponad ramieniem Toma zauważam Kennedy. Turkusowe, okolone

gęstymi rzęsami, oczy przymrużają się na chwilę, jakby przygotowywała się do rozerwania mnie na strzępy, ale zaraz prycha pod nosem i kręci głową. To znak, że może jest gotowa, by się poddać i mi nie dokuczać.

Przynajmniej przez chwilę.

Wchodzę w grupę, zauważam kilka znajomych twarzy, aż staję

przed nią. Jestem tak blisko, że musi zadrzeć głowę, by spojrzeć mi

w oczy. Unosi się jeden kącik jej ust.

– Wiesz, że stalking jest przestępstwem?

– Stalking? – Parskam. – Ktoś tu ma niezłe ego. Czasem po prostu tu przychodzę.

– Przychodzisz tu? Do tego baru?

– Tak. – Wzruszam ramionami. – Masz paranoję.

Staje na palcach, a jej ciepły oddech owiewa moje ucho.

– To nie paranoja, jeśli to prawda. Rozejrzyj się.

Spełniam prośbę. Właśnie wtedy uświadamiam sobie, dlaczego mi

nie wierzy. To miejsce wypełnione jest policjantami – niektórzy są

w mundurach, inni po cywilnemu, ale widać ich broń i odznaki. To bar dla glin. Policjanci i oskarżyciele trzymają się razem, ponieważ

generalnie stoją po tej samej stronie barykady.

A wiecie kto jest po drugiej? obrońcy w sprawach karnych.

Kennedy unosi brwi.

– Zechcesz zmienić zeznania?

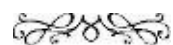
– Nie. To moja linia obrony i będę się jej trzymał.

Śmieje się.

– Cześć, Brent! Wieki cię nie widziałam!

Michelle Lawson, fajna, ciemnowłosa pani prokurator, z którą

umawiałem się kilka lat temu, podchodzi do mnie i całuje w policzek na powitanie. Jest świetna, miło spędzaliśmy razem czas, dokładnie tak, jak



się domyślacie, po czym się rozstaliśmy. Bez urazy.

– Cześć, Michelle. Jak się masz?

– Po staremu. Dobrze wyglądasz, Brent.

– Dzięki. – Puszczam do niej oko. – Ty też.

Na twarzy Kennedy pojawia się cień niezadowolenia, gdy

przygląda się naszej rozmowie.

Interesujące.

– Co pijesz? – pytam ją, gdy Michelle się cofa.

Kennedy zwilża językiem pełną dolną wargę.

– Pinot grigio. – Kładzie dłoń na moim bicepsie. Jest to świadomy,

niemal zaborczy gest. Przysuwa się tak blisko, że wyczuwam słodkie

wino w jej oddechu. – Poproszę kolejny kieliszek.

Nie wiem, co się właściwie dzieje. Nie wiem, jak przejść od tego,

że godzinę temu nazwała mnie w sądzie głupkiem, do tego, że teraz ze mną flirtuje. Jednak nie mam zamiaru się kłócić. Idę po wino dla tej pani.

Rozmawiamy przez następne pół godziny, droczymy się

i śmiejemy z niczego istotnego. Czasami z ludźmi wokół, jednak

głównie ze sobą. Kennedy mierzy mnie wzrokiem. Odważnie.

Uwodzicielsko. Dotyka mojego ramienia. Mojej piersi. Przysuwa się

i mówi cicho, wprost do mojego ucha.

Przez cały czas stoi mi jak maszt, ale nie narzekam.

Chciałbym tylko dowiedzieć się, w co ona gra. Skąd ta nagła

zmiana nastawienia? Planuję zapytać ją o to, gdy tylko zostaniemy sami, ale zbija mnie z tropu.

– Chcesz stąd wyjść? – pyta, z jedną ręką opartą na biodrze, drugą głaszcząc moją pierś. Doprowadzając mnie do szału.

– Wyjęłaś mi to z ust.

Uśmiecha się powoli, uwodzicielsko.

– Więc może chciałbyś włożyć coś w moje, by było sprawiedliwie?

Naprawdę to powiedziała? Cholera, jeśli to sen, nie budźcie mnie.

Moje serce bije nieco mocniej.

– To mamy plan.

Wskazuje palcem przez ramię.

– Tylko skoczę najpierw do łazienki.

Kiedy rusza, kończę piwo, żałując, że nie jest to coś mocniejszego.

Muszę dobrze rozegrać ten wieczór. Mam mnóstwo pytań, tak wielu

rzeczy chciałbym się dowiedzieć – i w tak wielu pozycjach ją przelecieć.

Szklanka rozbija się na stoliku, co przyciąga moją uwagę.

Przyglądam się dwóm wielkim, pijanym gościom, którzy wyklócają się

i machają łapami, gotowi do bójki. Miejsca jest mało, Kennedy nie ma za wiele możliwości, by ich minąć.

Wiem doskonale, co się stanie – i nie ma szans, bym na to pozwolił.

Sekundę później obejmuję Kennedy w talii, podnoszę ją i obracam,

ustawiając bezpiecznie za sobą. Popycham w plecy typa, który prawie na nią wpadł.

– Chcesz się bić, zrób to na zewnątrz – mówię ostro.

Palant zapomina o partnerze kłótni, którego chciał bić, i odwraca się do mnie.

– A ty coś, kurwa, za jeden?

Rzucam mu w twarz niskim i śmiercionośnym głosem:

– Prawie przewróciłeś moją dziewczynę. Gdybyś to zrobił,

poważnie byś teraz cierpiał, więc jestem gościem, który mówi ci, żebyś przestał zachowywać się jak gnojek. Jeśli to problem, również mogę

wyjsć.

Przygląda mi się, prawdopodobnie próbując odgadnąć, czy mówię

poważnie. Jestem trochę wyższy niż on, zaciskam zęby i wpatruję się

w niego groźnie – tak, jestem, kurwa, poważny. Po chwili udaje mu się to wyczuć i się uspokaja.

– Nie mam z tobą żadnego problemu. – Wzrusza ramionami,

kołysząc się niepewnie.

– To dobrze.

Odchodzi, więc odwracam się do Kennedy. Kładę dłoń na jej

karku, delikatnie głaszcząc ją po głowie i wpatrując się w jej twarz.

– Nic ci nie jest? – Nie podoba mi się jej wygląd. Jest blada, a jej wzrok pusty. – Hej, co się stało?

Mruga, odwraca ode mnie spojrzenie i kręci głową.

– Nic. Tylko... tylko pojedę do domu taksówką. Sama.

– Co? Dlaczego?

– Bo nie mogę... – urywa i sztywnieje przy mnie. To postawa

obronna. – Bo zmieniłam zdanie.

Odsuwa się ode mnie i przeciska pomiędzy klientami baru,

zmierając do drzwi.

Jest ode mnie o wiele szczuplejsza, więc szybciej udaje jej się

przebić. Do czasu, gdy docieram do wyjścia, zatrzymuje się przed nią taksówka. Otwiera drzwi, ale zamykam je z trzaskiem.

– Gdzie się wybierasz?

– Do domu, Brent.

Ponownie próbuje je otworzyć, ale znów je popycham, tym razem mocniej.

– Nie, póki nie odpowiesz mi, co cię tam wystraszyło.

Nie wygląda teraz ani na przerażoną, ani na zdezorientowaną.

Wydaje się wkurzona. Na mnie.

– Nie mów mi, co mam robić! Nie masz prawa mówić mi, co mam robić! – krzyczy.

– Wszystko w porządku? – pyta stojący niedaleko Tom Caldwell.

Jego głos jest przyjacielski, słysząc w nim troskę. – Zadzwoniliśmy po taksówkę, będzie tu za chwilę. Chcesz z nami jechać, Kennedy?

Odsuwa włosy za ramię, obracając się.

– Tak. Dzięki, Tom. Pojadę z wami. – Jej spojrzenie jest zimne,

gdy ponownie na mnie spogląda. – Do zobaczenia jutro w sądzie, Brent.

Bębnię dłonią o dach taksówki, sfrustrowany, ponieważ nie uda mi się dziś wygrać tej bitwy.

– Tak. Do zobaczenia jutro, Kennedy.



Później tej samej nocy, gdzieś koło drugiej budzi mnie uczucie,

jakby prąd poraził koniec kikuta, promieniując na całe udo. Oblewa mnie zimny pot, całe ciało sztywnieje, każdy mięsień zaciska się w agonii.

Tak się czasami dzieje.

Na początku był to ból fantomowy, ból kończyny, której już nie

ma. Wtedy odczuwałem to jak skurcze w stopie. Chciałem to rozetrzeć, ponaciągać i podrapać aż

przejdzie, ale oczywiście nie było to możliwe.

Ostatnio jest inaczej. To nerwobóle.

To dlatego waszego wujka boli kolano, gdy zanoszą się na deszcz,

nawet jeśli minęło wiele lat od operacji, jaką przeszedł po kontuzji przy grze w futbol. Niektóre nerwy po prostu nie wiedzą, kiedy odpuścić –

bolą i wkurzają, kiedy tylko mają ku temu okazję.

Udo płonie, gdy pojawia się kolejna fala palącego i ostrego bólu.

Jęczę i wołam Harrisona, by przyprowadził wózek. Założenie protezy

w tej chwili nie wchodzi w grę, tak samo jak powrót do spania.

Odwiedziłem wielu specjalistów i każdy z nich podawał inne

powody: pogodę, stres, jednak nie dali mi ostatecznej odpowiedzi.

Chcieli mnie pokroić, ale nie wiedzieli, czy w stu procentach

zapobiegnie to nawrotom bólu, więc się nie zgodziłem. Zamiast tego

próbowałem leków, masażu, akupunktury i starego dobrego

przeczekania.

Wjeżdżam wózkiem do salonu i nakazuję Harrisonowi powrót do

łóżka, po czym piszę do Sofii, prosząc o wolne w kancelarii i w sądzie.



Rano pojawia się u mnie masażystka, starsza Azjatka, która ma

silne ręce i klnie jak szewc. Po jej wyjściu ból jest znośniejszy, ale tylko nieznacznie. Cały dzień spędzam na wózku, ubrany jedynie w T-shirt

i spodnie od dresu.

Po południu czeka mnie niespodzianka. Rozlega się pukanie do

drzwi, więc Harrison idzie otworzyć. Chwilę później do salonu wchodzi Kennedy, wygląda fantastycznie w białej spódnicy, obcisłej czarnej

marynarce i błyszczących szpilek. Ma rozpuszczone włosy,

spływające gęstymi falami.



Wygląda też na wkurzoną.

– Panna Kennedy Randolph – zapowiada Harrison.

Kobieta natychmiast pyta:

– Masz lokaja?

Wzruszam ramionami.

– Mama się martwi. Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Kennedy wskazuje na mnie palcem.

– Jeśli myślisz, że przekażesz tę sprawę partnerce jak jakiś tchórz, to się grubo mylisz!

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Mówię o tym, że nie było cię dzisiaj w sądzie. Za to wysłałeś tę

barakudę!

Śmieję się, chociaż ostry ból paraliżuje mi udo.

– Barakuda? Sofii się to spodoba. Na pewno przekażę jej ten komplement.

– Nawet nie próbuj zamiany, Brent. Złożę skargę w sądzie, powiadomię izbę adwokacką i...

Choć jej tyrada jest zabawna, przerywam jej:

– Ta sprawa jest moja, Kennedy, klient też jest mój. Nie dałem rady stawić się dziś w sądzie, a Sofia była wolna. To wszystko. –

Przesuwam wzrokiem po jej sylwetce i puszczam do niej oko. – Chociaż cieszę się, że się za mną stęskniłaś.

Natychmiast zamyka usta i ściąga brwi, patrząc na mnie.

– Nie wyglądasz na chorego.

– Nie jestem – odpowiadam.

Patrzy na wózek inwalidzki, po czym znów na mnie – wiem, że widzi cienie pod moimi oczami, zaciśnięte zęby i pot na czole.

– Chodzi o nogę? – pyta cicho.

Zmuszam się do uśmiechu, ale podejrzewam, że widać w nim

gorycz.

– Jestem jednym ze szczęśliwców, którzy wiele lat po amputacji

doświadczają chronicznego bólu. Nie daję rady zakładać wtedy protezy, a nie lubię używać wózka w sądzie. To rozprasza przysięgłych.

Słucha, po czym mówi łagodniejszym głosem:

– Półtora roku po wypadku przyszedłem do was z rodzicami na

kolację. Wymknęłam się na górę, bo chciałam cię zobaczyć, musiałam

sprawdzić, czy dobrze się czujesz. Byłam w połowie drogi do twojego

pokoju, gdy usłyszałam, jak płaczesz. Był z tobą Henderson, ale

brzmiało to... okropnie.

Pochyliłam głowę.

– Wtedy było gorzej. Byłem młody, nie wiedziałem, jak to znosić.

Teraz już wiem.

Niespiesznie unoszę głowę. Jest różnica pomiędzy litością

a współczuciem, mam dwadzieścia dwa lata doświadczenia

w rozróżnianiu ich. Litość polega na żałowaniu kogoś i jednoczesnym

zadowoleniu, że nie jest się na jego miejscu. Współczucie to dzielenie bólu, współcierpienie, gdy czyjś ból staje się waszym.

Akceptuję ciekawość i niepokój o moją nogę – to naturalne. Jednak

nie jestem w stanie pogodzić się z litością.

Nie od tej kobiety.

Chociaż kiedy spoglądam jej w twarz, czuję ulgę. W jej oczach

maluje się ból – mój i jej.

– Mogę coś dla ciebie zrobić?

Uśmiecham się.

– Skoro o tym mówisz, lodzik zawsze poprawia mi humor. Chociaż nie sądzę, byś była zainteresowana.

Śmieje się – słodko, dźwięcznie, to piękne. Sprawia to także, że ból jest nieco znośniejszy.

– Niestety, ale dziękuję.

– Kurde. – Pstrykam palcami. – A może napijesz się czegoś mocniejszego? Picie w samotności jest do bani. – Wskazuję na lokaja. –

Harrison będzie robił za przyzwoitkę.

Podjeżdżam na wózku i gestem zapraszam ją na kanapę.

– Siadaj. Harrison, przynieś, proszę, butelkę brandy, tę, która stoi w barku na górnej półce po lewej stronie.

– Ale leki... – ostrzega, ale macham lekceważąco ręką.

– Jedna szklaneczka nie zawadzi.

Kennedy zajmuje miejsce na brązowej, skórzanej kanapie na tyle

blisko, że nasze kolana niemal się stykają. Harrison podaje nam okrągłe, ciężkie szklanki wypełnione do połowy bursztynowym płynem, po czym

po cichu wychodzi.

Przyglądam się jej. Od czego by tu zacząć? Tak wiele pytań

i jeszcze więcej grząskiego gruntu.

– Gdzie wyjechałaś po szkole z internatem? Byłem u was w wakacje, ale...

– Nie chcę o tym rozmawiać, Brent. – Patrzy prosto przed siebie, jej głos jest ostry, nieznoszący sprzeciwu.

Wycofuję się.

– Dobra. W takim razie... jak do tego doszło? Włosy, ubrania, soczewki kontaktowe? Twoja matka i siostra od lat starały się zrobić z ciebie laleczkę Barbie. Co cię skłoniło, że im w końcu pozwoliłaś?

Uśmiech rozciąga jej usta.

– Nie pozwoliłam im. – Pochyliła się, nieco się rozluźniając. –

W końcu wyrosłam z młodzieńczego buntu, a przyglądanie się, jak matka krzywi się z powodu mojego ubioru przestało mnie interesować.

Jednak w wakacje po pierwszym roku studiów prawniczych dostałam się na staż w sądzie apelacyjnym...

– Gdzie studiowałaś? – przerywam jej, spragniony informacji.

– Na Yale. – Upija łyk brandy, po czym kontynuuje: – Tak więc...

pracowałam z sędzią Bradshaw, która jest nie tylko fenomenalna w tym, co robi, ale jest również wspaniałą kobietą. Po miesiącu stażu zaprosiła mnie do swojego gabinetu i powiedziała, że zaimponowałam jej swoją

pracą, ale jeśli nie zrobię czegoś ze swoim wyglądem, nie zabawię zbyt długo na stażu.

– Naprawdę tak do ciebie powiedziała? – Śmieję się. – Cholera, to aż prosi się o ciekawy pozew o molestowanie seksualne.

Kennedy przytakuje.

– Powiedziała, że chcę być oceniana przez pryzmat pracy, a nie wyglądu, na co odparła: „To możliwe w utopii, kochana, ale to prawdziwy świat”. – Rozmawia z coraz większą łatwością. Lodowa maska nieco się topi, jej twarz przybiera bardziej miękki wyraz.

Kennedy mocniej się otwiera. Nie potrafię oderwać od niej wzroku, ponieważ to w końcu dziewczyna, z którą się wychowywałem.

Dziewczyna, którą znam. – Powiedziała, że bez względu na to, kim jesteśmy, oceniają nas na podstawie wyglądu, a jeśli będę wyglądała

niechlujnie, ludzie pomyślą, że jestem taka we wszystkim. A jeśli moja aparycja będzie nienaganna, będę sprawiała wrażenie, że mojej pracy

również nie można nic zarzucić. Zaczęłam więc dbać o swój wygląd.

W ciągu kilku tygodni pofarbowałam włosy, wydepilowałam brwi

i zmieniałam całe swoje życie. – Macha przed sobą ręką. – To była moja chwila, jak w *Diabeł ubiera się u Prady*.

Przytakuję, nawet jeśli nie mam zielonego pojęcia, o czym mówi.

Wytyka mi to:

– Nie wiesz o czym mówię, prawda?

– Ani trochę.

Kennedy się uśmiecha.

– To znaczy, że sędzia Bradshaw stała się moją modową mentorką.

Właśnie w tamte wakacje stałam się ładna.

Przyglądam się jej – łagodnym łukom kości policzkowych, gładkiej skórze, gęstym, długim rzęsom i pełnym, różowym ustom, które zawsze miała.

– Nie, wcześniej też byłaś.

Przez dłuższą chwilę patrzy mi w oczy, po czym odwraca wzrok.

Przełyka odrobinę brandy i kaszle.

– Pali, co? – mówię.

– Tak. Nie chcę być niegrzeczna, ale jeśli to dobry trunek, nie chcę wiedzieć, jak smakują te tanie.

Uśmiecham się.

– Brandy nie jest dobra ze względu na smak. – Kiwam palcem, aby

się zbliżyła, aż nasze ramiona ocierają się o siebie i jestem w stanie poczuć brzoskwiniową woń jej skóry. Unoszę szklankę i kręcę nią lekko.

– Widzisz jasnobrazową barwę? Jaka jest delikatna, jak ugina się niczym aksamit?

Kennedy zerka na szklankę i przytakuje.

– Ale jest też tam ciemnobrazowy kolor, który nadaje trunkowi

złożoności. Bogactwa.

– Aha.

– I jest też złoty odcień, przez który płyn jest niemal eteryczny.

Jakby światło pochodzące z wewnątrz.

– Tak. – Ponownie przytakuje.

Przestaję kręcić szklanką i mówię cicho:

– Taki właśnie jest kolor oczu Kennedy Randolph.

Gwałtownie wciąga powietrze, to niemal sapnięcie.

– To właśnie pomyślałem, gdy pierwszy raz piłem brandy, to samo

myślę, ilekroć ją kosztuję. – Patrzę jej w twarz, ściszam głos: – Nigdy o tobie nie zapomniałem, skarbie. Nawet nie byłem tego bliski.

Tego się nie spodziewała. Wygląda na zaskoczoną, małą i podatną

na zranienie. Jednak otrząsa się z tego i jej twarz ponownie przybiera pusty wyraz. I ostrość.

– To cię wkurza. – Próbuję ponownie spojrzeć jej w oczy. –

Dlaczego to cię wkurza?

– Wiesz, dlaczego. – Wstaje.

Chwytam ją za rękę.

– Nie, Kennedy, nie wiem. Nigdy nie wiedziałem.

Wyszarpuje się i odstawia szklankę na ławę. Cofa się o krok,

tworząc dystans między nami.

– Nie mam zamiaru ponownie się na to złapać, Brent. Nie

wciągniesz mnie z powrotem.

Zaciskam usta.

– Dobra. A może wytłumaczysz mi, co to oznacza?

– A może pójdziesz się pieprzyć kijem do gry w lacrosse?

*Witamy, złościco, dawno się nie widzieliśmy.*

Przechyliłam głowę na bok, jakbym to rozważał.

– Sprzęt sportowy jest za twardy, ale jeśli chcesz pobawić się

czymś w łóżku, jestem otwarty na propozycje.

Nie docenia mojego poczucia humoru.

– Wychodzę.

– Uciekasz.

Zaciska usta, piorunując mnie wzrokiem i, cholera, jest urocza, gdy

się tak złości. Nie mogę się doczekać, by zobaczyć, jak będzie wyglądała wkurzona do granic możliwości, i coś mi podpowiada, że niedługo się o tym przekonam.

Kładzie rękę na biodrze, drugą wskazuje prosto na mnie.

– Na wózku czy też nie, lepiej żebyś pojawił się jutro w sądzie albo urządzę ci piekło.

– Jako przeciwieństwo tej rozkoszy, którą serwujesz mi teraz?

Wyrzuca ręce w górę i kieruje się do drzwi.

– Do jutra, aniołku! – wołam za nią.

Chwilę później Harrison ponownie pojawia się w salonie, po

odprowadzeniu jej do drzwi.

– Aniołku? – pyta.

– Jasne. – Podnoszę szklankę do ust. – To właśnie anioł zesłał plagi na Egipt.

– Ach, rozumiem. – Kiwa głową. – Ale coś mi mówi, że z żabami

i szarańczą łatwiej byłoby sobie poradzić.

Nie spieram się z tym twierdzeniem.

## 6

Następnego ranka przychodzę do kancelarii wcześniej, by nadrobić

wczorajszy wolny dzień. Zatracam się w dokumentach, aż otoczenie

ożywa wokół mnie – przedpołudniowe słońce zagląda przez okna,

rozbrzmiewają kroki pani Higgens, w powietrzu unosi się zapach

kawy... zza ściany dobiega grzmot, od czego aż trzęsie się miniaturowa tarcza do rzutek ustawiona na moim biurku.

Co, u diabła?

Zanim podchodzę do drzwi, grzmot rozlega się ponownie, ale tym

razem następuje po nim przytłumiony krzyk – to pełen szoku i bólu

męski głos.

Co, do chuja?

Spieszę korytarzem i spostrzegam, że dźwięk dochodzi z gabinetu

Sofii. Jake i Stanton wychodzą ze swoich biur w tym samym czasie, ich zatroskane miny pasują do mojej. Kiedy rozlega się kolejny grzmot,

Stanton zaciska usta w wąską linię, jego oczy przypominają głowice

jądrowe tuż przed wybuchem. Wyprzedza nas w drodze do gabinetu

żony.

Sofia zawsze była brazylijską seksbombą, jednak w tej chwili ma

dotatkowy bagaż, ponieważ jest w siódmym miesiącu ciąży. Sprawia to, że trzymany przez nią facet z twarzą przyciśniętą do blatu biurka i ręką wygiętą za plecami pod dziwnym kątem, stanowi bardzo niepokojący

obraz. I... jednocześnie wspaniały.

– Aaa! Złamiesz mi rękę! – jęczy gość.

– Wszystko w porządku? – pyta Stanton Sofię.

– Superaśnie – odpowiada z uśmiechem.



Sofia się cofa, więc Stanton podchodzi, chwyta mężczyźnię za szyję

i dusząc go, przyszpila do ściany.

– Coś ty, kurwa, zrobił? – grzmi.

Facet wytrzeszcza oczy.

– Ja? To ona prawie złamała mi rękę!

Stanton odciąga go o kilka centymetrów od ściany, po czym uderza

o nią jego plecami.

– Co zrobiłeś, że prawie złamała ci rękę?

– Powiedziałam mu, że będzie musiał iść do więzienia. – Sofia

odsuwa długie ciemne włosy za ramię, wachlując spoconą szyję. – Że

nie dałam rady wynegocjować ugody, która nie wiązałaby się

minimalnie z dwoma do czterech lat odsiadki. Nie spodobało mu się to i się na mnie zamachnął.

– Zamachnąłeś się na moją żonę? – Stanton zaciska palce na szyi

gościa. – Na moją ciężarną żonę?!

Sofia staje się głosem rozsądku.

– Nic mi się nie stało, Stanton. Naprawdę. Proszę, po prostu go

stąd wyprowadź. – Posyła gnojkwowi ostre spojrzenie, które mogłoby

zabić go szybciej niż jej mąż. – Porzucam twoją sprawę i wnoszę

dodatkowe oskarżenie. Jakikolwiek adwokat, u którego skończysz, nie

będzie w stanie zapewnić ci mniej niż te dwa do czterech lat, więc baw się dobrze, dupku. Wynocha.

– Pomogę ci – mówi Jake cichym, groźnym głosem. Zabiera

bydlaka z rąk Stanton'a i dosłownie wypycha go przez drzwi.

Stanton natychmiast dotyka brzucha i ramion żony.

– Na pewno wszystko w porządku?

– Całkowicie. Nawet mnie nie dotknął.

Stanton kiwa głową i ją tuli. Do powrotu Jake'a znów jest rozsierdzony.

– To koniec, Soph, skończyłaś. – Gestykuje żywiłowo, zaciskając mocno zęby.

– Nie zaczynaj znowu – odpowiada Sofia.

Może chcecie zrobić popcorn? Dobry prawnik potrafi spierać się z samym sobą. Ale dwóch prawników... To jak werbalne sztuki walki w klatce, bez zasad.

– Koniec z tym, Sofio. Od teraz zaczyna się macierzyństwo. –

Stanton krzyżuje ręce na piersi, co nigdy nie jest dobrym znakiem.

– Nie, żaden koniec, Stanton. Nie będę spełniać twoich fantazji o mnie chodzącej boso i z brzuchem po kuchni!

Mężczyzna się przysuwa.

– Możesz nosić buty. Stawiam na szpilki.

Tak, to naprawdę dobry argument.

Następnie Stanton, nie okazując swojego zwyczajowego uroku, traci nad sobą panowanie.

– Jesteś moją żoną, a to nasz syn! Nie będę stał z założonymi rękami, patrząc, jak któremuś z was dzieje się krzywda, więc koniec z bandziorami i ćpunami. Jeśli chcesz siedzieć za biurkiem, zostań cholernym doradcą podatkowym lub kredytodawcą!

– Decyzja o tym nie należy do ciebie!

– Właśnie zdecydowałem!

Po cichu mówię do Jake'a:

– Nie lubię, gdy mama i tata się kłóca.

Uśmiecha się do mnie.

Sofia patrzy z zadowoleniem na męża.

– Zatem dobrze, że w tej kancelarii jesteśmy równymi partnerami, ponieważ wspólnie możemy podejmować decyzje.

Stanton obojętnie kiwa głową.

– Słuszna uwaga. Powinniśmy zagłosować, ponieważ to firmowa decyzja.

Uśmiech zadowolenia Sofii znika.

– Jake? – pyta Stanton, choć wciąż przygląda się żonie.

Następuje krótka chwila ciszy, po czym Jake mówi:

– Zgadzam się ze Stantonem. – Wyraz twarzy Sofii tężeje, ale

zanim udaje się jej wszcząć kłótnię, Jake dodaje: – W wojsku, straży pożarnej i policji kobiety zostają zwolnione ze służby na czas ciąży.

– Ale ja nie pracuję w żadnej z tych instytucji! – Wyrzuca ręce

w górę. – Nie muszę wynosić ludzi z płonących budynków ani unikać ostrzału, do cholery!

Jake jest nieugięty jak stal.

– Nadal nie jest to warte ryzykowania, że jakiś gnojek rzuci się na ciebie. I nie ma to nic wspólnego z tym, że jesteś kobietą. Gdyby to Stanton był inkubatorem, powiedziałbym mu tę samą pieprzoną rzecz.

Chociaż, dzięki Bogu, nie jest to możliwe.

W głosie Stantona pobrzmiewa zadowolenie, gdy zawraca się do mnie:

– Brent? A ty jak myślisz?

Sofia patrzy na mnie błagalnie.

Spoglądam jej w twarz.

– Jesteś moją przyjaciółką, więc mogę ci powiedzieć, że według

mnie głupio postępujesz.

– Ale...

Unoszę rękę.

– To tylko kilka tygodni z dala od klientów, więc nie koniec

świata. I dzięki temu wszyscy bylibyśmy spokojniejsi. – Odwołuję się do mojego wewnętrznego Waldo.

– Nie musisz nam niczego udowadniać,

Sofio, chociaż może wydaje ci się, że musisz udowodnić coś sobie,

jednak nie jest to warte twojego zdrowia. Albo zdrowia małego Beckera Masona Santosa Shawa.

Stanton się śmieje.

– Dziękuję.

– Nie tak szybko, nie skończyłem. – Biorę głęboki wdech. –

Chociaż rozumiem twój punkt widzenia, jesteś dorosła. Nie mam

zamiaru odbierać ci możliwości decydowania, więc głosuję, by Sofia

mogła robić to, co jej się żywnie podoba.

Stanton zaciska zęby.

– Jaja sobie robisz?

– Nie.

Sofia wykonuje gest zwycięstwa.

– Dziękuję, Brent.

Ale jej mąż jeszcze nie skończył. Nawet jeśli jesteśmy

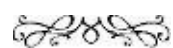
w podobnym wieku, ta trójka zawsze uważała mnie za młodszego brata,

czy kogoś w tym stylu. Jakby musieli mnie uczyć. Nie wiem, skąd im się to wzięło, bo przecież na świecie musi istnieć wielu mężczyzn

trzymających komiksy na firmowych regałach.

Prawda?

Stanton przybiera minę tatuśka, gdy mówi do mnie:



– Przyjdzie taki dzień, że będziesz troszczył się o kogoś, kto będzie ci droższy niż ty sam. I wtedy zrozumiesz, jak to jest i dlaczego się mylisz.

– Zapamiętam, ale podtrzymuję swoje zdanie. – Zerkam na zegarek. – A teraz odpalam wrotki i lecę do sądu.

Odwracając się i wychodząc, słyszę, jak Stanton grozi, że zadzwoni do matki Sofii.

Sofia jest twarda, ale ma skłonności do dramatyzowania.

– Wciągnij w to moją matkę, a nigdy ci nie wybaczę!

Słyszę humor w głosie jej męża, gdy odpowiada:

– Nigdy to strasznie długo, kochanie, ale zaryzykuję.

Kilka godzin później Kennedy przesłuchuje poszkodowaną przez Justina Longhorna. Wczoraj przebrnęła przez większość spraw technicznych i choć Sofia szczegółowo przepytала świadka, szkoda została wyrządzona.

Jednak nie tak wielka, jak może wydarzyć się teraz.

Ponieważ Kennedy – wyglądająca w kremowej garsonce niczym apetyczna kremówka – przesłuchuje Eloise Potter. Niewielką, siwą, pomarszczoną, całkowicie uroczą starszą panią.

Kobieta wygląda jak moja babunia. Wygląda pewnie jak babunia każdego z nas.

Od chwili gdy Kennedy wyciągnęła z niej całą historię, jak ciułała każdego dolara na planie emerytalnym dla siebie i męża, oraz łzawą opowieść o załamaniu i strachu, gdy zobaczyła, że zniknęły ich oszczędności, ława przysięgłych patrzy na mojego klienta, jakby był

zaginionym bratem kartelu Menendezów. W razie gdybyście nie wiedzieli, to potwory, które zastrzeliły rodziców z dubeltówki, żeby przejąć spadek.

Zatem nie wróży to niczego dobrego.

– To wszystko, wysoki sędzie – mówi Kennedy.

Uśmiecha się do mnie szatańsko, wracając za biurko. Gdy przechodzi, zaciągam się jej owocowym zapachem, na co natychmiast reaguje mój członek.

Zajebiście. Teraz, gdy muszę przesłuchać babcię, mam wzwód.

Biorę głęboki wdech, wstaję i zapinam marynarkę. Uśmiecham się ciepło.

– Dzień dobry, pani Potter. Nazywam się Brent Mason.

Kiwa głową z uśmiechem.

– Witam, młodzieńcze.

Wychodzę zza biurka.

– Pani Potter, czy policjanci prowadzący sprawę poinformowali panią, że wszystkie pieniądze wróciły na konto?

– Tak, poinformowali, dzięki Bogu. Razem z Haroldem odczuliśmy wielką ulgę.

– Jestem tego pewien. Wyjaśniono państwu również, że pieniądze i tak zostałyby zwrócone?

– Tak, zgadza się.

Wskazuję na Justina, który siedzi pokornie w niebieskim szkolnym blezerze i beżowych spodniach, trzymając złożone ręce na blacie.

– Co pani czuje odnośnie mojego klienta, pani Potter? Wiedząc, że

ma on zaledwie siedemnaście lat? Uważa pani, że powinien pójść do

więzienia, że reszta jego życia powinna zostać zniszczona przez jeden młodzieńczy wyskok?

Kennedy podrywa się z miejsca tak, jak się tego spodziewałem.

– Sprzeciw! Uczucia pokrzywdzonej względem sprawcy nie

wnoszą niczego do sprawy.

Jednak tym razem jestem na to przygotowany.

– Pani Randolph otworzyła drzwi do uczuć pokrzywdzonej, gdy

poprosiła o relację z tego, jak pani Potter odkryła brak pieniędzy na swoim koncie, wysoki sędzie.

Sędzia Phillips zastanawia się przez chwilę, po czym się ze mną

zgadza.

– Oddalam sprzeciw, pani Randolph.

Satysfakcja przelewa się w moich żyłach, aż wymyka mi się ciche

„ha”.

Następnie sprawy dość szybko przybierają niekorzystny obrót.

– Czy ty mnie właśnie wyśmiałeś? – syczy Kennedy niczym mokra

kotka.

Obracam się do niej twarzą.

– Nie, nie wyśmiałem cię. To byłoby nieprofesjonalne.

– Zdecydowanie słyszałam „ha”.

– To masz omamy, kochana.

Jej oczy płoną, zwężając się mocno. Zerka na sędziego, jednak

skupia się głównie na mnie.

– Żądam, by sąd zdyscyplinował pana Masona. Odnoszenie się do

oskarżenia obraźliwymi zwrotami jest wysoce nie...

Podchodzę do niej.

– Nie ma nic obraźliwego w słowie „kochana”. To pieszczotliwy termin.

– To poniżające!

– To ujmujące.

– Co nie jest ani dozwolone, ani doceniane – drwi Kennedy. –

Zostało to jasno orzeczone w sprawie Billings kontra Hobbs.

– Masz rację, ale zupełnie inaczej orzeczono w sprawie Probst kontra Clayton.

Toczymy pojedynek na spojrzenia. Kennedy podchodzi do mnie, oddychając ciężko.

– Sprawa Probst kontra Clayton została oddalona.

Przysuwam się, serce bije mi mocno, aż staję z nią praktycznie nos w nos.

– Zatem sprawa Dwyer kontra Bocci. – Po czym mruczę, by tylko ona mnie słyszała: – Spróbuj z tym.

Skupia spojrzenia na moich ustach.

– Ugryź mnie – odpowiada również szeptem, po czym głośno

mówi: – Przejrzę sprawę Dwyer kontra Bocci, ale przypominam ci Evans kontra Chase.

Cholera, mam ochotę ją pocałować. Jest tak blisko, byłoby to całkiem łatwe.

I dobre.

Sędzia Phillips odchrząkuje, więc odsuwamy się od siebie.

W pomieszczeniu panuje grobowa cisza, wszyscy skupiają się na nas.

– Chcielibyście zostać sami? – pyta sędzia, marszcząc brwi. –



Mogę zażądać opuszczenia sali.

Spuszczam wzrok i praktycznie czuję zażenowanie Kennedy.

– Nie, wysoki sędzie.

– To nie będzie konieczne, wysoki sędzie.

– Ach, pamiętacie, że ja tu rządę. To pocieszające. – Bierze

młotek. – Jednakże mnie przydałaby się chwila przerwy z wami na

osobności. – Podnosi głos, zwracając się do reszty zgromadzonych: –

Jest piątek, więc kończymy wcześniej. Wznowienie rozprawy nastąpi

w poniedziałek o dziewiątej. – Stuka młotkiem. – Odraczam posiedzenie.

Pani Randolph, panie Mason, zapraszam do mnie.

Na sali sądowej rozlega się szum rozmów. Wszyscy wstają, gdy

sędzia opuszcza miejsce, wychodzi publika, pani Potter schodzi

z miejsca dla świadka i kieruje się w stronę zgarbionego, siwego

mężczyzny z szelkami, który, jak zakładam, musi być Haroldem

Potterem. Zatrzymuje się przy mnie z błyskiem w oku.

– Myślałam, że zaczniesz ją rozbierać. Czytałam wiele książek,

a taka scena kończy się porywaniem dziewczki przez kawalera.

– Byłem bliższy uduszenia jej.

Niewielka staruszka chichocze w znaczący sposób.

– To zupełnie inna książka, synku.

Idę do gabinetu sędziego, Kennedy depcze mi po piętach. Po

naszym wejściu woźny zamyka drzwi. Sędzia Phillips wiesza czarną

togę w niewielkiej szafie i poprawia mankiety koszuli, po czym zajmuje miejsce za swym masywnym, ciemnym biurkiem.

– Panie Mason, panno Randolph, mamy problem. – Wzdycha

niczym zawiedziony rodzic.

Kennedy natychmiast rzuca się do odpowiedzi:

– Mogę mówić bez ogródek, wysoki sędzie?

– To nie wojsko, panno Randolph. Proszę mówić, co pani musi.

Kobieta wskazuje na mnie.

– On jest dupkiem.

– Ja jestem dupkiem? – krztuszę się. – A co z tobą? Od pierwszego dnia jesteś wrzodem na moim tyłku!

Otwiera usta z przerażeniem.

– Nie interesuje mnie twój tyłek!

– Coś za bardzo temu zaprzeczasz, co?

I wracamy do potyczki nos w nos. Pomimo szpilek, Kennedy jest niska, więc muszę się pochylać.

– Mam wrażenie, że państwo się znają – przerywa nam sędzia.

Odpowiadamy w tym samym czasie:

– Niespecjalnie.

– Zgadza się.

Spoglądam na nią z irytacją, po czym informuję sędziego:

– Byliśmy za młodu sąsiadami.

Kennedy prycha i krzyżuje ręce na piersiach.

– Nasze domy dzielił jakiś hektar, więc nie byliśmy współlokatorami.

– Byliśmy chwilę razem, gdy byliśmy nastolatkami – rzucam dobrowolnie. – Po czym złamała mi serce. To było podłe.

Kennedy opada szczęką. Właściwie to całkiem ładnie wygląda z rozwartymi ustami.

Gdyby nie ten morderczy wyraz ślicznej buźki, dałbym się nabrać.

– Ja złamałam ci serce?! To kłamstwo!

Gestykuluję i podnoszę głos:

– Byłaś z Williamem Penderghastem, jeszcze zanim ślina zdążyła wyschnąć na moich ustach!

I nim płyny fizjologiczne wyschły na moim brzuchu. Jednak ten szczegół zatrzymuję dla siebie, bo jestem dżentelmenem.

Kennedy rzuca mi prosto w twarz:

– Ponieważ ty zdążyłeś już wtedy wrócić do swojej zdirowatej dziewczyny!

Sędzia chrząka. Ponownie.

*Ups.*

– Tak, państwo definitywnie się znają. – Opiera się w fotelu, przeskakując między nami spojrzeniem.

Kennedy podchodzi do jego biurka, żeby nie widział jej miny.

Jednak jej głos jest łagodniejszy, a nawet spokojniejszy.

– Nie widzieliśmy się przez piętnaście lat, wysoki sędzie. Prawda jest więc taka, że wcale się nie znamy. – Nieznacznie kręci głową. – Już nie.

Może to sposób, w jaki to powiedziała – monotennie, z iskrą gniewu lub rozdrażnienia czy smutku – a może to, że wypowiedziane przez nią słowa są prawdą, ale serce mi pęka. Czuję ostrą, niespodziewaną tęsknotę, co wydaje się również splecione z poczuciem winy.

Sędzia Phillips przygląda się nam przez dłuższą chwilę. Obraca się w fotelu, bierze oprawione zdjęcie, stojące za nim na półce i podaje je nam.

– Mam pięciu synów. Nawet po pierwszych trzech moja Alice była

zdeteminowana, by mieć córkę. Po narodzinach Timothy'ego w końcu

pogodziła się, że będą musieli wystarczyć jej synowe.

Na zdjęciu sędzia Phillips i jego szykowna żona stoją przed latarnią morską w otoczeniu pięciu ciemnowłosych dwudziestokilkuletnich

chłopaków w jasnoniebieskich eleganckich koszulach i jeansach.

– Piękna rodzina, wysoki sędzie – mówię.

– Wyglądają na wspaniałych, szlachetnych młodych mężczyzn –

– dodaje Kennedy.

– Tacy są. Teraz. Kiedy byli nastolatkami, byli destruktywnymi,

nieokrzesanymi łobuzami, którzy uwielbiali się nawzajem wkurzać.

Uśmiecham się, ponieważ brzmi to jak Jake, opowiadający

o zmaganiach ze swoimi McQuaidami.

– Kiedy dwóch naprawdę się pokłóciło – mówi sędzia –

zamykałem ich razem w pokoju i pozwalałem wszystko sobie wyjaśnić.

Czasami słychać było łoskot czy brzdęk przedmiotu uderzającego

o ścianę, ale w większości potrafili rozwiązać swoje problemy sami. A, co ważniejsze, nie musiałem słuchać, jak to robili.

Wyciąga z kieszeni portfel i rzuca na biurko kilka dwudziestek.

Spogląda na kupkę, kręci głową i dorzuca jeszcze trochę banknotów.

– Ta strategia dobrze się sprawdzała, więc mam zamiar

wykorzystać ją i w waszym przypadku. – Wskazuje na pieniądze. –

Idźcie gdzieś, usiądźcie, zjedzcie kolację i może coś wypijcie, a przy okazji popracujcie nad swoimi problemami, żebyście tymi kłótniami nie zmieniali sali sądowej w cyrk.

Plan sędziego gwarantuje mi spędzenie czasu z Kennedy, więc mi

się podoba.

Jej nie bardzo.

– Wysoki sędzie, to wysoce niestandardowe...

– Tak, rzeczywiście, panno Randolph, ale zalecam takie właśnie postępowanie. Przyglądanie się, jak skaczecie sobie do gardeł, wyprowadza mnie z równowagi i gra na nerwach.

– Wysoki sędzie, mogę zapewnić, że...

– Nie chcę zapewnień, młoda damo. Chcę przebiegającego gładko procesu. – Ponownie wskazuje na pieniądze na biurku. – To mi go zapewni, więc nawet nie myślcie wracać w poniedziałek na salę, póki wasze problemy nie zostaną rozwiązane.

Kennedy tupie.

– Nie mamy żadnych problemów! Nie można...

– Och, na litość boską. – Biorę pieniądze i mocno chwytam ją za rękę. – Rozwiążemy je. Miłego weekendu, wysoki sędzie.

Wychodzę z pomieszczenia, ciągnąc ją za sobą jak upartego osła.

Próbuje mi się wyrwać w korytarzu.

– Nie ciągnij mnie!

– Więc idź – warczę w odpowiedzi.

Kiedy czuję, że jej opór słabnie, puszczam jej rękę i widzę, że idzie ze mną.

– Nie może tego zrobić! Nie może nakazać nam zjedzenia kolacji!

Co to w ogóle za średniowieczny...

– Jest sędzią, geniuszu, może zalecić, co mu się żywnie spodoba.

I tak już mu podpadliśmy, dalsze wkurzanie go żadnemu z nas się nie przysłuży.

– Ale...

Przystaję i obracam się do niej twarzą. Ściszam głos do kuszącego, choć przekonującego szeptu:

– To jeden posiłek. Jedna rozmowa. Miejmy to już z głowy.

Będziesz wreszcie mogła wrócić do udawania, że nie istnieję. Czy nie



tego właśnie chcesz?

Wpatruje się w moją twarz.

Oczywiście, że kłamię, ponieważ, skoro wróciła i mogę ją widzieć i dotykać, mam możliwość z nią rozmawiać i się droczyć, może nawet pewnego dnia ją rozśmieszyć, nie ma cholernej mowy, bym ponownie pozwolił jej odejść.

Nie mruga. I nie cofa się. Wypuszcza przeciągły oddech i mówi:

– Dobra. Jeden posiłek, jedna rozmowa. I tyle.

Uśmiecham się łagodnie. Czarująco.

– Widzisz, to nie było takie trudne. Będę nawet na tyle miły, że pozwolę ci wybrać restaurację, Żmijo.

Zaciska usta, obraca się i odchodzi korytarzem.

– Nie mów tak do mnie. Brzmi to jak pseudonim jakiejś striptizerki.

Idę obok niej.

– A co jest nie tak z pseudonimem striptizerki? Najlepsze osoby, jakie znam, pracują w tym zawodzie. Poza tym Żmija była odłotową

bohaterką z komiksów o *Kapitanie Ameryce*. To mój ulubiony czarny, seksowny charakter. Większość chłopaków do pobudzania fantazji

używała „Playboya”. Ja miałem Marvela. Powinnaś to uznać za najwyższej klasy komplement.

Prycha i kręci głową. To brzmi niemal jak śmiech.

A to, moi drodzy, jest postęp.

Siedzimy przy okrągłym stoliku na tyłach pustego baru kilka  
przecznic od budynku sądu. Światło jest słabe, subtelna muzyka  
wypełnia lokal, więc możemy swobodnie rozmawiać i wciąż nie ma  
krępującej ciszy.

– Proszę dwa cheeseburgery z boczkiem, średnio wysmażone –

mówię kelnerce. – A dla pani krążki cebulowe zamiast frytek i sos

barbecue zamiast ketchupu. I dwa lane piwa. – Oddając karty, patrzę na Kennedy. – Proszę się nie  
spieszyć, jedzenie może być trochę później.

Po odejściu kelnerki blond zmija patrzy na mnie, jej usta ułożone  
są w uroczą, wkurzoną podkówkę.

– No co?

– Może chciałam wegetariańską kanapkę? Mogę nie jeść już mięsa.

Krzywię się.

– A nie jesz?

– Jem.

– Więc przestań marudzić. – Rozsiadam się na krześle, rozchyłam  
kolana, sadowiąc się wygodnie i zastanawiając się, od czego zacząć.

Kennedy wybawia mnie z tej opresji.

– Nie wierzę, że powiedziałaś sędziemu Phillipsowi, że złamałam  
ci serce. – Prycha i kręci głową, jakby to było niedorzeczne.

Patrzę jej prosto w twarz.

– Złamałaś. Minęło czternaście lat, ale wciąż pamiętam, jak to  
było. Byłem zdruzgotany, gdy poszłaś na randkę z Williamem.

– Nawet nie wiesz, co to strzaskane serce.

– Tak, wiem. Strzaskałaś je, dając mi najlepszy orgazm w moim  
siedemnastoletnim życiu, pozwoliłaś słuchać swoich jęków, gdy

zaciskałaś się wokół moich palców, a kilka godzin później dałaś mi

kosza dla pieprzonego Williama Penderghasta.

Słyszeliście tę gorycz? I dobrze.

Kennedy pochyła się nad stołem, jej oczy płoną.

– Wróciłeś do Cashmere, zanim zgodziłam się pójść na randkę

z Williamem!

Mrugam.

– Nie, wcale nie.

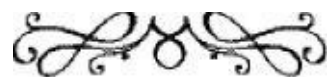
– A właśnie, że tak.

Kelnerka przynosi piwo – ma doskonałe wyczucie czasu. Oboje

upijamy spory łyk.

Odstawiam zmrożoną szklanekę i sugeruję:

– Może zaczniemy od początku?



– Dobra – zgadza się. – Trzecia klasa szkoły średniej, weekend

rodziców.

Gotowi na podróż w czasie? To chwila na zabawę rodem z tysiąc

dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego...



*Szkoła średnia im. Świętego Artura z internatem, trzecia klasa*

– Kitty!

– Mitzzy!

Nasze matki ściskają się, jakby nie widziały się od lat. Baner

z napisem Witamy Rodziców wisi nad wejściem do głównego budynku,

słońce świeci, pogoda jest ciepła, mimo odrobiny wczesnowiosennego

chłodu. Eagle-Eye Cherry gra z radia gdzieś po drugiej stronie placu, rodzinne grupki rozsiane są na zielonej trawie.

– Wieki cię nie widziałam! – mówi Mitzzy. – Powinniśmy wszyscy

zjeść razem lunch! Przy jeziorze jest cudowne miejsce...

Matka przytakuje cicho, w tym samym czasie, korzystając z ery

ciemnych okularów, mogę przyjrzeć się Kennedy. Wygląda dzisiaj

wyjatkowo słodko. Brązowe włosy spięte ma na czubku głowy

w niechlujny, choć seksowny kok. Ubrana jest w niebieskie jeansy

i wielką rozpiętą koszulę w granatową kratę, ale to znajdująca się pod nią biała koszulka na ramiączkach przykuwa moją uwagę, ponieważ

ukazuje jej płaski brzuch i opina się na słodkich cycuszkach. Miesiąc temu dziewczyna zdjęła aparat z zębów. Cudnie.

A w tej chwili bawi się ustami – przygryza pulchną wargę i nieco

ją ssie. Temu widokowi zawdzięczam swój pierwszy wzwód w wieku

trzynastu lat i, cholera, zaraz znów mnie to czeka.

Z Kennedy zawsze byliśmy zżyci... aż do tego roku, kiedy to

zostałem kapitanem drużyny lacrosse i zacząłem umawiać się z Cazz.

Chodzić z nią, znaczy ją pieprzyć. Ostatnio Kennedy spędza czas ze

swoją współlokatorką Vicky Russo, a ja zadaję się z... innymi ludźmi.

Poprawia okulary i uśmiecha się do mnie.

– Cześć.

– Cześć.

Niczym niezadowolony blond upiór, z boku staje siostra Kennedy.

– Umarłabyś, gdybyś się trochę lepiej ubrała? Poważnie, Kennedy, rodzice przejechali całą tę drogę...

Wkładam ręce w kieszenie i kołyszę się na piętach.

– Cześć, Claire. Miło cię widzieć.

– Brent. – Uśmiecha się sztywno. – Wyglądasz... – Spogląda na moje jeansy, tenisówki i kołnierzyk białej koszuli wystający spod granatowego swetra. – ...Typowo.

Unoszę rękę.

– Claire, proszę, wiem, że jestem wspaniałym okazem męskiej doskonałości, ale twoja obsesja na moim punkcie jest przynajmniej żenująca.

Kennedy prycha. Chce mi się śmiać i nawet nie wysilam się, by się powstrzymać, ponieważ kwaśna mina Claire Randolph jest dużo

zabawniejsza niż jej normalny wyraz twarzy. Odwraca się i idzie ścieżką za naszymi rodzicami, zostawiając mnie i Kennedy z tyłu.

– Naćpałeś się? – pyta mnie cicho.

Przysuwam się.

– Jak cholera. To jedyny sposób, by jakoś przeżyć ten weekend.

Znam kilku gości, którzy palą marychę na potęgę, ale nie jestem jednym z nich. Jednak uważam, że ziołowe odświeżenie przed długim, stresującym dniem jest całkowicie dopuszczalne.

Kennedy kręci głową i marszczy z rozdrażnieniem nos. To również

jest cholernie urocze.

Idziemy obok siebie, człapiąc za plotkującymi rodzicami.

– Widzę, że twoja siostra wciąż nie zdecydowała się na operację.

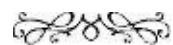
Natychmiast odpowiada:

– Tę, dzięki której wyciągną jej kij z tyłka? Nie, jeszcze nie.

Śmieję się głośno.

– Kurde, Kennedy, wydaje mi się, że od wieków nie spędzaliśmy ze sobą czasu. Gdzie się podziewałaś?

Widywałem ją czasami, ten kampus nie jest wielki. Jednak nie spotykałem się z nią. Nie pamiętam, kiedy ostatnio rozmawialiśmy,



a z nią tak fajnie się gada.

Obraca głowę, przygląda mi się przez chwilę, po czym mówi prawie szeptem:

– Przez cały czas tu byłam.

– Postawa, Kennedy. Garbienie się jest dla dziewcząt o słabym kręgosłupie.

– Dlaczego nie nosisz soczewek kontaktowych, Kennedy? Oczy są twoją największą zaletą, a mimo to je ukrywasz.

– Kolejna bułka, Kennedy? Nie powinnaś, węglowodany są wrogiem każdej tancerki.

I jest tak, odkąd usiedliśmy. Przez ostatnią godzinę Mitzy

Randolph skrytykowała córkę aż po koniuszki cholernych paznokci.

Moje odurzenie się ulotniło. Czuję, jakby głowa miała mi

ekspłodować, jeśli nadal będę słuchał jej złośliwych komentarzy.

Oczywiście nie może przestać:

– Kennedy mogłaby być klasyczną primabaleriną, gdyby tylko była wyższa.

Mówię:

– Może kiedyś uda nam się znaleźć jakiś stary stojak i przywiązać ją do niego, by się rozciągnęła?

Czworo rodziców zamiera. Patrzą na mnie z pustymi wyrazami twarzy.

Kiedy już mam powiedzieć, żeby sobie darowali, Kennedy zaczyna chichotać. To wymuszony, głośny śmiech, sygnał dla innych, że opowiedziano dowcip i byłoby grzecznie, gdyby również się zaśmiali.

Poza sprawami dotyczącymi córki Mitzy Randolph jest uosobieniem grzeczności.

To samo tyczy się mojej matki.

– Brent, kochanie, zdejmij okulary. To niegrzeczne nosić je przy stole.

Zdejmuję je, lecz zwieszam głowę, starając się ukryć oczy.

Przerażona matka wciąga gwałtownie powietrze, więc mój plan najwyraźniej nie wypalił.

– O Boże, dlaczego masz takie czerwone oczy? Masz zapalenie spojówek?

Claire Randolph w końcu się uśmiecha. Założę się, że lubi też oglądać, jak robak wije się pod wielką lupą w prażącym słońcu.

– Nie, mam, nie mam zapalenia spojówek.

– Ale wyglądasz okropnie! – Kładzie dłoń na rękę ojca. – Donald,

skarbie, może powinniśmy poprosić lekarza, żeby zajął się Brentem?

– To alergia – wcina się Kennedy, mówiąc, jakby naprawdę tak uważała. – To zaczerwienienie od alergii.

– Brent nie ma żadnych alergii.

Kennedy uśmiecha się do mojej mamy i mówi z tak wielkim przekonaniem, że sam jej wierzę:

– Wszyscy mamy tu alergię. To coś powiązanego ze specjalnym gatunkiem drzew z Connecticut. Wytryskują pyłkami.

*Wytryskują?*

Dziewczyna kicha dla lepszego efektu.

Oczywiście Claire tego nie kupuje, ale reszta łyka kłamstwo jak stuletnią szkocką.

Mija zaledwie kilka minut, gdy:

– Umów się na wizytę u fryzjera, Kennedy. Stąd widzę twoje rozdwijające się końcówki.

Wstaję tak szybko, że leżące na stoliku okulary grzechoczą.

– Idziemy na spacer.

Oczy mojej matki są wielkie jak u sowy.

– Dlaczego?

Przyznanie, że jestem na skraju uduszenia jej koleżanki obrusem, prawdopodobnie nie byłoby za dobre.

– Widziałem... błękitnego drozda śpiewaka przy jeziorze. Są wyjątkowo rzadkie. Uczymy się o nich z Kennedy na zajęciach z dendrologii...

– Dendrologia to nauka o drzewach – szepcze gorączkowo

Kennedy.

– ...i dzikiej ornitologii.

Jestem bramkarzem w grze lacrosse – zawsze ratuję sytuację.

I dają się nabrać.

Pięć minut później idziemy z Kennedy brzegiem jeziora. Biorę

kamień i wrzucam go do wody.

– Jak ty to znosisz?

– Co znoszę?

– Postawa, Kennedy, rozdwojone końcówki, Kennedy, cholerne węglowodany, Kennedy... Miałem ochotę wbić sobie widelce w uszy,

żeby już dłużej tego nie słuchać, a ona nawet nie mówiła do mnie!

Moja towarzyszka uśmiecha się i nie jest to smutna, sztuczna czy

zgorzkniała mina. Uśmiech jest po prostu ładny.

– Nie mówi tego w złej wierze.

– Więc po co, u licha, się odzywa?

Kennedy wzrusza ramionami i sama również rzuca kamieniem.

– Chce, żebym była szczęśliwa. Według jej definicji szczęścia.

Gdyby się o mnie nie troszczyła, nic by nie mówiła. Po prostu by mnie ignorowała. A to byłoby jeszcze gorsze.

Przez chwilę patrzymy sobie w oczy, przy czym uświadamiam

sobie, jak bardzo tęskniłem za tą dziewczyną. Niezbyt to męskie, ale cholernie prawdziwe. Ludzie, z którymi spędzam czas, z którymi

codziennie rozmawiam, nie są prawdziwi. Nie patrzą na rzeczy tak jak Kennedy.

Nie widzą mnie tak jak ona. Nawet dzisiaj, po całym tym czasie

rozłąki, nie czujemy skrępowania. Ponieważ ona zna mnie na wylot.

Wszystkie moje części, dobre i złe, to, co czyni mnie tym, kim jestem.

I nikt inny nie sprawia, że czuję to, co w tej chwili, gdy spoglądam na nią. Boli mnie w piersi, ściska mi się żołądek, a krew szumi w uszach.

– Jestem zaskoczona, że nie siedzisz na lunchu z rodziną Cashmere

– mówi Kennedy.

To sprawia, że żołądek ściska mi się z zupełnie innego powodu.

Cashmere jest najseksowniejszą laską w szkole, a nasza relacja

stała się dzika. Zabawna. Jednak spotykaliśmy się od roku, a ona... się zmieniła. Zaczęła mnie dusić, a jednocześnie mną dyrygować. Stała się zazdrosna i nierozsądna. To kolejny powód, przez który nie widywałem się ostatnio z Kennedy – Cashmere niezbyt za nią przepada.

– Zerwaliśmy.

Kennedy unosi brwi.

– Serio? Kiedy? Dlaczego?

Podoba mi się wesoła iskra w jej oczach, wygląda na to, że

czujemy to samo.

– Tak. Wczoraj. Nie wiem, dokładnie dlaczego.

– Nie wiesz?

– Było wiele krzyku, trudno było wyłuskać z tego konkretne słowa.

Coś pomiędzy tym, że ją duszę, a tym, że nie poświęcam uwagi, na jaką zasługuje. – Ponownie wzruszam ramionami.

Kennedy przełyka ślinę, idąc wzdłuż wody.

– Wow. Wiesz... Nie wydajesz się z tego powodu załamany.

– Bo nie jestem.

Lekka bryza zwiewa jej luźne pasma włosów na policzek.

– Myślisz...

– Kennedy! – woła Mitzy Randolph w kierunku wzgórza, na

którym stoimy. – Kennedy!

Jej głos przypomina mi ciotkę Em wołającą Dorotkę przed

zbliżającym się tornadem.

Gestykulując, nakazuje nam powrót, co też niechętnie czynimy.

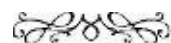
Mitzy, wciąż wymachując rękami, wyjaśnia nam obojgu:

– Wpadliśmy na genialny pomysł! Zaledwie dwa kilometry stąd znajduje się hotel Remington, mają tam fantastyczny bar i kasyno.

Bardzo eleganckie kasyno. Wszyscy spędzimy tam wieczór, a jutro odwieziemy was do szkoły. Czyż to nie cudowne?

Uśmiecham się do Mitzy i zarzucam rękę na ramiona Kennedy. To oznacza dużo czasu razem.

– Super, pani Randolph.



– Śpisz, Kennedy? – szepczę.

Nasłuchuję pod drzwiami apartamentu Randolphów, ale nie słyszę po drugiej stronie żadnego ruchu. Jestem rozczarowany. Cały dzień

spędziliśmy z rodzicami, rozmawiając, chodząc i jeszcze więcej

rozmawiając. Zjedliśmy późny obiad w „cudownej” restauracji na dole, po czym rodzice praktycznie odesłali nas do łóżek. Sami poszli do

kasyna.

Prześladowanie ze względu na wiek jest straszne.

Ale jest dopiero po północy i mam świetny pomysł.

Który sprawdzi się wyłącznie wtedy, gdy Kennedy nie będzie spała.

Pukam ponownie i tym razem odzywam się trochę głośniej:

– Kennedy?

Drzwi się uchylają, dziewczyna zerka na mnie przez szparę. Nie

ma na nosie okularów, a jej oczy, czego wcześniej nie zauważyłem, są spektakularne.



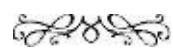
Gęste długie rzęsy okalają błyszczące, złotobrązowe tęczówki.

Miękkie i takie... ciepłe. To oczy, w które chciałby patrzeć każdy facet, poruszając się nad nią, takie, które przy odrobinie szczęścia otworzyłaby w czasie powolnego, głębokiego pocałunku.

A reszta? Cóż, zawsze ją zauważałem.

Odkąd zaczęła nosić sportowy biustonosz, a ja odkryłem cudowny grzech masturbacji.

I musiałbym być ślepy, by nie zauważyć jej teraz. Cieniutka, jedwabna, różowa koszulka otula jej tors. Nie ma dekoltu, ale jeśli Kennedy poruszy się we właściwy sposób, będę miał wyśmienity widok. Na dole ma dopasowane różowe spodenki, które opinają jej uda, eksponując zabójczo umięśnione nogi.



I nie tylko ja się gapię.

Kennedy przesuwa wzrokiem po mojej piersi i bicepsach, które odkrywa koszulka bez rękawów. Jestem opalony od ćwiczeń i treningów na zewnątrz. Jej spojrzenie wędruje do mojego brzucha. Być może wyobraża sobie mój sześciopak pod materiałem, po czym sunie... niżej.

Zastanawiam się, czy zauważa, jaki jestem twardy, co jest reakcją na to, że mi się przygląda.

Lekki róż wstępujący na jej policzki podpowiada mi, że może widzieć.

Jej wzrok powraca do mojej uśmiechniętej twarzy. Zwilża usta językiem i mówi:

– Cześć. Co tam, Brent?

Pokazuję kluczyki do samochodu ojca, Ferrari 250 GT California

z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku, znanego z filmu *Wolny dzień pana Ferrisa Buellera*.

Wyprodukowano niecałą setkę i, podobnie jak w filmie, to duma i radość mojego staruszka. A w tej chwili zaparkowany jest na dole.

Dowiedziałem się dzisiaj, że Kennedy nie ma prawa jazdy.

Ponieważ jej rodzina ma szoferów, matka nie widzi w tym sensu.

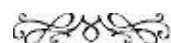
Mam więc zamiar to naprawić.

– Gotowa na pierwszą lekcję jazdy?

– ...potem jednocześnie powoli zdejmujesz nogę.

Znajdujemy się na dużym parkingu ciemnego budynku kilka kilometrów od hotelu. Kennedy uważnie słucha moich instrukcji, marszczy czoło i poprawia okulary. Wydaje się podekscytowana i zdeterminowana, co jest całkowicie urocze.

– Rozumiesz?



– Rozumiem. – Przytakuje.

I wypełnia polecenie.

Słysząc chrzęst, gdy porusza drążkiem zmiany biegów, a ja dziękuję w duchu sprzęgłu za jego wspaniałe poświęcenie. Zaczynamy toczyć się do przodu, skakać centymetr po centymetrze, więc mówię:

– A teraz dawaj, wdepnij gaz.

I wtedy zaczynamy jechać.

Kennedy uśmiecha się szeroko i radośnie, niczym w bożonarodzeniowy poranek połączony z Dniem Niepodległości.

Samochodem nieco trzęsie, kiedy wrzuca drugi bieg, jednak jazda

znowu staje się płynna, gdy zdejmuje nogę ze sprzęgła. Jedną dłoń trzyma na kierownicy, a drugą bierze mnie za rękę.

– Jadę, Brent!

To niesamowite, więc się śmieję.

– Tak, jedziesz.

– Potrzebujesz przezwiska. Kennedy ciężko się wymawia.

Zaparkowaliśmy w strefie piknikowej na wzgórzu nad błyszczącym światłami miastem. Jest tu cicho i spokojnie. Nie mamy dachu, ale ciemne niebo, upstrzone nielicznymi jasnymi gwiazdami, sprawia wrażenie baldachimu.

Nie wjechaliśmy w nic, samochód nadal działa, więc w moim odczuciu pierwsza lekcja Kennedy była ogromnym sukcesem.

Stwierdziła, że nie jest gotowa wyjechać na drogę, ale w końcu ją na jakąś zabiorę. Jej mina, gdy nauczyła się płynnie zmieniać biegi,

zdradzała czystą euforię i wdzięczność. Widok jej twarzy w tym momencie był niczym zablokowanie strzału na bramkę – czułem, jakbym był stworzony do powtarzania tego nieustannie.

– Moje imię jest za długie? Jak często masz trudności z długimi wyrazami? – pyta z zaczepnym uśmieszkiem. – Może powinieneś to z kimś skonsultować? – Chwilę później pyta: – Jak brzmi twoja ksywka?

– BC.

Ściąga brwi, starając się to rozgryźć.

– Ponieważ na drugie masz Charles?

Kręcę głową i mówię z powagą:

– Byczy Chuj.

Kennedy parska głośnym śmiechem.

– Sam to wymyśliłeś?

– Nadali mi ją chłopaki z drużyny. To wiele do udźwignięcia, ale nie chciałbym zawieść młodszych kolegów. Jednak, jak mawiał

Spider-Man: „Z wielką mocą wiąże się wielka odpowiedzialność”.

– Właściwie to wujek Ben.

– Co?

Przechyla głowę na bok.

– Powiedział to wujek Ben, nie Spider-Man. Pamiętasz?

Tak. Ale to, że ona zapamiętała... to cholernie niesamowite.

Wywołuje to we mnie głębokie, poważne uczucia.

Jednak nigdy nie byłem poważny, więc się droczę:

– A może Randy? Randy Randolph. Mogę cię tak nazywać?

Kennedy marszczy brwi.

– Nie, jeśli chcesz, bym reagowała.

Rozmawiamy jeszcze chwilę, o wszystkim i o niczym. W którejś

chwili, nawet jeśli tego nie planowałem ani się tego nie spodziewałem, moja ręka ląduje na jej ramionach, a jej głowa na moim obojczyku.

Powoli zsuwam jej okulary, składam je i odkładam na deskę

rozdzielczą. Jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie,

pochyłam głowę i całuję ją w usta. Są cudownie miękkie i ciepłe.

Przesuwam po nich językiem, ale pozostają zamknięte, śmieję się więc tuż przy nich.

Kennedy się odsuwa.

– No co?

Patrzę we wspaniałe oczy dziewczyny, którą znałem całe życie,

a jedyna myśl, jaka kołaczy mi się w głowie to: *Dlaczego, u diabła, tyle*



*czasu się przed tym powstrzymywałem?*

Delikatnie wodzę kciukiem po jej policzku.

– Całowałaś się już z kimś?

Ostatnio, kiedy rozmawialiśmy o tym w drugiej klasie, jeszcze tego nie robiła.

Jednak teraz nie rumieni się, ani nie unika pytania. Mówi cicho, jakby z bólem:

– Oczywiście, że tak. Dlaczego pytasz? Twierdzisz, że jestem kiepska?

Nie mam pojęcia, z kim się całowała, ale ktokolwiek to był, musiał być w tym zielony. To mi się podoba.

– Nie. Ale staniesz się lepsza. – Przysuwam się i ponownie dotykam wargami jej ust. – Rozchyl je dla mnie, Kennedy.

Całujemy się – głęboko, zmysłowo, gorąco. Upajam się jej smakiem. Gdy słyszę, jak szepce moje imię, tracę głowę.

Ubrania lądują na podłodze samochodu. Każda chwila jest naturalna, łatwa i cholernie dobra.

Po wszystkim, wyczerpani i rozanieleni, tulimy się na siedzeniu.

I rozumiem już, dlaczego tak wiele kiepskich filmów kończy się właśnie taką sceną – ponieważ nie może być bardziej idealnie niż tu i teraz.

Kennedy uśmiecha się do mnie, więc całuję ją w czoło i razem oglądamy wschód słońca.

Następnego ranka rodzice budzą mnie dość wcześnie – podwożą do szkoły – ojciec musi wracać do domu, bo ma jakieś ważne spotkanie.

W recepcji zostawiają wiadomość dla Randolpów. Do bani, że przed odjazdem nie zobaczę się z Kennedy, ale pociesza mnie myśl, że spotkamy się w szkole.

Teraz wszystko będzie zupełnie inaczej.

Docieram do swojego pokoju i wskakuję pod prysznic. Moje myśli

samoistnie zmierzają w kierunku wczorajszej nocy. Czuję na sobie  
dłonie Kennedy. Słyszę dźwięki, jakie wydawała – ciche piski  
i spragnione jęki.

Powiedzmy, że dobrze się składa, że jestem w tej chwili pod  
prysznicem.

Wychodzę z łazienki owinięty w pasie ręcznikiem, krople wody  
wciąż spływają rowkami między mięśniami mojego brzucha.

– Cześć, kochanie.

Cashmere leży na moim łóżku, ubrana jedynie w moją koszulkę do

lacrosse. Ma przymknięte oczy, kusząco wydęte usta, jest opalona i bawi się swoimi blond włosami.  
Wygląda, jakby była gotowa na sesję

fotograficzną dla „Playboya”. Dawniej mój fiut zawiódłby mnie wprost do niej, na co z chęcią bym  
pozwolił, i wszystkie nasze problemy

zostałyby rozwiązane.

Ale to minęło. Nie pozwolę, by rządził mną fiut, czas pójść za

głosem serca. I wiem, że brzmi to jak jeden wielki banał, ale mam to gdzieś.

– Co tu robisz? – Zakładam bokserki pod ręcznikiem, bo nie

wydaje się właściwe, by dłużej oglądała mój nagi tyłek.

– Muszę mieć powód, by odwiedzić mojego chłopaka?

– Nie jestem już twoim chłopakiem.

Przewraca oczami.

– Oczywiście, że jesteś.

– Zerwałaś ze mną, nie pamiętasz? – Zakładam przez głowę  
koszulkę treningową.

Cashmere przesuwa się na skraj łóżka.

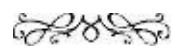
– To był błąd – mruczy. – Przepraszam. Pozwól, że ci to

wynagrodzę.

Byłem z tą dziewczyną przez rok. Pieprzyłem ją we wszystkich

znanych mi pozycjach i myślałem, że ją kocham, jednak w tej chwili nic do niej nie czuję. To niemal przerażające. Nie mam wyrzutów sumienia, nie czuję potrzeby chronienia jej uczuć. Nie jestem pewien, czy

jakikolwiek posiada. To naprawdę popieprzone.



– Gdybyś tego nie zrobiła, sam bym z tobą zerwał. Koniec z nami,

Cazz.

Opuszcza spojrzenie do wypukłości w moich bokserkach i zwilża

wargi językiem. Unosi się na kolanach i przesuwa tak, by objąć mnie za szyję.

– Dla mnie nie wygląda to na koniec.

Chwytam ją za ręce i piorunuję wzrokiem.

– Wierz mi, skończyłem z tobą.

W jej piwnych oczach pojawia się gniew, spojrzenie staje się ostre,

mściwe i jakże znajome.

– Słyszałam, że spędziłeś weekend ze swoją małą, pokręconą

znajomą.

Mocniej zaplatam palce na jej rękach.

– Nie nazywaj jej tak.

Zaciska usta w wąską linię, po czym pyta:

– Pieprzyłeś ją? O to chodzi?

Puszczam ją i odsuwam się, by włożyć spodnie.

– To nie ma nic wspólnego z Kennedy.

– Och, błagam. Nigdy byś mnie nie rzucił, gdybyś nie miał w kogo

wkładać fiuta. Znam cię, Brent. – Zsuwa się z łóżka i powoli wodzi

opuszkiem palca po mojej ręce. – I dlatego wiem, że skończyłeś na  
jednorazowym wypadzie do Frajerowa. I tak do mnie wrócisz. Było nam  
razem zbyt dobrze.

Ponieważ jest najseksowniejszą laską w szkole, przywykłem do jej  
słów pełnych pewności siebie. Teraz jednak, słysząc je, myślę, że  
Cashmere jest materiałem na psychopatkę.

– Zdejmij moją koszulkę, mamy jutro mecz. Będę miał pecha, jeśli  
w niej zostaniesz. Zostaw ją na łóżku.

Wychodzę, nim ma szansę zacząć ją zdejmować.

Trening lacrosse się przeciąga. Jeden z naszych obrońców skręcił  
w zeszłym tygodniu kostkę, próbując parkouru pomiędzy dwoma  
śmietnikami. Jest idiotą. Jego miejsce zajął pierwszoklasista – dobry, ale zdenerwowany, więc zostałem  
z trenerem, by z nim popracować

i przejrzeć nagrania z meczów drużyny przeciwnej. Wychodzę z sali  
gimnastycznej dopiero o zmierzchu.

Wracam do akademika w dobrym humorze, z torbą zarzuconą na  
ramię. Nie przestawałem się uśmiechać chyba cały dzień. Mogłem nawet gwizdać wesołe piosenki.  
Kiedy byłem mały, mama uwielbiała Gene

Kelly, więc w duchu tańczę do rytmu *Deszczowej piosenki*.

Na schodach akademika stoi trzech gości. Choć zazwyczaj nie  
jestem typem, który lubi podsłuchiwać, dwa słowa, niczym rakietą  
nuklearna, wpadają prosto do moich bębenków: Kennedy Randolph.

A moja wyimaginowana Gene Kelly zostaje uderzona piorunem  
i staje w płomieniach.

– Mówiłem ci, że się zgodzi, cieniasie. Nie wiem, dlaczego  
czekałeś trzy lata, by się z nią umówić.



To Peter Elliot. Jest kujonem, chodzi na biologię. Wydaje mi się, że w zeszłym roku dostał państwowe stypendium za krzyżowanie trujących gąsienic. I rozmawia z Williamem Penderghastem i Alfonso DiGaldim. Oni również znajdują się na samym końcu szkolnego spektrum, są cichymi, spokojnymi, nijakimi chłopakami, którzy większą część weekendu spędzają w bibliotece.

– W tych sprawach nie można się spieszyć. Liczy się wycucie czasu. Jednak teraz gwiazdy ułożyły się korzystnie i w piątek pójdę do kina z Kennedy Randolph. Może powinienem wynająć limuzynę.

William śmieje się bez powodu. Szczyrzy zęby tak szeroko, że samo patrzenie na niego niemal boli, ponieważ wygląda tak, jak ja się czułem jeszcze dziesięć sekund temu.

Patrząc na Williama, podchodzę prosto do nich.

– Czy ty właśnie powiedziałeś, że idziesz na randkę z Kennedy Randolph?

William wypina nieco pierś.

– Zgadza się.

Nie ma, kurwa, mowy.

– Kiedy... kiedy ją zaprosiłeś?

Spogląda na mnie.

– Kilka godzin temu. Dlaczego pytasz?

Nie ma, kurwa, mowy.

– Ja... tylko...

Istnieje tylko jedno wytłumaczenie – w tej szkole są dwie Kennedy Randolph.

Muszę sprawdzić tę teorię.

– Kennedy? – pytam, ręką wskazując jej wzrost. – Mała,

w okularach, brunetka? Moja... – Przełykam ślinę. – Ta Kennedy?

Nagle chłopak wydaje się wkurzony. Urażony.

– Dokładnie. Jest bystra, zabawna i ma największe serce spośród znanych mi osób. Ma również piękny uśmiech i oczy, które są najbardziej fascynują...

Odchodzę. Nie mogę tego słuchać. Jeśli zostanę, przywalę mu.

Idę prosto do akademika dla starszych dziewczyn. Nie

zastanawiam się nad tym, nie rozmawiam z nikim, a zęby zaciskam tak mocno, że to aż dziwne, że się nie kruszą.

Walę w jej drzwi pięścią, nie przestaję, póki ich nie otwiera.

Jej oczy wydają się błyszczeć za soczewkami okularów, a nos jest

lekko czerwony, jakby się przeziębila. Przez chwilę przygląda się mojej twarzy, po czym staje prosto.

– Co tam?

– Wybierasz się na randkę z Williamem Penderghastem?

Wychodzi na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

I wtedy rozpętuje się piekło.

– Tak. Dlaczego pytasz?

Przez moment nie odpowiadam. Potrzebuję czasu, by znaleźć odpowiednie słowa.

– Dlaczego pytam? Przez to, co zaszło zeszłej nocy? – Próbuję nie ukazywać zranienia, ale nie wiem, czy mi się udaje. – Myślałem...

Chciałem...

Jej głos tnie niczym żyłotka nadgarstki:

– Wczorajsza noc była fajna, ale nic nie znaczyła, wiem o tym.

Potrafię sobie z tym poradzić jak każda inna. A teraz zajmę się

Williamem, a ty zaj...

– Zajmiesz się Williamem? Poważnie? Czym ja, do chuja, byłem?

Rozgrzewką?! – krzyczę z wściekłością.

W jej oczach iskrzy furia zmieniająca się w płomień.

– A jakie to ma znaczenie, Brent? Zraniłam twoje cenne chłopięce

uczucia? Spodziewałeś się, że będę za tobą latać jak każda inna w tej szkole? Że pozbieram okruszki, które mi z łaską rzucisz?

Naprawdę nie rozumiem, o czym ona mówi – kotłujące się we

mnie rozczarowanie jest zbyt wielkie. Ponieważ – tak – to boli. Choć zapewne zabrzmi to kiepsko, wczorajsza noc coś dla mnie znaczyła.

Kennedy coś dla mnie znaczy. Ale najwyraźniej ja nie znaczę dla niej nic.

Zatem to, co robię w następnej chwili, jest naturalne. Próbuję to

zatuszować.

– Jestem zaskoczony, to wszystko. Gdybym wiedział, że jesteś taka

łatwa, już dawno zacząłbym się do ciebie dobierać.

Jej policzki stają w ogniu, są szkarłatne, chociaż nie wiem, czy ze

wstydu, czy z gniewu.

– Nie jestem łatwa.

– Na pewno? Może tak nie uważasz, ale czyny są wymowniejsze

niż słowa. Będziemy musieli porównać z Williamem wrażenia, by się

przekonać. Bo wczoraj nie musiałem się nawet starać. Dla mnie było to cholernie łatwe.

Moje słowa są okropne. Nie zdziwiłbym się, gdyby dała mi

w pysk, dziewczyny często to robią, kiedy się je obrazi. Wymierzają

facetom policzek.

Jednak zgodnie z wcześniejszymi założeniami, Kennedy Randolph

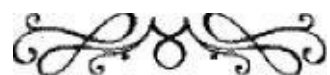
nie jest zwykłą laską. Nie dostaję od niej otwartą dłoń w twarz.

Dostaję z pięści. Prosto w zęby.

Moja głowa odskakuje w tył i czuję smak krwi.

– Cholera!

Ale kiedy unoszę powieki, kiedy patrzę jej w oczy, cały mój gniew  
wyparowuje, wypływa ze mnie niczym krew z przerwanej tętnicy,



ponieważ Kennedy nie wygląda na rozwścieczoną czy nawet złą.

Wygląda... na załamana. Powstrzymuje łzy, ale ledwie jej się to  
udaje.

– Nienawidzę cię – wydusza, kręcąc głową. – Nienawidzę cię.

Na historii oglądaliśmy program dokumentalny o wojnie

w Wietnamie. Był to rzeczywisty materiał z pola bitwy kręcony przez  
żołnierza – młodego chłopaka, który został postrzelony.

Śmiertelnie ranny.

A gdy się to stało, jego twarz ponad wszystkie inne emocje

wyrażała zaskoczenie – malował się na niej szok... ponieważ nagle  
w jego piersi pojawiła się dziura – w miejscu, w którym powinno być  
jego serce.

Kiedy Kennedy odwraca się do mnie plecami i zatrzaskuje mi

drzwi przed nosem, czuję się dokładnie tak samo.

*Chwila obecna, w restauracji*

– Tamtego ranka przyszedłam do twojego pokoju. Cashmere otworzyła mi drzwi ubrana w twoją koszulkę. Powiedziała, że się kąpiesz. Zasugerowała, żebym poczekała, jednocześnie informując, że wróciliście do siebie i muszę być wyjątkową desperatką, przychodząc do twojego pokoju. – Kennedy z trudem przełyka ślinę i bierze głęboki wdech, jakby to wspomnienie było przyczyną jej fizycznego bólu.

– Nie powiedziała...

– Nie, nie musiała tego robić, prawda? – Kennedy patrzy mi w oczy i uśmiecha się gorzko. – Miałam poczekać. Pomyślałam, że zasługuję przynajmniej na tyle, by usłyszeć to od ciebie. – Przy końcu zdania głos jej drży, a oczy błyszczą bardziej, niż powinny. – Ale Cashmere zapytała, czego właściwie oczekuję. Powiedziała, że jesteś bohaterem, a ja nikim i nic tego nie zmieni. Chciała wiedzieć, czy naprawdę uważam, że zostawiłbyś kogoś takiego jak ona dla kogoś takiego jak ja. – Powoli zwilża wargi językiem. – Wciąż miałam w głowie poprzednią noc. Ekscytowałam się i cholernie cieszyłam tym, co zrobiliśmy. Jednak, gdy tak to ujęła... uwierzyłam jej. Wyszedłam więc.

William zatrzymał mnie na placu, gdy wracałam do akademika. Zaprosił mnie na randkę... i się zgodziłam.

Brak mi słów, jestem zbyt pochłonięta wspomnieniami, przeżywając je z jej perspektywy. Uświadamiam sobie, jak wiele nie zrobiłem, ile nie powiedziałem.

– Lubiłem cię – szepczę w blat stolika, po czym unoszę głowę, patrząc na nią. – Bardzo mi się podobałaś.

Wciąż tak jest. Za tymi soczewkami, makijażem i eleganckim

ubraniem wciąż jest sobą. Wciąż czuję jej smak, jej skórę pod palcami, tak gładką i aksamitną. Wiem, jak bardzo mnie pragnęła, tuliła mnie

mocno, jakby nigdy nie chciała puścić.

Zdezorientowana, marszczy czoło.

– Ale wróciłeś do Cashmere. Nie odzywałeś się do mnie przez cały rok, aż...

Kennedy najwyraźniej wciąż gównu wie o facetach. A raczej o chłopakach, ponieważ wtedy z pewnością byłem chłopakiem.

– Powiedziałaś, że nasza noc nic dla ciebie nie znaczyła. Że byłem nikim i że spotykasz się z Williamem. Kiedy się wkurzyłem,

stwierdziłaś, że mnie nienawidzisz. – Ocieram twarz dłonią. – Wróciłem do Cashmere, bo mnie nie chciałaś, a ona wręcz przeciwnie. Była

substytutem. Nie chciałem wyjść na frajera. I nie odzywałem się do ciebie, bo było to cholernie trudne.

– Byliśmy przyjaciółmi...

– Nie dla mnie. – Kręcę głową, patrząc jej głęboko w oczy. – Nie

po tamtej nocy. Nie chciałem się z tobą przyjaźnić. Pragnąłem z tobą być. A jeśli nie mogłem cię mieć, musiałem udawać, że nie istniejesz.

Tylko w ten sposób mogłem sobie wmówić, że nie brakuje mi

wszystkiego, co znane.

Jednak wciąż o niej myślałem. Śniłem o niej.

I tęskniłem za nią nieustannie.

Zamyślona, wpatruje się w stół. W końcu unosi głowę

i ponownie zwilża wargi – wydaje się, że coś postanowiła.

– Dlatego to zrobiłeś? – mówi cicho. – Chciałeś się odegrać i mnie zranić. Gratulacje, udało ci się.

Niepokoi mnie jej ton, pochylam się więc nad stołem.

– Co, według ciebie, zrobiłem?

Zaciska usta, po czym mówi:

– Wrobiłeś mnie. Upokorzyłeś. Zniszczyłeś mnie tamtego wieczoru, Brent.

Pytam, upewniając się:

– Chodzi o bal w czwartej klasie?

– Tak.

Oto wyjaśnienie. Na to właśnie czekałem czternaście lat.

– Udawaj, że jesteś świadkiem w sądzie – proszę. – Zaczynij od początku i opowiedz o balu. Spraw, bym zrozumiał.

Kennedy zgrzyta zębami.

– W kwietniu zaczęłam dostawać wiadomości przez Internet. Od ciebie. Mówiłeś w nich: „Przepraszam” i „Tęsknię”. Twierdziłeś, że

chcesz ze mną być, ale nie możesz od razu zerwać z Cashmere. Mówiłeś, że to ważne, coś o transakcjach biznesowych między waszymi ojcami. –

Upija łyk piwa, po czym kontynuuje: – Z początku nie wierzyłam, że to ty. Myślałam, że to jakiś żart. Ale wiadomości przychodziły i wydawało mi się, że były od ciebie. Żeby to sprawdzić, zapytałam o nasz pierwszy pocałunek. I dostałam odpowiedź. – Milknie, więc wstrzymuję oddech. –

Mówiłeś o siedzeniu na dachu w Nowy Rok, gdy mieliśmy po dziewięć

lat. Wtedy byłam już pewna, że to ty. Przez tak długi czas chciałam...

Tak czy inaczej, na tydzień przed balem wysłałeś mi wiadomość, że

chcesz się ze mną zobaczyć, zatańczyć choć jeden taniec. Prosiłeś, bym spotkała się z tobą przy jeziorze za aulą. Vicki się to nie podobało, ale jakoś mnie to nie obchodziło. Zadzwoiłam do Claire i poprosiłam, by pomogła mi z sukienką i makijażem. Cieszyła się niczym wróżka

chrzestna. – Głos łamie jej się na ostatnim słowie, a mnie robi się

niedobrze. Doskonale wiem, jak kończy się ta historia. – Sukienka była biała, śliczna, sprawiała, że czułam się piękna. Miałam rozpuszczone włosy, zakręcone i błyszczące jak nigdy. – Spogląda mi w twarz

i uśmiecha się ze smutkiem. – I pierwszy raz w życiu założyłam

soczewki kontaktowe. – Kładę ręce na stole, w gardle mam tak sucho, że nie jestem w stanie przełknąć śliny. – Czekałam przy jeziorze, wciąż słyszałam muzykę płynącą z auli. Usłyszałam jakieś dźwięki, wydawało mi się, że to kroki, więc zawołałam cię po imieniu. Jednak nikt mi nie odpowiedział. – Bierze głęboki, powolny wdech. – I wtedy dostałam

śluzem w pierś. Było tam kilkoro ludzi, śmiali się. Wydawało mi się, że śluz nadlatywał ze wszystkich kierunków naraz. Było zimne

i piaszczyste. Dostałam w ramiona, tors, twarz. Kamień rozciął mi

policzek. – Wskazuje na niewielką bliznę. – Trwało to zaledwie kilka sekund, ale wydawało mi się, że nigdy się nie skończy. Upadłam

i błagałam, by przestali. I płakałam. – Teraz jednak nie płacze. Oczy ma suche, spojrzenie odległe. – Z początku nie zorientowałam się, że atak

ustął. Zostałam na ziemi przez dłuższą chwilę. Nie mogłam uwierzyć, że zrobiłeś mi coś takiego i że ci uwierzyłam. W końcu się podniosłam

i wytarłam najlepiej, jak mogłam. Wiedziałam, że muszę przejść obok

auli. I, oczywiście, miałam na tyle szczęścia, że cała czwarta klasa była na zewnątrz, gdy przechodziłam. – Pamiętam, że ją widziałem, jej oczy były dzikie, błyszczał w nich ból. Nie wiedziałem, co się stało, bo ze mną nie rozmawiała. – Wyglądałeś na przerażonego, Brent. Na

załamanego, a kiedy nakryłeś mnie marynarką, niemal uwierzyłam, że

nie miałeś z tym nic wspólnego. Ale podeszła Cashmere i podała mi

chusteczkę, udając współczucie. Widziałam wesołość w jej oczach,

jednak zachowywała się przekonująco, więc byłam pewna, że też

musiałeś brać w tym udział.

Wciąż słyszę w głowie jej ostry szept, gdy powiedziała: „Jesteś

chory. Z tobą poważnie jest coś nie tak. Nie zbliżaj się do mnie. Po prostu... się odwal”.

– Vicky i Brian zabrali mnie do ambulatorium, następnie do

pokoju.

I to tyle.

Leżące na stoliku dłonie drżą mi z wściekłości. To takie



popieprzone.

Mówiłem, że dzieciaki bywają czasem gnojkami? Nie, czasami są prawdziwymi psychopatami. I najwyraźniej spotykałem się z ich królową.

– Powinienem być z tobą pójsć – stwierdzam. Nade wszystko

chciałbym cofnąć się w czasie i skopać dupę własnej siedemnastoletniej osobie. – Tamtego wieczoru powinienem iść z tobą do ambulatorium.

Cały czas żałuję, że nie poszedłem.

Kennedy milczy.

– Kiedy następnego ranka przyszedłem do twojego akademika, już cię nie było.

– Przyjechała po mnie Claire – odpowiada cicho. – Wydarła się na dyrektora Winstona przez telefon i przekonała go, żeby pozwolił mi dokończyć naukę on-line.

– Czekałem na ciebie, przez całe lato przychodziłem do waszego domu. Nigdy cię nie było. – Musi wiedzieć, że jej szukałem.

– Spędzałyśmy z Claire wakacje w Europie. Cała ta sprawa zbliżyła nas do siebie.

– Nie wiedziałem.

Przechyliła głowę na bok, po czym kręci nią w niedowierzaniu.

– Brent, przestań...

Ledwo udaje mi się powstrzymać od krzyku.

– Dlaczego miałbym kłamać? Po całym tym czasie, po latach, co miałbym tym zyskać? Nie zrobiłbym ci tego. Nie wiedziałem.

Jednak Kennedy nadal nie wydaje się przekonana.

– Te wiadomości pochodziły ze szkolnego konta.

– Musiały być od Cashmere. Zawsze przesiadywała w moim pokoju, znała wszystkie hasła. Była jedyną, która... która chciałaby skrzywdzić cię w ten sposób.

Nic nie tłumaczy kogoś, kto bije kobietę, jednak gdybym dorwał teraz swoją byłą, miałbym problem z powstrzymaniem się od tego.

Wyraz twarzy Kennedy jest pusty, gdy rozpatruje każdy aspekt sprawy.

– Skąd wiedziała o pocałunku na dachu? Do tamtej chwili nie sądziłam, że to ty.

Pocieram kark, mięśnie w tym miejscu ściskają mi się w supeł.

– Może w którymś momencie jej o tym powiedziałem. Może przy jednej z tych głupich pijackich zabaw w „prawda czy wyzwanie”. Ktoś pewnie zapytał mnie o pierwszy pocałunek.

Jej oczy nieco miękną.

– Uważasz go za pierwszy?

Na moich ustach pojawia się lekki uśmiech.

– Byłaś dziewczyną, twoje wargi znalazły się na mojej twarzy, więc tak. Zawsze myślę o tym w ten sposób.

Kiwa głową.

Powoli wyciągam rękę i obejmuję jej policzek.

– Wierzysz mi? Musisz mi uwierzyć, Kennedy.

Wpatruje mi się głęboko w oczy.

– Sama nie wiem. Nie byłam pewna przez te wszystkie lata. Teraz, gdy rozmawiamy... To, co mówisz, ma sens. – Ponownie zaciska usta. –

Ale nie mam zamiaru znów dać się oszukać.

Zabieram rękę i wychylam resztę piwa.

Kennedy milczy przez chwilę, po czym mówi:

– Jestem gotowa wrócić do domu. Możemy stąd wyjść?

Wiem, o co jej chodzi. Ta rozmowa jest cholernie wyczerpująca.

Czuję, jakby ktoś walił mi młotem w pierś. Jestem posiniaczony i obolały.

– Jasne – rzucam kilka banknotów na stół, odsuwam krzesło

i wyciągam rękę.

Na zewnątrz proponuję, że wezwę dla niej taksówkę.

– Mieszkam zaledwie kilka przecznic stąd. Przejdę się.

– Dobrze, więc cię odprowadzę. Prowadź, Lassie.

Uśmiecha się i zakłada włosy za ucho.

– Nie musisz...

– Ależ oczywiście, że muszę, okej? Po prostu... pozwól mi na to.

Proszę.

Patrzy na mnie, mrużąc oczy i marszcząc nos, jakby próbowała rozwikłać zagadkę. Wygląda przez to młodziej, bardziej uroczo.

– Dobrze. Tędy.

Idziemy obok siebie w komfortowej ciszy, po jakichś dziesięciu

minutach docieramy do celu. Budynek wygląda niczym wiktoriański

dom dla lalek, po jednej stronie ma okrągłą wieżyczkę, na pierwszym piętrze taras, łukowate okna, a dach okalają szpiczaste śniegołapy

z kutego żelaza. Metalowe ogrodzenie w tym samym stylu otacza

działkę. Dom wymaga malowania, nowych okiennic i schodów,

ponieważ stare są popękane i nierówne, ale ma wielki potencjał. Przy odrobinie troski będzie naprawdę imponujący.

– Właśnie go remontuję, co jest straszne, ponieważ równocześnie w nim mieszkam – mówi Kennedy. – Ale będzie wart zachodu.

Zostawiła mi go ciotka Edna.

Natychmiast obracam głowę.

– Ciotka Edna nie żyje? Szlag, była świetna. Dlaczego nikt mi nie powiedział?

Kennedy przytakuje.

– Byłeś na nartach, słyszałam, jak ktoś wspominał o tym na stypie.

Matka prawdopodobnie zapomniała ci powiedzieć, kiedy już wróciłeś.

Ponownie spoglądam na dom.

– Cieszę się, że ci go zostawiła. – Uśmiecham się, z łatwością wyobrażając ją sobie jako dziecko w wielkim starym domu pełnym pajęczyn i sekretów. – Mogę się założyć, że miałaś radochę, buszując po strychu.

Wytrzeszcza oczy.

– Tak.

Strzał w dziesiątkę.

Ludzie rzadko się zmieniają, jeśli chodzi o takie rzeczy. Pasja do przygody, poszukiwań, nawet jeśli należy już do przeszłości, nigdy się nie zmienia.

– Może mogłabyś mnie kiedyś oprowadzić?

Wciąż wygląda niepewnie, jakby nie do końca wierzyła w szczerść moich intencji. Ciężko wyzbyć się starych nawyków.

Otwiera drzwi, ale się odwraca.

– Dobranoc, Brent.

Nie mogąc się powstrzymać, głaszczę ją po rękę.

– Dobranoc, Kennedy. Cie... cieszę się, że porozmawialiśmy.

Oczyściliśmy atmosferę. A w razie, gdybym wcześniej tego nie mówił,

cholernie się cieszę, że wróciłaś.

Jej uśmiech jest znikomy, ale zawsze to uśmiech.

– Ja też.

Ściskam jej rękę, po czym schodzę ze schodów i idę do bramy.

Kiedy jestem w połowie drogi, słyszę:

– Brent?

Odwracam się.

– To niczego nie zmienia. Chodzi mi o proces. W poniedziałek

spodziewam się, że zaatakujesz. Jeśli odpuścisz, będzie to oznaczało, że mnie nie szanujesz i uważasz, że sobie nie poradzę. A tego nigdy nie będę ci w stanie wybaczyć.

Kiwam krótko głową, więc Kennedy wchodzi do środka i zamyka

za sobą drzwi.

Miałem rację już w wieku jedenastu lat: dziewczyny są dziwaczne.



W sobotę budzę się wcześniej niż zwykle, w głowie rozbrzmiewa

mi echo słów Kennedy. Rozpala się we mnie ciekawość, niczym pożar

zainicjowany pocieraniem dwóch patyków. Odpuszczam poranne

bieganie, zamiast tego w domowym gabinecie przeprowadzam małe

śledztwo on-line.

To niesamowite, a jednocześnie przerażające, ile osobistych

informacji fruwa w przestrzeni i każdy ma do nich dostęp. Po uzyskaniu potrzebnych danych – adresu miejsca znajdującego się godzinę drogi od Waszyngtonu – wpisuję go w Google Maps i wychodzę.

Pukając do drzwi u celu, słyszę dochodzące z wnętrza domu głosy

i tupot stóp.

Drzwi stają otworem.

Patrzy na mnie Victoria Russo, dawna współlokatorka Kennedy.

– Brent Mason?

Przytakuję.

– Cześć, Vicki.

Dobrze wygląda, prawie się nie zmieniła. Zmarszczki przy ustach  
nieco się pogłębiły, jednak długie do ramion włosy nadal są czarne  
z jasnoniebieskimi pasemkami, w nosie tkwi połyskujący kolczyk,

a ostre wciąż spojrzenie podpowiada, by z nią nie zadzierać. Ostatnim razem, gdy się widzieliśmy,  
próbowała kopnąć mnie w jaja.

– Dlaczego przyjechałeś? – pyta.

Patrzę jej prosto w oczy.

– Potrzebuję pomocy.

Dziesięć minut później Vicky stawia przede mną kubek kawy. Ma ładny dom, rodzinny – w dzielnicy zielonych trawników, brukowanych podjazdów, basenów i krzaczastych ogrodzeń, zapewniających nieco prywatności. Jej kuchnia jest wielka, z liliowymi ścianami i kremowymi szafkami. Wszędzie wiszą oprawione zdjęcia ciemnowłosych dziewczynek oraz Vicki i Briana Gundersona.

Brian również uczył się w liceum Świętego Artura. Był wysokim szczupłym chłopakiem, któremu wiecznie opadały spodnie. Słuchał Snoop Dogga i miał stypendium. Pamiętam, że widywałem ich razem w kampusie. Byli też ze sobą na balu w czwartej klasie... najwyraźniej się pobrali.

W wydzielonym przy kuchni gabinecie znajduje się wiele książek, na okładkach których widnieją eksponujący nagie klaty faceci, a także nie mniej seksowne kobiety. Ich autorem jest V. Russo.

– Jesteś pisarką? – pytam, popijając kawę.

– Tak. Piszę romanse.

Ponownie przyglądam się zdjęciom.

– Brian to szczęściarz.

Śmieje się.

– Tak. – Jej wyraz twarzy znów staje się zamyślony. – Bohater romansu z protezą nogi byłby ciekawym materiałem na powieść.

– Cóż, gdybyś chciała jakichś rad, dzwoń – mówię, po czym pytam: – Nadal masz kontakt z Kennedy?

Unosi jedną, idealnie wydepilowaną brew i woła do przedpokoju:

– Louise! Proszę, przyjdź tutaj.

Małeńka, może pięcioletnia dziewczynka z długimi, czarnymi,

zmierzwionymi włoskami wchodzi do kuchni i staje obok Vicki.

– Tak, mamó?

Vicki kuca przy niej.

– Louise, to kolega mamy ze szkoły, pan Mason. Możesz się przywitać?

Dziewczynka się uśmiecha, nie jest zawstydzona.

– Dzień dobry, panie Mason.

– Cześć, Louise.

– Możesz powiedzieć panu Masonowi, jak się dokładnie nazywasz?

– Louise Kennedy Gunderson.

Przytakuję, rozumiejąc.

– Piękne imię.

Vicki klepie córkę w ramię.

– Możesz wracać do zabawy, skarbie.

Kiedy Louise wychodzi, Vicki unosi kubek do ust.

– Kennedy jest chrzestną wszystkich naszych córek i przejmie nad nimi opiekę, gdy kopniemy w kalendarz, choć mam dwóch żonatych braci, a Brian siostrę.

To nieco komplikuje tę rozmowę, ale nie sądzę, by stanowiło problem.

– Zakładam więc, że Kennedy powiedziała ci o naszym procesie? – pytam.

– Procesie, w którym wyciera tobą podłogę? Tak, coś wspominała.

– Uśmiecha się, jak na mój gust trochę zbyt szeroko, ale odpuszczam jej to. – Mówiła, że rozmawialiście



wieczorem i zarzekałeś się w kwestii swojej niewinności. – Pod koniec jej wypowiedzi słyszę pewną urazę.

– Nie mam nic wspólnego z tym, co przytrafiło się jej na balu.

– Masz z tym wszystko wspólne. Twoja dziewczyna wraz

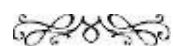
z kumpelkami wyżyły się na Kennedy przez ciebie, a ty nic w tej sprawie nie zrobiłeś.

– Nie sądziłem, że było aż tak źle.

– Wiedziłeś wystarczająco.

I dopada mnie zwątpienie, ponieważ ona ma rację. Łatwo patrzeć

wstecz z wiedzą i doświadczeniem dorosłego, dostrzegać wszystko, co



powinno być zrobione inaczej.

Moje słowa są mocne i wymagające:

– Dlatego tu jestem. Musisz mi powiedzieć o tym, o czym jeszcze

nie wiem.

Odpowiada:

– A dlaczego?

Przeczesuję palcami włosy.

– Ponieważ nie sądzę, by ona to zrobiła... A przynajmniej nie

powie mi o wszystkim. Ponieważ chcę jej to wynagrodzić. Ponieważ

czuję się jak pijak, który właśnie wytrzeźwiał i musi usłyszeć o tym, co uleciało mu z pamięci. Ponieważ... zawsze była tą jedyną.

Vicki przewraca oczami.

– Tą jedyną? Poważnie? Jestem autorką romansów, a nawet mi od

tego niedobrze.

Kręcę głową i staram się wyjaśnić:

– Masz taką osobę, z którą wszystkich porównujesz? Ta jest fajna,

ale nie tak fajna jak... Ten jest bystry, ale nie tak bystry jak...? Zawsze tkwiła w mojej głowie, nawet gdy nie zdawałem sobie z tego sprawy. To do niej porównywałem każdą kobietę, ale żadna się z nią nie równała.

I... brakowało mi jej, Vicki. Chcę ją poznać na nowo.

Przygląda mi się, przygryzając wewnątrz policzka. Po chwili kiwa głową.

– Dobra.

Przez następną godzinę Vicki Russo opowiada mi o dwóch latach psychicznych i emocjonalnych tortur. Niektóre były szkolnymi sprawami

– krzywymi spojrzeniami i popychaniem – inne były jednak czymś

gorszym – karteczkami samoprzylepnymi na drzwiach pokoju

w akademiku mówiącymi, by się zabiła, wyzwiskami od brzydactw, dziwadeł, zer. Było to zaplanowane, zorganizowane i bezlitosne.

– Dlaczego się nie poskarżyła? Dlaczego nie zgłosiła Cashmere do dyrekcji? – pytam, sfrustrowany każdym jej słowem.

Vicki wzrusza ramionami.

– Z wielu powodów. Nazwij to, jak chcesz, ale Kennedy nie

chciała, by Cashmere sądziła, że wygrała i ją złamała. Do tego zdzira miała za sobą watahę podłych dziewczuch, więc jeśli doszłoby do

konfrontacji ich świat konta nasz, myślisz, że komu uwierzyłaby

dyrekcja? Gdyby to zgłosiła, a Cashmere zostałaby wezwana celem

wyjaśnienia, sprawa stałaby się o wiele gorsza. Zawsze tak się dzieje.

*Jezu Chryste.*

Ktoś powinien zrównać tę budę z ziemią. Zburzyć, zakopać i nigdy

nie odbudowywać.

Zaciskam dłoń w pięści.

– Dlaczego nic mi nie powiedziała?

– Ponieważ biegales za swoja dziewczyna jak piesek, Kennedy nie

sadzila, ze cię to obejdzie.

Piorunuje ją wzrokiem.

– Przejalbym się.

– Wstydzila się. Musisz zrozumiec... byles dla niej wszystkim,

Brent. Kiedy zaczales się odsuwac... Nawet jeśli nie mogła miec już

twojej przyjazni, nigdy nie chciala litości. Przez wiele czasu mieszalo jej to w glowie – mowi Vicki. – To znaczy, Kennedy wie, kim jest, jednak zburzylo to jej pewnosc siebie. Jakzeby moglo byc inaczej? Jej zdolnosc do ufania tez zostala zniszczona. Po tym, co stalo się na studiach, nie potrafila już nikomu zaufac.

Przygladam się Vicki ostrożnie.

– A co się stalo na studiach?

Wzdryga się, widze, ze jej się to wymsknelo.

W mojej glowie pojawia się kazda znana statystyka, przez co

zaczynam się wkurzac.

– Zostala... zgwalcona?

– Nie powinnam...

Podnosze głos:



– Jeśli zostala zgwalcona, przysiegam na Boga, Vicki, ze kogos zabije.

– Nie zostala zgwalcona – natychmiast mnie zapewnia. – Miala chlopaka, pierwszego „prawdziwego”, jeśli wiesz, o czym mowie.

Gościa z bractwa. Spotykali się przez kilka miesiecy, wydawalo jej się, ze byli zakochani. Jednak pewnego dnia facet powiedzial jej, ze zaczal

się z nią spotykac z powodu zakladu.

– Zalozył się?

Przytakuje.

– Jakiś zakład w bractwie. Kto posunie więcej dziewczyn, mieli dodatkowe punkty za dziewicę.

Przecieram oczy. Nie wiem, jak robią to kobiety, nie wiem, jak

udaje im się nas lubić – znaczna część męskiej populacji zasługuje na kastrację. I nie sądzicie, że mówienie o tym przychodzi mi łatwo.

– Najsmutniejsze jest to – ciągnie Vicki – że gnojek skończył,

zakochując się w niej. Właśnie dlatego się przyznał, nie chciał budować związku na kłamstwie. Jednak Kennedy z nim zerwała. Teraz nikogo do

siebie nie dopuszcza. Jej siostra, ja i Brian jesteśmy jedynymi, którym ufa.

Nieco później, przy drzwiach dziękuję Vicki za informacje. Wciąż

jest co do mnie niepewna, powstrzymując się od osądu, ale mnie to wystarcza.

– Powiesz jej, że tu byłem, prawda? – pytam.

Vicki się uśmiecha.

– Oczywiście, że tak. Zadzwońię do niej, zanim zdążysz wsiąść do samochodu.



W drodze powrotnej do Waszyngtonu jedna myśl wbija się w mój umysł niczym nóż: nigdy jej nie przeprosiłem. Za cały syf, o którym rozmawialiśmy wczoraj, za wszystko, co udało nam się omówić... nigdy nie powiedziałem, że mi przykro. A powinienem był to zrobić.

Jest mi przykro, a ona zasługuje, by usłyszeć przeprosiny.

Nie stanąłem w jej obronie, gdy była taka potrzeba. Nie

nadstawiłem za nią karku. Nie ochroniłem jej. Nawet nie próbowałem.

To moja największa życiowa porażka.

Zastanawiam się nad tym, co powiedziała mi Vicki. Nad głównym,

z którym zmagala się Kennedy i z którym w pewnym sensie wciąż żyje.

To coś jak moja noga: jest, jak jest, choć mnie nie ogranicza, codziennie muszę się z tym borykać. To część tego, kim jestem. Część, której nigdy nie odzyskam.

Wydaje mi się, że część Kennedy – część jej dzieciństwa, jej

pewności siebie odeszła na zawsze z powodu wydarzeń z liceum

Świętego Artura.

Muszę ją przeprosić. Nie mogę dłużej z tym czekać.

W taki właśnie sposób kończę w sali balowej jednego

z ekskluzywnych hoteli dla snobów. To zbiórka pieniędzy Davida

Prince'a, dziesięć tysięcy dolarów za wstęp. Musiałem obdzwonić kilku kuzynów, którzy mają znajomości, by dostać bilet na ostatnią chwilę, ale się udało.

Ubrany w smoking, w którym, gdybym miał sam się opisać,

wyglądam mniej więcej jak James Bond, kluczę pomiędzy stolikami,

rozglądam się po zebranych, szukając jej. Prince stoi na przodzie sali, wygłaszając mowę. Zauważam Kennedy na tyłach, niedaleko baru. Ma

na sobie obcisłą, białą suknię bez ramiączek, kończącą się za kolanem, w komplecie z seksownymi, związanymi, srebrnymi szpileczkami. Ma

rozpuszczone włosy, spływające złotą kurtyną na ramiona.

Rozmawia z kimś, uśmiechając się szeroko. Dosłownie zapiera mi

dech w piersiach.

Zauważa, że do niej podchodzę. Patrzy bezpośrednio na mnie.

Kiedy do niej docieram, jej towarzysz się odsuwa, więc mam ją

wyłącznie dla siebie. Dzieli nas zaledwie kilka centymetrów.

– Co tu robisz?

– Musiałem cię zobaczyć.

– Nie sądzę...

– Przepraszam, Kennedy.

Cokolwiek zamierzała powiedzieć, więźnie jej w gardle. Jest coś

takiego w wyrazie jej twarzy, w krzywiźnie warg, w rozluźnieniu ust, co podpowiada mi, że poczuła ulgę. Że nawet jeśli nie zdawała sobie z tego sprawy, czekała na to. Wyczekiwała tych słów.

– Powinienem był dla ciebie walczyć. Zawsze będzie mi przykro, że tego nie zrobiłem. Byłem głupi i samolubny, a ty zasługiwałaś na więcej.

Odwraca wzrok, jakby ją to przytłaczało, jednak gdy wraca do mnie spojrzeniem, w jej oczach jest spokój, którego nie widziałem od dłuższego czasu.

– Dziękuję.

Dopiero wtedy zauważam, co się zmieniło. Każda komórka mojego ciała cieszy się, ponieważ mogę tu stać i się jej przyglądać.

To jej oczy.

Nie ma turkusowych soczewek kontaktowych – jej spojrzenie przemawia czystym, zachwycającym pięknem barwy brandy.

I nawet jeśli nie wiedziała, że tu dzisiaj będę, chcę wierzyć, że to dla mnie. Że to znak. Ponieważ te oczy są moje, ich właścicielka była niegdyś moja.

I może gotowa jest wrócić.

Zanurzam się w oczach, których tak długo nie widziałem, ale wszyscy inni spoglądają na Prince'a, który z mikrofonem w dłoni, błyszcząc białymi zębami, przemierza salę.

– I chciałbym przekazać państwu najcenniejszą dla mnie wiadomość, a mianowicie tę, że piękna Kennedy Randolph zostanie moją żoną.

Natychmiast podrywam głowę.

– Co on powiedział?

Głowa Kennedy unosi się jeszcze szybciej.

– Co on powiedział?

Sala wybucha wiwatami.

Pochyliam się, by słyszała mnie mimo hałasu.

– Jesteś zaręczona?

Przechyla głowę na bok.

– Nie?

– Jesteś tego pewna?

Nie wydaje się przekonana, a powinna być stuprocentowo pewna, biorąc pod uwagę okoliczności.

– David w zeszłym tygodniu rozmawiał z moim ojcem. Mówił, że muszą omówić coś bardzo ważnego – wyjaśnia Kennedy, mrużąc oczy, jakby w myślach próbowała rozszyfrować starożytne hieroglify.

– Ale nie oświadczył ci się?

– Nie. Wydaje mi się, że to akurat pominął.

Publika uderza w nas niczym tsunami, Kennedy zostaje pochłonięta przez osoby składające życzenia i wyciągnięta na przód pomieszczenia.

Krzywię się tak bardzo, że aż boli mnie twarz.

Obok mnie pojawia się zawsze elegancka pani Randolph, przyglądając się z uśmiechem temu zamieszaniu.

– Gratulacje wydają się być na miejscu – mówię.

– Przydałyby się.

Nie spuszczam oczu z Kennedy pchanej na przód sali. Coś ściska mi się w piersi, jakby ktoś wbił mi hak w płuca i chciał wyciągnąć je na zewnątrz.

To uczucie sprawia, że mój głos staje się ochrypły.

– Ona go kocha?

Pani Randolph zastanawia się przez chwilę, po czym odpowiada

gładko:

– David jest dobrym, młodym mężczyzną. Wierzę, że zostanie

kiedyś prezydentem. Jest idealną partią dla mojej córki.

– Nie o to pytałem.

Wzdycha.

– Zawsze byłam z blisko z Claire, rozumiemy się idealnie. Jednak

Kennedy... Boję się, że zostanie dla mnie niewiadomą. A jak ty

uważasz, Brent? Wygląda jak młoda zakochana kobieta?

Kennedy staje obok Prince'a. Zostaje jej podany czarny mikrofon,

jasne światła ukazują jej bladą cerę i wielkie oczy.

Zakochana? Nie.

Śmiertelnie przerażona? Zdecydowanie.

Wygląda jak mysz w pułapce, gotowa odgryźć sobie łapę, by uciec.

Teraz wiem, że w szkole średniej byłem dla niej gównianym

przyjacielem. Ale wiecie co?

Skończyliśmy tę pieprzoną szkołę.

Maszeruję do przodu, łokciami przepychając się przez tłum.

– Przepraszam. Pardon. Uwaga, idę.

W końcu docieram do niezbyt szczęśliwej pary. Kiwam głową

Prince'owi.

– Jak leci, Dave?

Wydaje się nieco zdezorientowany.



– Em... dobrze, dzięki.

– Super.

Porywam Kennedy na ręce – i wybiegam.

Dzięki elementowi zaskoczenia mam przewagę, mija dłuższa chwila, nim ktokolwiek postanawia zareagować.

– Co robisz? – piszczy Kennedy.

– Ratuję cię.

Przez jedną straszną sekundę wydaje mi się, że ona nie chce zostać uratowana. Jednak chwyta mnie mocno za szyję i przyciska się do mnie.

– Pospiesz się. Idą za nami.

Przyspieszam z uśmiechem.

– Spokojnie. Mam cię.

# 10

Wypadamy na ulicę, gdzie biegnę do następnego skrzyżowania.

Nie zwalniając tempa, wyciągam z kieszeni komórkę.

– Harrison, podjedź na tył budynku. Hasło: „Szybcy i wściekli”.

Kennedy odchyła się, by spojrzeć mi w twarz.

– Szybcy i wściekli?

Wzruszam ramionami.

– Ma dwadzieścia dwa lata, ludzie w tym wieku uwielbiają filmy.

Nie udaję, że to rozumiem.

Chwilę później zza rogu wyłania się mój rolls i zatrzymuje

dokładnie przede mną. Gonią nas krzyki, kiedy Harrison wyskakuje zza kierownicy i otwiera przed nami drzwi. Wsadzam Kennedy do środka

i nurkuję za nią. Mój wierny lokaj rzuca się za kierownicę. Jestem

pewny, że to spełnienie jego wszelakich napędzanych podtlenkiem azotu snów, gdy rusza z piskiem, przyczyniając się do naszej ucieczki.

Kennedy siedzi obok mnie, oddycha ciężko, a jej policzki są całe

czerwone.

– O Boże! O mój Boże, Brent!

Wyciągam rękę.

– Jeśli jakaś sytuacja wymaga alkoholu, to właśnie ta. – Wciskam

guzik na drewnianym panelu pomiędzy siedzeniami naprzeciw nas,

ujawniając lustrzany minibarek z kryształową karafką. Nalewam

szkockiej do dwóch szklanek, jedną podaję jej.

Wychyla zawartość niczym chłopak z bractwa podczas otrzęsin.

*Imponujące.*

Wydycha ostro powietrze, po czym otwiera usta, by coś

powiedzieć.

– Jeszcze nie. – Napełniam jej szklankę.

Ponownie wypija alkohol, wzdrygając się, gdy osiemdziesięcioletnia whisky spływa jej do gardła.

– Wow.

Popijam z własnej szklanki i wskazuję na nią.

– Teraz mów.

Ponownie wypuszcza powietrze.

– To naprawdę się stało?

– Chyba tak.

– Z Davidem nie tworzyliśmy nawet poważnego związku.

Spotykaliśmy się od dwóch miesięcy, przez połowę czasu mieszkając

w różnych stanach. Raz napomknął coś o wspólnym mieszkaniu, co już

było szalone, a co dopiero małżeństwo. Kto tak postępuje? Kto ogłasza w sali pełnej ludzi i kamer telewizyjnych, że zostanę jego żoną, nie pytając mnie najpierw o zdanie?

Mały Davie pewnie próbował być romantyczny, ale nie zamierzam

jej tego mówić.

Kręcę głową.

– Palant.

– Prawda?

Ponownie uzupełniam alkohol w jej szklance.

Upija do połowy.

– Do tego jestem pewna, że sypia, z kim popadnie. Nawet ze stażystkami!

Prycham.

– A kim ten klaun myśli, że jest? Billem Clintonem? Nim się

zorientujesz, zacznij grać na saksofonie.

– Dokładnie tak! – Patrzy na swoje dłonie, a jej głos mięknie. –

Najgorsze jest to, że nawet mnie to nie denerwuje. Ani odrobinę. To coś znaczy, prawda?

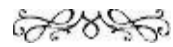
– Cholera, tak. Oznacza, że już dawno powinnaś kopnąć tego

gnojka w tyłek.

Kiedy kończy szklankę numer trzy, widzę, że zaczyna szumieć jej

w głowie. Nieznacznie słyhać to również w jej słowach:

– Ale mimo to nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam. Kiedy



mężczyzna się oświadcza, zasługuje przynajmniej na to, by kobieta nie uciekła, prawda?

Bawię się własną szklanką.

– Ściśle rzecz ujmując, nie uciekłaś, to ja cię wyniosłem.

– Moi rodzice... – Uderza się dłonią w czoło. – Mama uwielbia

Davida. Będzie rozczarowana.

– Ojciec jest mną rozczarowany od lat, to nie takie straszne, jak ci się wydaje. – Dopijam drinka.

Czas zmienić temat na weselszy.

– Powinniśmy gdzieś pójść, żeby spuścić nieco pary. Zasłużyłaś.

Zadzwoń do Vicki i Briana, podjedziemy po nich.

Kennedy dzwoni do przyjaciółki, streszczając naszą wielką

ucieczkę. Z tego, co słyszę, Vicki również nie była fanką Prince'a.

A kiedy Kennedy pyta, czy dołączą do nas, słyszę, jak jej przyjaciółka woła:

– Brian, dzwoń do matki!

Wygląda na to, że będzie nas czworo.

Kończymy w studenckim barze niedaleko domu Vicki i Briana.

Nie wydaje mi się, żeby śledzili nas jacyś paparazzi. Po kilku kolejkach Brian Gunderson próbuje swoich sił w karaoke. Śpiewa *I Cant't Feel My Face When I'm with You*, jego żona cały czas tańczy i klaszcze.

Kilka drinków później mikrofon przejmuje Kennedy. Śpiewa *Fight*

*Song* i choć nie ma najlepszego głosu, jej wyginające i kołyszące się seksowne małe ciało otulone białą sukienką sprawia, że dostaje owacje na stojąco od chłopaków z bractwa – a jest ich tu sporo.

Godzinę przed zamknięciem fajnie szumi mi w głowie, a troje

moich towarzyszy jest kompletnie zalanych. Vicki błaga Kennedy



o kolejną piosenkę, ale ta, kiedy próbuje wdrapać się na scenę, upada na tyłek, śmiejąc się przy tym jak szalona.

Studencik podbiega, żeby jej pomóc, ale już przy niej jestem.

Odganiam chłopaka groźnym spojrzeniem, po czym mówię do niej:

– Dobra, czas się zbierać, orzeszku.

– Zbierać? Ale mi się tu podoba! Jest fajnie!

Biorę ją na ręce. Nawet pijana nic nie waży.

– Wszystko ładnie, pięknie, dopóki ktoś nie dozna wstrząsu mózgu.

Brian wysiada z samochodu przed swoim domem. Opiera czoło na dachu i podaje mi rękę.

– Stary, powinniśmy to kiedyś powtórzyć. Niezmiernie się cieszę,

że już nie jesteś takim dupkiem jak w liceum.

Zgaduję, że to komplement. Przynajmniej tak sobie wmawiam.

– Dzięki. To wiele dla mnie znaczy.

Vicki tuli Kennedy na tylnym siedzeniu.

– Kocham cię, Vicki! – bełkocze.

– Kocham cię, Ken-ken! – odpowiada przyjaciółka.

Vicki szturcha mnie w ramię.

– I ciebie! Opiekuj się moją Kenny! Żeby nie musiała –

szturchnięcie – skopać ci – szturchnięcie – dupy – podwójne

szturchnięcie!

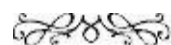
Przytakuję.

– Kopanie już za nami.

– Dobrze! Więc powinieneś coś wiedzieć. – Wyraz twarzy Vicki

staje się poważny, kobieta macha ręką, żebym się zbliżył, ale niszczy efekt, szepcząc głośno: – Kennedy nie miała ogaz... ograz... Kennedy

przez długi czas nie przeżyła uwolnienia. Od lat. Przynajmniej nie



z facetem.

– Ciii... – Kennedy klepie przyjaciółkę jak muchę. – To sekret!

– Ale może Brent ci pomoże?

Pokazuję Vicki uniesione kciuki, ale nie jest to jedyna część

mojego ciała, która się podnosi.

– Nie martw się Vick, dam radę. Wywiążę się z nawiązką, żeby wynagrodzić jej straconą zabawę.

Brian pomaga żonie wysiąść z samochodu i prowadzi ją do domu.

Są zabawni. Trochę szurnięci w sposób, przez który wydaje mi się,

że pasowaliby do mojej rodziny, a mimo to zabawni.

– Pamiętasz, jak mieliśmy po czternaście lat i rozmawialiśmy o masturbacji?

To jednak nie jest zabawne.

– Zapytałam, czy naprawdę to robisz, więc odpowiedziałeś:

„Obcięli mi nogę, Kennedy, nie rękę, więc robię to przez cały cholerny czas”. – Opiera twarz o moją szyję, chichocząc przy tym.

Zaczęło się w samochodzie. Dotknęła mnie – z pozoru niewinny

gest, który wcale nie był niewinny. I ta rozmowa, Chryste, pijana

Kennedy jest gadułą.

– I zapytałeś, czy ja też to robię, ale odpowiedziałam: „Absolutnie nie”.

Chodzi o seks. Każdego rodzaju. Oralny – lubi go w każdą stronę.

Analny – nigdy nie próbowała, ale naprawdę tego chce.

– Kłamałam. Robiłam to w akademiku, po cichu, żeby Vicki nie słyszała.

Niosę ją do domu. Harrison trzyma drzwi, a następnie zamyka je za

nami. Natychmiast ucieka do swojego pokoju, jego policzki są tak

czerwone jak nos renifera Rudolfa. Przywiozłem ją do siebie, bo gdyby było jej niedobrze, chciałbym się nią zająć. Przytrzymać jej włosy nad sedesem.

Ale Kennedy w ogóle nie jest niedobrze. Czuje się naprawdę super.

Unosi głowę, zwilża usta językiem i z głodem w oczach patrzy

w moją twarz.

– I zawsze myślałam wtedy o tobie.

Tym właśnie jest piekło. Tu i teraz.

Przesuwa się, opuszcza stopy, by zsunąć się w dół – przyciskając

pierś do mojej, ocierając się o mnie biodrami.

– Leżałam w łóżku, rozchylałam szeroko nogi i...

Całuję ją, by przestała mówić. Nie przerywam pocałunku,

ponieważ smakuje cholernie dobrze.

Całujemy się przez dłuższą chwilę, ale w końcu się odsuwam, nim

nie będę potrafił się oderwać.

– Tak bardzo cię pragnę, Brent.

Nie mówi poważnie. Jest pijana, wiem o tym. Z drugiej jednak

strony mój fiut nie jest tego taki pewien.

– Kochaj się ze mną.

Jej głos jest głębszy i każde słowo, każda sylaba drażni moją

osłabioną samokontrolę. Kennedy cofa się, patrzy mi w oczy, przesuwa palcami po obojczyku, piersiach, okrążając sutki w białej, jedwabnej tkaninie.

– Proszę, kochaj się ze mną.

W końcu odnajduję swój zduszony głos:

– Nie mogę, kochanie. – Biorę ją za rękę i całuję w czoło,

zaciągając się słodkim zapachem jej włosów. – Jesteśmy pijani.

Niszczy mnie jej wspaniałe, zranione spojrzenie.

– Nie chcesz się ze mną kochać?

Odwrót! Odwrót! To podchwytliwe pytanie – nie ma na nie dobrej

odpowiedzi! Nie w tej chwili.

Obejmuję jej twarz.

– Jesteś pijana. Nie możemy się teraz kochać.

Chwyta mnie za szyję i wzdycha przy mojej skórze.

– Dobra. Więc możesz mnie po prostu pieprzyć.

Jęczę.

Niemal się tego nie wstydzę. Te słowa są w stanie rzucić faceta na

kolana, jeśli nie może uprawiać seksu, ponieważ byłoby to złe.

Niesamowite i nieziemskie, ale złe.

Spełnienie trwających od czternastu lat fantazji, ale złe.

Niebiańskie, ożywiające chóry anielskie, wybuchowe, ale złe.

Powtarzam to w duchu jak mantrę, pilnując, by o tym nie

zapomnieć. Jednak jest mi ciężko.

Bardzo ciężko.



A ciosy nie przestają napływać.

Kennedy sięga za plecy i pociąga za zamek sukienki.

W okamgnieniu materiał opada na podłogę, ujawniając idealnie gładką, brzoskwiniową skórę. Jej piersi są nagie i piękniejsze niż

w którymkolwiek z moich snów.

Małe, ciemne sutki błagają o moje usta, zęby i język.

Obraca się, wdzięcznie kołysząc biodrami, gdy przemierza

korytarz. Zsuwa beżowe majteczki, które również lądują na podłodze.

Magia.

Odsłaniają soczysty tyłeczek w kształcie serca, który zasługuje na

pieszczoty i uwielbienie. Chyba ponownie jęczę, choć tym razem nie

jestem pewien.

Kiedy wchodzi po schodach, nie ogląda się przez ramię, nie woła

mnie po imieniu. Nie musi.

Ponieważ już biegnę.

Spieszę za nią do sypialni.

Po czym zamykam za nami drzwi.

# 11

Czekam cierpliwie na sofce w rogu pokoju, obserwując ją.

Rozkoszuję się ładnym widokiem, gdy leży na środku wielkiego łóżka.

Bez ostrzeżenia Kennedy siada prosto, tak szybko, że jej długie jasne włosy nakrywają jej twarz. Dmucha na nie i rozgląda się po pomieszczeniu. Przygląda się swojej sylwetce odzianej w czarną koszulkę ze Spider-Manem – tę, którą praktycznie na nią wcisnąłem.

– Dzień dobry, cukiereczku. – Uśmiecham się.

Piorunuje mnie wzrokiem.

– Uprawiałeś ze mną seks?

Stukam palcem w usta, rozważając jej pytanie.

– Nie wiem, co mnie bardziej obraża: to, że uważasz, iż

uprawialiśmy seks, gdy byłaś tak pijana, czy też to, że według ciebie możesz go po fakcie nie pamiętać.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Przewracam oczami.

– Oczywiście, że nie uprawialiśmy seksu. Nie to, żebyś się nie starała. Czuję się uprzedmiotowiony. Dzięki każdemu alkoholowi zachowujesz się jak kotka w rui czy to konkretnie zasługa szkockiej?

Jeśli to drugie, kupię cały zapas. Może nawet wykupię fabrykę.

Zakrywa twarz dłońmi i kładzie się na łóżku.

– Pieprzyć moje życie. I to mocno.

– Ostrożnie z tym, nie wiem, czy poradzę sobie w tej chwili ze wzwodem.

A raczej z silniejszym wzwodem, jeśli mam być całkiem szczery.

Zerkam na zegarek.

– Nie dotarliśmy nawet do najlepszej części. Trzy, dwa, jeden...

Dzwoni moja komórka, leżąca na stoliku obok.

Przykładam ją do ucha.

– Cześć, mammo.

Plotki szybko się rozchodzą, a wiadomości na temat dziecka

potencjalnie sypiającego z osobą, którą wybrali dla niej rodzice, gdy miała trzy lata? Te rozchodzą się z prędkością światła.

Matka natychmiast przystępuje do przesłuchania.

– Tak, jest tutaj. – Uśmiecham się do Kennedy, która,

zawstydzona, zerka na mnie przez palce, wyglądając jak siedem nieszczęść.

– Nie, mammo, nie wyjechaliśmy. Przykro mi, że cię zawiodłem.

Nakrywam telefon dłonią i przekazuję Kennedy złe wieści:

– Matka cię szuka.

W pełni zakrywa oczy.

Jednak jęczy, kiedy słyszy moją odpowiedź na kolejne pytanie

padające z telefonu:

– Nie, Kennedy nie jest ze mną w ciąży. Przynajmniej z tego, co mi wiadomo.

Poduszka leci w kierunku mojej głowy.

Odpowiadam na kolejne pytanie matki:

– Nie, nie odmówiła oficjalnie Prince’owi, ale są wielkie szanse na to, że wszystko mu powie, kiedy ponownie go zobaczy. – Śmieję się. –

Zdjęcie, co? Sprawdzę. Tak, również uważam, że tworzymy niezłą parę.

– Gdzie mój telefon? – pyta Kennedy na w pół jęcząc, a na w pół sycząc.

– Słuchaj mamó, muszę kończyć. Tak. Później do ciebie

zadzwońię. Nie, nie możemy umieścić tego w rodzinnym informatorze.

Też cię kocham. Pa.

Kończę rozmowę i przyglądam się, jak Kennedy przesuwa się na

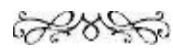
skraj łóżka. Przechylam głowę na bok, starając się zerknąć na niebo, jakie zobaczyłem w nocy.

Byłem dobrym facetem, wykazałem się rycerskością. Myślę, że

zasłużyłem na nagrodę.

– A przy okazji, masz pozdrowienia od mojej mamy. Twój telefon

jest w torebce obok łóżka, ale padła mu bateria. Twoja matka wyczerpała



ją w nocy, dzwoniąc nieprzerwanie, gdy nie odbierałaś.

Kennedy kładzie stopy na podłodze. Bierze głęboki wdech, po

czym powoli wstaje.

– Wyrzekną się mnie.

– Byłoby to złe?

Kuśtyka w kierunku krzesła, na którym znajdują się jej starannie

złożone ubrania.

– Ojciec zawsze chciał mieć syna. Mama nigdy mnie nie lubiła. To

chwila, na którą czekali. Wydziedziczą mnie.

Wstaję i podchodzę do niej.

– Udzielę ci pożyczki na bardzo atrakcyjnych warunkach. Przecież

właśnie po to są przyjaciele.

W końcu patrzy mi w twarz, a przez jej smutek ściska mi się serce.

– Moje życie jest w rozsypce, Brent.

Odsuwam jej włosy z twarzy.

– Jeśli chcesz zrobić omlet, musisz rozbić kilka jajek. A ty, moja mała pijaczko, zasługujesz na to, co najlepsze. Rodzice się z tym pogodzą. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Przed odwiezieniem Kennedy do domu przebieram się w spodenki do biegania i koszulkę. Kobieta wysiada z samochodu, ubrana w moje spodnie od dresu, które nawet z podwiniętymi nogawkami i zawiązane mocno w talii są na nią za duże przynajmniej o dwanaście rozmiarów. Wygląda w nich cholernie uroczo.

Kiedy stajemy na ganku jej domu, otwierają się tylne drzwi zaparkowanego przy ulicy czarnego SUV-a z przyciemnianymi szybami.

Wysiada z niego David Prince – na nosie ma okulary przeciwsłoneczne, a jego brązowe włosy są idealnie zaczesane, bez wątpliwości ułożone lakierem.

Chociaż jestem wkurzony, bo ten drań nie dał Kennedy nawet

chwili, by wszystko sobie przemyślała, cieszę się, że będę świadkiem wymiany ich poglądów. Naprawdę chcę wiedzieć, jak daje mu kosza.

A jeśli nie czuje się na siłach, by to zrobić, chętnie ją wyręcę.

Wchodzę za Kennedy do jej domu, Prince wślizguje się za mną.

Zamyka drzwi, zatrzymuje się dopiero na środku gustownie urządzonego salonu, kilka stóp od niej. Zajmuję miejsce obok beżowej kanapy, na tyle daleko, by pozwolić im przeprowadzić rozmowę, ale również na tyle

blisko, aby wejść pomiędzy nich, gdyby zaistniała taka konieczność.

Prince, zgodnie z przewidywaniami, wygląda na niezadowolonego, ale daleko mu do załamania. Uśmiech widniejący na plakatach z jego kampanii zastąpiony został brzydkim grymasem. Mężczyzna wyrzuca ręce w górę.

– Co to, u diabła, ma być, Kennedy?

Kobieta stoi prosto, trzymając uniesioną głowę – przyjęła tę samą postawę, którą zachowuje na sali sądowej, pokazuje butę i nieustraszoną gotowość do konfrontacji.

– Mogłabym zadać ci dokładnie to samo pytanie, Davidzie.

– Upokorzyłaś mnie wczoraj!

– Sam się upokorzyłeś. Jednak współczucie, jakie zbierzesz, pomoże ci w sondażach i oboje wiemy, że tylko o to się martwisz.

Gdybyś pokwapił się zapytać, czego pragnę...

– Myślałem, że jesteśmy zgodni. – Podchodzi do niej o krok.

Jednak ona się nie cofa.

– Nie, wcale nie. Inaczej nie szykowałbyś tej zasadzki.

– To była niespodzianka! Okazanie uczuć.

– To był przejaw goryczy! – odpowiada Kennedy. – Oboje wiedzieliśmy, o co chodzi w tym związku. Byłam ładną buzią, elegancką, uśmiechającą się na zdjęciach w twojej kampanii, a ty...

– Tak? – przerywa jej, zbliżając się ponownie. – Czym byłem?

– Wygodą. Kimś, z kim miło spędzałam czas, choć nie byłam wystarczająco zaangażowana, by się wściekać, kiedy posuwałeś się do stajni.

Blednie nieznacznie i mruży oczy. Przesuwa się, by złapać ją za rękę, ale jestem szybszy. Chwytam go za przedramię. I ściskam.

– Zgaduję, że ten nadgarstek jest dla ciebie ważny, więc radziłbym się odsunąć od pani. I uspokoić.

Dave zabiera rękę i odpuszcza.

Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, po czym zwraca się do

Kennedy:

– Na to mnie zamieniłaś? Na kalekę?

Kiedy Kennedy otwiera usta, by się z nim spierać, odrzucam głowę w tył i parskam głośnym śmiechem.

– Kalekę, Dave? Tylko na tyle cię stać? Nie nazwiesz mnie nawet

kuśtykiem, ułomem albo przynajmniej ćwierćfacetem? Jeśli zamierzasz

kogoś obrażać, upewnij się najpierw, że masz odpowiedni zasób ciętych ripost. W przeciwnym razie nie wydasz się dupkiem, wyjdiesz jedynie na przygłupa. A ponadto możesz się walić, ty uprzywilejowany,

pasożytniczy, dwulicowy lachociągu.

David robi, co może, by mnie ignorować, przygląda się Kennedy,

próbując zachować przekonujący wyraz twarzy, lecz jest od tego daleki.

– Dobrze nam razem, Kennedy.

Kobieta kręci głową.

– Niewystarczająco dobrze.

– Moglibyśmy znaleźć się razem w Białym Domu. Nadal możemy.

Jakie to romantyczne. Czy ten palant chce mieć dziewczynę, czy partnera w interesach?

– Ten dom mi wystarcza. Koniec z nami, Davidzie. Żegnam.

I, tak po prostu, mężczyzna odpuszcza. Gdybym był młodszy,

natychmiast pokazałbym mu gestem, ile jest wart, ponieważ gość jest już przegrany.

Odwraca się w kierunku drzwi, ale stawia jedynie dwa kroki, nim przystaje i ponownie na nią patrzy.

– Wiem, że nie podpisywałaś klauzuli poufności, ale jeśli tylko pomyślisz, by rozmawiać z dziennikarzami...

– Ty tak serio? – W jej głosie słychać gorycz. – Z nikim nie

zamierzam rozmawiać. Mam na głowie poważniejsze sprawy,

a publiczne pranie twoich brudów do nich nie należy. – Unosi rękę

i wskazuje na drzwi. – A teraz wynocha.

Pomagam mu, otwierając drzwi na oścież.

– Pa, pa, Davidku.

Popycham skrzydło nogą, by się za nim zatrzasnęło.

Podchodząc do Kennedy, wyciągam rękę za głowę.

– Od razu mi lepiej, gdy ten kretyn już nie zawadza.

Spodziewam się chichotu, a przynajmniej uśmiechu, jednak

Kennedy opada na kanapę, opiera łokcie na kolanach i chowa twarz w dłoniach.

Klękam przed nią, głaszcząc ją po nodze.

– Nic ci nie jest, gwiazdeczko?

Spogląda na mnie udręczonymi oczami.

– Gwiazdeczko?

Dwoma palcami muskam jej obojczyk, by pokazać resztki brokatu

pozostałe tam od wczorajszej imprezy. Posyła mi przez to słaby uśmiech i mówi:

– Jestem wykończona.

Wstaję.

– Na pewno. Zrelaksuj się więc, weź gorącą kąpiel i się zdrzemnij.

Naładuj baterie, po czym przyjedź do mnie o szóstej. Przygotuję kolację.

Kennedy zamyka oczy.

– Brent...

– Nie jestem tak utalentowanym kucharzem jak Harrison, ale jakoś

sobie radzę. – Ostrożnie unoszę jej głowę i dodaję ciszej: – Chcę cię nakarmić, Kennedy. Chcę z tobą porozmawiać i chcę cię pocałować,

wiedząc, że nazajutrz będziesz to pamiętała.



To ponownie rozpala ogień w tych wspaniałych brązowych oczach.

– Całowaliśmy się wczoraj! – Dźga mnie palcem w udo. –

Wiedziałam!

– Ściśle rzecz biorąc, ty całowałaś mnie. Właściwie to się na mnie

rzuciłaś, ale nie narzekam. – Przysuwam się i całuję ją w czoło. –

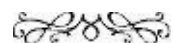
Naprawdę chcę się zrewanżować.

Idę do drzwi, nim ma szansę zaprotestować. Jej głos zatrzymuje

mnie, gdy sięgam do klamki:

– Co my robimy? To znaczy, o co w tym wszystkim chodzi, Brent?

– Brzmi, jakby naprawdę była ciekawa.



– Zaczynamy od nowa. To nowy początek.

– Ale proces...

– Nie będziemy o nim rozmawiać – zapewniam. – Jesteśmy

dorośli. Potrafimy oddzielić życie prywatne od zawodowego. Nie będzie konfliktu interesów.

– Może ja nie chcę zaczynać od nowa. – Wzdycha. – Tyle się

między nami dzieje, że nie wiem, czy nowy początek jest w ogóle

możliwy.

– W takim razie porozmawiamy o tym wieczorem. O szóstej,

laleczko. Nie spóźnij się.

Biegam po parku National Mall swoją ulubioną ścieżką. Jak nigdy

wcześniej silna energia iskrzy w moich zakończeniach nerwowych.

Adrenalinowy haj towarzyszący mi na meczach lacrosse był podobny do

tego uczucia, ale teraz to coś więcej. Doszła ekscytacja i podniecenie.

Dwie godziny później wchodzę do domu i zauważam, że Harrison

odkurza salon. Rzucam klucze na stolik.

– Harrison, pocziwino.

Odwraca się do mnie z mieszaniną ciekawości i zaskoczenia na twarzy.

– Tak, Brent?

Zarzucam mu rękę na ramiona.

– Pamiętasz tę Szwedkę, opiekunkę do dzieci z końca ulicy, w której od pół roku się podkochujesz?

Przełyka ślinę.

– Jane?

– Tak, tę. Z dobrego źródła wiem, że ma dzisiaj wolne. – Wkładam

mu do ręki stówę. – Czas skorzystać z okazji, kolego. Weź samochód,

zabierz ją na miasto, pokaż jej, jak się bawić, a jeśli ci się poszczęści, zabierz ją do hotelu. A jeśli jednak ci się nie poszczęści, zostań na noc u ojca. Cokolwiek się stanie, nie wracaj do domu.

Przygląda się banknotowi, marszcząc brwi.

– Nie rozumiem.

– Będę miał dzisiaj towarzystwo. – To pierwszy raz, gdy proszę go

o trochę prywatności, zazwyczaj zachęcam go, by się przyglądał. Zatem muszę wyjaśnić: – Ma przyjść Kennedy. Zrobię kolację. I chociaż

zawsze jesteś nienagannie dyskretny, chciałbym, by czuła się całkowicie swobodnie, żebyśmy mogli otwarcie porozmawiać o naszych uczuciach.

Pogadać.

Pozbyć się ubrań.

Połamać meble, podrapać ściany, zbecześcić każdą powierzchnię

w domu. Być może są to tylko pobożne życzenia, ale, jak mawiają

harcerze: dobrze jest być przygotowanym.

Zrozumienie maluje się w oczach Harrisona.

– A, rozumiem. – Odkłada miotełkę do kurzu. – Powiniennem

przebrać się w coś bardziej odpowiedniego na wizytę u Jane.

Klepię go w plecy.

– Bierz ją, tygrysie.

Wątpliwości zasnuwają jego twarz.

– Myślisz... myślisz, że się zgodzi?

Czochram go po włosach w sposób, w jaki zrobiłby to starszy brat.

– Byłaby szalona, gdyby się nie zgodziła. Jesteś niezłym ciachem.

Harrison się uśmiecha, wygląda, jakby mu ulżyło.

Idziemy w stronę schodów znajdujących się przy kuchni.

– Przed wyjściem mam przygotować kolację? – pyta.

Wchodzę do kuchni i macham mu ręką.

– Nie. Chcę to zrobić własnoręcznie.

– Dobrze.

Kiedy Harrison odchodzi, wołam za nim:

– Tylko taki drobiazg: jak się włącza piekarnik?



O piątej piętnaście mam gotowego kurczaka w cytrynach, przyrządzonego według prostego internetowego przepisu. Wkładam go do piekarnika i idę pod prysznic.

O piątej trzydzieści zakładam jeansy i ciemnoniebieską elegancką koszulę.

O piątej czterdzieści pięć stół jest zastawiony: w lniane serwetki, kryształowe kieliszki, talerze z chińskiej porcelany i srebrne sztućce – Harrison byłby dumny. Zmniejszam oświetlenie i wkładam butelkę

białego wina do kubelka z lodem.

Za pięć szósta stawiam gotowego kurczaka na kuchence, licząc na

to, że będzie smakował lepiej, niż wygląda. Odpalam świece na stole, siadam na kanapie i czekam na przybycie Kennedy.

O szóstej piętnaście wciąż czekam – nie znam kobiety, która

byłaby punktualna, więc się nie denerwuję.

O szóstej trzydzieści włączam telewizor i ściskając sprężyny do

ćwiczeń dłoni, chodzę po pokoju.

O szóstej czterdzieści pięć nalewam sobie lampkę wina.

O siódmej ryzykuję wyjście na żałosnego kretyna i wybieram

numer Kennedy. Natychmiast włącza się poczta, ale nie zostawiam

wiadomości.

O siódmej trzydzieści piję drugi kieliszek. I gaszę świece.

O ósmej wdaje mi się, że ktoś jest na schodach, ale kiedy to

sprawdzam, nikogo nie zastaję.

O dziewiątej zaczyna padać, błyskać się i grzmieć. Leżę na kanapie

z ręką pod głową, wyciągniętymi nogami i rozpiętą koszulą.

Jednak dopiero o dziesiątej dopuszczam do siebie myśl, że

Kennedy jednak się nie pojawi.

Kiedy otwieram oczy, jestem zdezorientowany. Nie wiem, która jest godzina ani jak długo spałem. Uświadamiam sobie, że leżę na kanapie, wciąż jest ciemno, a na zewnątrz pada. Myśl, że Kennedy miała przyjść na kolację, uderza we mnie niczym cios w brzuch, ponieważ przez mój zamglony umysł przedziera się to, co mnie obudziło.

Pukanie.

Podchodzę do drzwi, otwieram je i zauważam schodzącą po schodach drobną blondynkę.

– Kennedy?

Zatrzymuje się na chodniku i powoli odwraca twarzą do mnie. Jest przemoknięta, jeansy oblepiają jej nogi, z rękawów biało-niebieskiego pasiastego swetra kapie woda, ma oklapnięte włosy i sine usta.

– Nie zamierzałam przychodzić – mówi.

Odzywam się głębokim, zaspanym głosem:

– Tak, domyśliłem się, kiedy się nie pokazałaś. – Otwieram szerzej drzwi. – Wejdz.

Jednak, niczym woda od oliwy, Kennedy się odsuwa.

– Nie wiem, dlaczego tu jestem. – Brzmi na autentycznie zdezorientowaną, nawet lekko spanikowaną.

– Najwyraźniej dlatego, że nie można mi się oprzeć. – Przez podmuch wiatru zimne krople deszczu lądują na mojej piersi, ponieważ wciąż mam niezapiętą koszulę. – Cała się trzęsiesz, wejdz.

Spogląda na mnie, przez jej twarz przesuwa się cała gama emocji.

Jest niczym wystraszony kociak, który nie potrafi zdecydować, czy dać się pogłaskać nieznanemu, czy może spieprzać na najbliższe drzewo.

Łamie mi to serce.

– Chyba nie mogę.

Wychodzę do niej.

Deszcz jest ostry i zimny, moczy mi koszulę. Spojrzenie Kennedy

unoszą się i przesuwa po mojej piersi i twarzy, po czym wraca na chodnik, jakby dziewczyna przygotowywała się do ucieczki – jednak nadal stoi.

Przysuwam się, by słyszała mnie przez ulewę.

– Pamiętasz, gdy uczyłem się ponownie jeździć na rowerze?

Kąciki jej ust unoszą się nieznacznie.

– Tak, pamiętam.

– Mieliśmy jedynie twoją damkę, więc siedziałam na kierownicy, kiedy pedałowaliśmy.

Przytakuje.

– Któregoś dnia jechałem za szybko i trafiliśmy na kamień, przez

co oboje spadliśmy. Nie chciałem więcej tak jeździć, bo bałem się, że zrobię ci krzywdę. Pamiętasz, co mi wtedy powiedziałaś?

Patrzy mi prosto w oczy.

– Powiedziałam... Powiedziałam, żebyśmy jechali dalej...

ponieważ dla jazdy warto spadać.

Kiwam z czułością głową.

Kennedy dodaje:

– Wtedy nazwałeś mnie swoim ciasteczkiem z wróżką.

Oboje się śmiejemy.

Kiedy ten dźwięk wybrzmiewa, wyciągam rękę.

– Tym razem nie pozwolę nam upaść, Kennedy.

Jej spojrzenie wraca do mojej piersi.

– Nie wiem...

– Musisz tylko wziąć mnie za rękę.

Tak jak mówiłem wcześniej – nigdy nie wiadomo, kim jest

wewnątrz druga osoba. Ktoś tak niesamowicie zapalczywy na sali

sądowej jak Kennedy może skrywać kruchą, delikatną duszę. Nawet

przez sekundę nie myślę, że jest to oznaką jej słabości. Sam fakt, że tu stoi, pokazuje, jaka jest silna. To po prostu... instynkt.

Uciekamy od rzeczy, które sprawiają ból, które zraniły nas

w przeszłości.

Właśnie po to są blizny. Chronią rany. Pokrywają je grubą,



niewrażliwą warstwą, byśmy już nigdy nie czuli tego samego bólu.

Koniec mojego kikuta jest jednym wielkim, twardym zgrubieniem.

A blizny, które Kennedy nosi wewnątrz? Są jeszcze twardsze.

Kiedy nadal wpatruje się w moją rękę, nalegam:

– Proszę, wejdź.

Powoli, ostrożnie jej niewielka dłoń wsuwa się w moją.

Wchodzimy do domu, chroniąc się przed deszczem.

Szczęka zębami, siedząc na skraju mojego łóżka. Okryłem ją

kocem, roztarłem ramiona i schowałem jej dłonie w swoich.

– Jezu, jesteś jak sople lodu. Jak długo byłaś na zewnątrz?

– Chwilę. Chodziłam... zastanawiałam się.

– Twoja rodzina ma więcej pieniędzy niż rządy małych państw.

Następnym razem, gdy wyjdiesz pomyśleć, zatrzymaj się na chwilę

i kup parasol.

W ciemnym pomieszczeniu jej głos wydaje się miękkiej i niepewny:

– Nie tak to sobie wyobrażałam.

– Ja też nie. Myślałem, że będę cię rozbierał, nie owijał jak jakieś burito.

Słyszę chichot.

– Mam na myśli powrót tutaj, ponowne spotkanie z tobą...

Sądziłam, że będzie inaczej.

Trzymam ją za rękę, pocierając, by je ogrzać.

– Inaczej? W jaki sposób?

– Wiedziałam, że w końcu gdzieś na siebie wpadniemy. Jednak

gdy zobaczyłam twoje nazwisko przy sprawie Longhorna, pomyślałam,

że to zrządenie losu. Moja szansa na rewanż. Myślałam, że porazi cię mój nowy wygląd. Że cię oczaruję.

Może to skreślić ze swojej listy.

– Wyobrażałam sobie, że z tobą flirtuję, bawię się tobą, żeby

w końcu cię zmiażdżyć. Cierpiałbyś, a ja śmiałabym się w głos nad

szczętkami twojego złamanego serca.

– Jesteś mściwą kruszyną, nie ma co.

Spogląda na sufit i kręci głową.

– Czasami. Jeśli chodzi o procesy, o ofiary, chcę ukarać ludzi,

którzy je skrzywdzili. Jednak ty... nadal jesteś sobą. A kiedy cię

zobaczyłam... poczułam się dokładnie tak samo. Tak jak czułam się

przed balem, przed pójściem do twojego pokoju w akademiku tamtego

ranka. Jakbym znów miała siedemnaście lat i była pełna nadziei, że ty...

Milknie, a moja pierś ściska się pod wpływem wysublimowanej

mieszanki ekscytacji i niepokoju. To pragnienie tak wielkie, że każda komórka mojego ciała rozciąga się, chcąc po to sięgnąć. Jednocześnie istnieje we mnie szary cień zmartwienia, że nigdy nie będę w stanie tego dostać. I zatrzymać. Że zostanie mi jedynie wspomnienie i marzenie, jak dobrze mogło być.

– To ma w ogóle sens, Brent?



Przełykam ślinę.

– Ależ oczywiście.

Obejmuję jej dłonie i chucham na nie. Ponownie drży.

– Musisz zdjąć te mokre rzeczy – mówię łagodnie, starając się niczego nie sugerować.

Znajdujemy się tuż nad przepaścią. Czuję to. Muszę postępować ostrożnie, bo wystarczy jeden zły ruch i Kennedy odejdzie, tym razem naprawdę ją stracę.

W pokoju panuje cisza. Zdejmuję przemokniętą koszulę i upuszczam ją na podłogę. Kennedy porusza tylko oczami, wodzi spojrzeniem po moich ramionach, opalonych wzgórzach i dolinach mojego torsu. Wstaję, powoli rozpinam rozporek i zsuwam spodnie

z bioder, wyciągając najpierw jedną nogę, po czym, przytrzymując się łóżka, tę z protezą. Pozostaję jedynie w czarnych bokserkach.

Bez mokrych, zimnych ubrań moja skóra wydaje się gorąca.

Niczym powierzchnia pieca rozgrzana od płonącego wewnątrz ognia.

Brazowe oczy Kennedy uważnie śledzą każdy mój ruch. Przygląda

mi się, czekając. Zwilżam językiem dolną wargę, gdy chwytam jej przemoczony sweter za brzeg i powoli unoszę, spijając wzrokiem

kremową skórę, którą odsłaniam.

Kennedy unosi ręce. Ściągam jej sweter przez głowę, po czym

rzucam go z młaśnięciem na podłogę. Wczoraj widziałem ją naga, ale to było co innego. Nie mogłem cieszyć się widokiem, usilnie starałem się nie patrzeć.

Ale teraz się gapię.

I, och, naprawdę się tym rozkoszuję.

Widzę soczyste, okrągłe piersi otoczone białą koronką. Jej sutki,

ciemnofioletowe i napięte, wypychają okrywającą je tkaninę. Jej

obojczyki są delikatne, ramiona i ręce jędrne. Ma płaski brzuch z lekko zarysowanymi mięśniami, na

widok którego przygryzam wewnątrz

policzka... ponieważ chciałbym ssać jego skórę, przesuwać po nim językiem i skubać zębami, aż usłyszałbym jej jęk.

Nasze piersi unoszą się coraz gwałtowniej. Klękam przed Kennedy i sięgam do guzików jej spodni.

Czuję na sobie spojrzenie tych łagodnych, bursztynowych oczu, które są niczym świece w oknie ukazujące drogę do domu.

Unosi biodra, więc ściągając materiał, dotykam palcami jej ud, pozostawiając na miejscu białe jedwabne majtki. Jej nogi są przepięknie umięśnione i tak długie, że mogłyby objąć mnie w pasie, w ramionach...

nawet za szyję.

Wstaję i spoglądam na nią całą, chłonąc wzrokiem piękno znajdujące się na skraju mojego łóżka.

– Wejdz pod kołdrę – szepczę.

Kiedy Kennedy układa się na środku, z głową na poduszce, siadam na brzegu i ściągam protezę. Obracam się i układam pod kołdrą.

Kennedy tuli się do mnie bez słowa. Z początku jej chód jest szokiem, jednak chwilę później mój żar zwycięża.

Oprócz jej stóp. Praktycznie skaczę pod sufit, gdy dotyka nimi mojej łydki.

– Jesteś jak mała kostka lodu!

Śmieje się nieco złowieszczo.

Leżymy zwrócenii twarzami do siebie, niemal nos w nos. Jej włosy

wciąż są mokre, krople spadają z nich na jej obojczyk, dekolt, przez co muszę wziąć głęboki wdech, ponieważ bardzo chciałbym je zlizać.

– Mów do mnie – prosi cicho. – Masz... Wciąż masz kontakt z kimś ze szkoły?

– Nie.

– Opowiedz o swoich przyjaciółach. Partnerach w firmie. Jacy są?

To prawda, że wiele można powiedzieć o osobie, poznając jej towarzystwo. Gnojki mają tendencję do przyciągania podobnych sobie, aby wyglądali lepiej lub gorzej, w zależności od okoliczności.

– Stanton jest naprawdę dobrym gościem. Można na nim polegać.

Stara się podejmować właściwe decyzje, bo jest to dla niego ważne, jednak czasami nie potrafi odpuścić tego, co sobie wymyśli. Mimo to jest facetem, do którego możesz zadzwonić i poprosić o pomoc, gdy

o drugiej w nocy złapiesz gumę w śnieżycy. Nie zawaha się, tylko założy wysokie buty i przybędzie na ratunek.

W słabym świetle zauważam niewielki uśmiech na twarzy

Kennedy.

– Sofia ma trzech starszych braci, więc jest twardzielką, jednak

w środku skrywa kobiecą miękkość. Jest pełna życia i wesoła... jak starsza siostra, której nigdy nie miałem.

Kennedy wodzi palcami po moim bicepsie – z początku nieśmiało, po czym coraz pewniej.

– A Jake... Polubiłabyś Jake'a. Jest naprawdę złośliwy.

Prycha stłumionym śmiechem.

– Złośliwy?

Odpowiadam z rozbawieniem:

– Całkowicie. Jest nieokrzesany i twardy, ale tylko dlatego, że nie chce, by wszyscy widzieli, jak bardzo jest troskliwy. Jest baczny obserwatorem, zauważa każdy szczegół. I z ochotą popełniłby morderstwo dla tych, których kocha.

– Mówisz, jakby byli naprawdę dobrymi przyjaciółmi.

– Tak, są najlepsi. Mam szczęście.

Przez kilka minut panuje cisza. Wzrasta prędkość bicia mojego serca, ponieważ Kennedy nie przestaje głaskać mnie po ręce. Smukłe, ciepłe palce suną w górę i w dół.

– Brent? – Jej głos jest zaledwie szeptem, jakby sprawdzała, czy przypadkiem nie śpię.

– Hmm?

– Ba... bardzo za tobą tęskniłam.

Mam przerąbane.

Pragnienie, by ją pocałować, dotknąć, niosło mnie niczym prąd morski, odkąd zobaczyłem ją na moich schodach, a po tych kilku słowach pozwalam, by mnie porwało.

Przysuwam się do niej i całuję w usta. Przywiera do mnie

z westchnieniem. Jej wargi stapiają się z moimi, jedną rękę kładę na jej policzku, gdy rozchyła usta, gotowa, abym wsunął między nie język. To nierzeczywiste – słodkie i niesłychanie znajome. Mruczę, smakując jej.

Czuję, jakbym znów miał siedemnaście lat i siedział na tylnej

kanapie w ferrari. Moje serce z każdym uderzeniem tłoczy w żyłach

gorące podniecenie. Potrzebę i pragnienie. Mam ochotę dotknąć każdego skrawka jej ciała, a jednocześnie delectować się każdą sekundą.

Nagle uświadamiam sobie, dlaczego to, co wtedy czułem, było tak

silne. Nie dlatego, że byłem napalonym małym niemogącym

doczekać się spełnienia.

To była ona.

Ta piękna, słodka, silna dziewczyna w moich ramionach złapała

mnie wieki temu, dostała się do mojego wnętrza, serca i pozostała tam, czekając aż do teraz. A w tej

chwili jest tutaj, w moim łóżku. Jej skóra rumieni się z podniecenia, palce zaciskają się na moich ramionach,

a zęby skubią moje wargi, przez co niemal tracę pieprzone zmysły.

Nie odrywając od niej ust, unoszę się na łokciach, by się nad nią

znaleźć. Mięśnie jej brzucha kurczą się pod moją dłoń, gdy drugą

przesuwam nad nimi i kładę na jej idealnym biuście. Jej pierś idealnie pasuje do mojej dłoni, a kiedy ściskam miękkie ciało, Kennedy jęczy

i ssie mocno mój język, pokazując, jak bardzo jej się to podoba.

Poruszam palcami, zataczając powolne koła, ugniatając i czując

w środku dłoni szczyt twardego sutka. Kennedy mruczy w moje usta,

wygina się w moim kierunku. Przesuwam wargi na jej policzek i szyję, skupiając się na miejscu, w którym widać przyspieszony z rozkoszy puls.

Ssę skórę, smakując pozostałości deszczu i potu, mieszaninę, która

należy tylko do niej.

Oddycha ciężko, jej ręce są wszędzie – przesuwają się po moich

włosach, plecach, palce wbijają się w mięśnie na moich ramionach. Liżę ścieżkę do jej ucha, skubiąc jego płatek, a moje dłonie zmieniają kurs.

Denerwująco powoli wędrują w dół, do uniesionych bioder

poszukujących tarcia, ale znajdujących jedynie powietrze.

Mam zamiar zająć się tym problemem.

Kiedy moja ręka spoczywa między jej udami, na materiale majtek,

a palce trafiają na jej cipkę, szepczę jej ochryple do ucha:

– To w porządku?

Odpowiedzią jest najśłodsze z trzyliterowych słów:

– Tak.

Mocniej naciskam dłoń, kierując palce ku jej wejściu –

pozwalając jej poczuć nacisk i wyobrazić sobie, jak byłoby

fantastycznie, gdyby zanurzyły się w środku. Z jej gardła wymyka się oszalały dźwięk, biodra zaczynają ocierać się o moją dłoń, błagając

o więcej.

– Co chcesz, bym zrobił, Kennedy?

Przesuwam ręką w przód i w tył, drażniąc ją, drocząc się,

wznecając ogień.

Ciągnie mnie za włosy.

– Dotknij.

Przyciąga moje usta do pocałunku, który jest dziki, a jej język,

mokry i zdesperowany, wiruje w moich ustach. Nie przestaję poruszać

dłonią. Czuję jej łechtaczkę przez jedwab, nabrzmiałą i gotową na

uwolnienie.

– Mocniej – dyszy, zaciskając powieki. – Proszę, dotknij mnie

mocniej.

Przesuwam palce na jej brzuch, nakrywając jej pępek, po czym

wsuwam je pod materiał. Sam fakt, że dostałem się pod jej bieliznę,

podnieca mnie jeszcze bardziej.

Chwilę później to ja jęczę, zaciskam powieki, czując przytłaczającą

gładkość nagiej skóry Kennedy przesuwającej się pod opuszkami moich

palców.

O cholera, jest taka wilgotna, gorąca i doskonała. Chciałbym

wsunąć język głęboko w ten żar – a potem poczuć, jak zaciska się na moim fiucie.

Opieram się tej pokusie, pragnąc, by błagała jeszcze bardziej,

wsuwam dwa palce pomiędzy jej nabrzmiąte fałdki, jednak nie wkładam

ich do środka. Rozcieram jej wilgoć na łechtaczce, wokół jej wejścia, pocierając okrężnym ruchem, co powoduje, że Kennedy rozkłada nogi

jeszcze szerzej.

– Tak? – pytam przy jej szyi.

Z jej otwartych ust dobiega jęk.

Jednak zaraz kobieta skupia się na mnie. Wkłada rękę w moje bokserki, obejmuje palcami członek i ściska go z idealną siłą, zatrzymując się tuż na granicy bólu.

Następnie zaczyna go pocierać, skręcając nadgarstek u podstawy.

Czuję się upojony jej pieśczołą, spragniony więcej.

Kennedy opiera głowę z powrotem na poduszce, uciekając od moich ust, aż otwieram oczy i patrzę jej w twarz.

Uśmiecha się.

– Tak? – pyta, zaczepnym tonem.

Jej kciuk przesuwa się do żołądki, ślizgając się tam i z powrotem, rozsmarowując kropelkę, która się tam zebrała, ale nie zsuwa dłoni ponownie w dół. Czeka na moją odpowiedź.

Uśmiecham się do niej.

– Szybciej.

Nie waha się. Pieści mnie gładkimi, pewnymi ruchami – oczy chcą uciec mi w tył głowy, ponieważ to takie cudowne. Jednak staram się skupić na Kennedy.

Czekając na jej odpowiedź.

Która w końcu pada:

– Głębiej.

Natychmiast wsuwam w nią dwa palce. Jęczę przy tym, ponieważ jest cholernie mokra, jak niebo. Zaciska mięśnie, gdy wchodzę w nią

palcami, idealnie synchronizując ruchy z jej dłonią.

Kciukiem odnajduję jej łechtaczkę, więc wije się, rozpalona, łaknąc  
mojego dotyku.

Ponownie ją całuję, ponieważ, kiedy osiągnie orgazm, a czuję, że



jest na jego krawędzi, chcę posmakować jej jęku.

Poruszam biodrami przy jej dłoni, językiem dotykając ciepłych ust.

Wsuwam w nią palce i pocieram. Czuję ucisk w jądrach, mrowienie przy kręgosłupie oraz wzbierające ciśnienie w brzuchu.

Cholera, skończę – i to mocno. Chcę ją zabrać na szczyt ze sobą.

Chcę, byśmy spadli razem w tę przepaść, aż nie zostanie nic ani z niej, ani ze mnie. Będziemy tylko my.

Cipka Kennedy zaciska się mocno wokół moich palców

w jedwabistych, rytmicznych, nieustających skurczach. Kobieta osiąga spełnienie, krzycząc przy moich wargach – a ja wydaję przeciągły,

ochrypły jęk tuż przy jej. Przechodzą przeze mnie fale przyjemności, gdy pulsuję w jej dłoni, rozlewając się na jej brzuchu.

Przez dłuższą chwilę dyszymy i sapiemy, tuląc się wzajemnie.

Przed oczami tańczą mi kolorowe plamki – ponieważ było to cholernie

intensywne. Z westchnieniem zadowolenia Kennedy opiera twarz na

moim ramieniu. Pochyłam głowę i czule całuję ją w usta.

W końcu przychodzi czas na posprzątanie bałaganu, chociaż

wolałbym po prostu rozetrzeć własne nasienie na jej skórze, ale zgaduję, że za wcześnie na coś takiego.

Używam kul opartych o ścianę, by udać się do łazienki, skąd

wracam z mokrym, ciepłym ręcznikiem. Klękam obok niej i wycieram

jej brzuch. Śledzi wzrokiem moje ruchy przy tej intymnej czynności, jej oczy są senne, uśmiech pełen rozkoszy. Chichocze, gdy łaskoczę ją po żebrach.

Rzucam ręcznik na podłogę i układam się w łóżku. Kennedy



z ochotą wsuwa się w moje ramiona i w tej pozycji zasypiamy.

Kilka godzin później, przy szarych promieniach poranka

przesączaających się przez rolety, unoszę powieki i zauważam Kennedy stojącą pośrodku sypialni. Próbuje wcisnąć tyłek w mokre jeansy.

Upływa kilka sekund, nim usta artykułują to, o czym myśli głowa:

– Co robisz?

Natychmiast się odwraca, jakby nie oczekiwała, że się obudzę.

– Muszę wracać do domu, wziąć prysznic i przygotować się do sądu.

Ziewam i mówię:

– Dobra, odwiozę cię.

– Nie trzeba. Taksówką będzie szybciej.

Achhh... Słodka, otwarta, czuła Kennedy zniknęła.

Zamknięta, agresywna, kłująca jak kaktus Kennedy wróciła na jej miejsce.

*Szlag by to trafił.*

Kiedy podnosi z podłogi przemoczony sweter, proponuję:

– Chcesz jakieś suche ciuchy? Nie musisz...

– Nie, dzięki. – Zakłada sweter przez głowę i uśmiecha się sztywno. – Mokre ubranie mnie nie zabije.

Siadam, całkowicie rozbudzony. Mój głos rozbrzmiewa czysto i wyraźnie:

– Kennedy.

Zamiera niczym łania złapana na celownik strzelby, patrzy na mnie jak na myśliwego.

– Musimy porozmawiać o wczorajszej nocy – mówię.

– Może jednak nie.

Wychodzi w cholerę.

Zwijam dłonie w trąbkę przy ustach.

– Cieszę się, że zgodziliśmy się, że jesteśmy w tej sprawie dorośli.

Świetnie się to sprawdza.

Jedyną odpowiedzią jest trzaśnięcie frontowych drzwi.

Opadam na plecy, chwytam poduszkę i przyciskam ją sobie do

twarzy, próbując złagodzić frustrację, jaką Kennedy Randolph wywołała w moim umyśle.

Niestety to nie działa.

Wygląda na to, że będzie jak w piosence: „Jeden krok na przód,

dwa kroki w tył”.

Pieprzę cię, Paulo Abdul. Nigdy cię nie lubiłem.

Przez resztę poranka myślę o Kennedy. Okazjonalnie, na przykład podczas długiej sprosnej kąpieli pod prysznicem, myślę o niej ubranej w te malutkie koronkowe majteczki i dopasowany do nich biustonosz.

Chociaż wyobrażanie jej sobie bez bielizny byłoby bardziej adekwatne.

Jednak moje myśli krążą głównie wokół niej. Do czasu przyjazdu do sądu dochodzę do oczywistego wniosku, że Kennedy ma problemy.

Głęboko zakorzenione, trudne do zwalczenia, spowodowane przez matkę.

Ale nic nie szkodzi. Chodziłem na terapię przez dwadzieścia lat,

więc jeśli ktokolwiek wie coś o problemach, jestem to ja. To dobitnie pokazuje, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Jesteśmy bratnimi duszami.

Jest nam przeznaczone być razem, zapisano to w gwiazdach, zdecydowano o tym już dawno temu.

Kennedy jeszcze tego nie widzi, ale nic nie szkodzi. Jestem cierpliwy. I nieugięty. Kiedy coś sobie postanowię, nie ma rzeczy, której nie byłbym w stanie osiągnąć.

A w tej chwili na moim radarze jest ona.

Chcę ją zrozumieć, nauczyć się jej całej – miękkich krzywizn,

ostrych krawędzi, ciemnych kątów, które mocno stara się skrywać. Chcę wyważyć jej drzwi i wspiąć się na jej wieżę z kości słoniowej. Chcę

zabić wszystkie jej pieprzone smoki.

Zapewne z początku tego nie doceni, jednak w końcu pójdzie po



rozum do głowy. Będzie super.

Nie zastaję Kennedy na sali sądowej. Siedzę przy biurku obrony,

trzymam rękę na ramieniu Justina i wprowadzam go w dzisiejszą strategię, zapewniając, że go wspieram i że wszystko będzie dobrze.

Wydaje się, że jestem jedynym dorosłym w jego życiu, który się nim przejmuje. Jego rodziców nawet tu nie ma.

Wyczuwam ją pięć minut przed wyznaczoną godziną rozprawy.

Wiem, że brzmi to banalnie i absurdalnie, ale taka jest prawda.

W powietrzu wykrywam napięcie, które kieruje moje spojrzenie w stronę drzwi. Kiedy staję w wejściu, ściska mnie w piersi, co pozbawia mnie oddechu. Jej burgundowa marynarka ma barwę mocnego czerwonego

wina. Wcięcie w talii idealnie podkreśla jej drobną figurę. Dopasowana spódnica opina jej biodra i uda, kończąc się tuż nad kolanem. Strój

dopełniają czarne jedwabne pończochy i wysokie szpilki. Przypadkowy

obserwator stwierdziłby, że to elegancki, profesjonalny wygląd. Jednak dla mnie – ponieważ wiem, że skrywa gładką skórę i słodkie kształty –

jest drażniącą erotyczną rozkoszą. Kennedy jest seksowniejsza niż

jakikolwiek króliczek Playboya.

Czy jej majtki są czarne? Czerwone? Koronkowe czy jedwabne?

Mój fiut budzi się do życia, gdy rozważam, czy w ogóle jakieś

założyła. Nawet lepiej, gdyby ich nie miała.

Kennedy wchodzi na salę sądową niczym królowa, by zasiąść na

tronie. Długie włosy ma ściągnięte w nisko ułożony kok z jednym

luźnym pasmem delikatnie spływającym za uchem. Pamiętam, jak

w nocy smakowało to miejsce – niczym słodki, dojrzały owoc.

Tuż przed zwróceniem się w stronę biurka posyła mi oszczędne

spojrzenie. Przez jej twarz przebija jedynie profesjonalizm, ale głęboko



w jej oczach potrzeba miesza się z obojętnością, pragnienie z lękiem.

Wygląda na zagubioną. Czuję skurcz w piersi, ponieważ chcę ją chronić, dodawać jej otuchy, obiecać, że wszystko będzie dobrze.

Mam zamiar tego dopilnować.

Posyłam jej leniwy, uspokajający uśmiech, dzięki któremu przez jej twarz przemyka cień ulgi. Zdawkowo kiwa głową, po czym zajmuje miejsce za stołem oskarżenia.

Sędzia wznawia proces, przechodzi przez kwestie wstępne, po czym starsza pani Potter zajmuje miejsce dla świadków. Wstaję, by kontynuować przesłuchanie, zapinam grafitową marynarkę, jednocześnie zastanawiając się, czy od teraz sprawy w sądzie pomiędzy Kennedy a mną przybiorą inny obrót.

Czy będzie się inaczej zachowywała.

Milej. Łagodniej. Bardziej... przyjaźnie.

W połowie drugiego pytania do pani Potter, Kennedy podrywa się z miejsca.

– Sprzeciw!

Dobra – zgaduję, że to moja odpowiedź.

W chwili, w której sędzia młotkiem ogłasza koniec rozprawy na dzisiaj, Kennedy bierze aktówkę i kieruje się do wyjścia, stukając żwawo szpilkami o podłogę. Podążam za nią spojrzeniem, jednak pozostaję na miejscu, oferując Justinowi podwózkę do domu, ponieważ ani matka, ani ojciec nie pojawili się dzisiaj w sądzie. Półtorej godziny później

Harrison wysadza mnie przed budynkiem prokuratury. Wchodzę po dwa schody naraz, po czym kieruję się ku zamkniętym drzwiom gabinetu Kennedy.

Jej sekretarka informuje mnie, że ma spotkanie. Zerkam przez szybę w drzwiach i domyślam się, że to jakaś poważna narada, sądząc po skupionych minach czterech mężczyzn w garniturach, pogrążonych w dyskusji przy jej biurku.

– Poczekam – mówię sekretarce.

Nie znoszę czekać, zwłaszcza kiedy zamierzam dać komuś klapsa, co w tym konkretnym wypadku może być rozumiane również dosłownie.

Siadam na krześle obok drzwi, opieram głowę o ścianę i poruszam prawą nogą.

W końcu, po całych wiekach, drzwi otwierają się i wszyscy mężczyźni wychodzą. Ostatni, krępy, siwy facet, stojąc w progu, kiwa do niej głową i mówi:

– Porozmawiamy niebawem, Kennedy.

– Tak, proszę o informację. – Odpowiada ruchem głowy, jej twarz jest niczym siedemnastowieczna gipsowa figura. Przy okazji, to nie była najlepsza epoka dla ceramiki.

Czekam, aż ostatni z facetów zniknie za rogiem, po czym wchodzę do jej gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Siedzi nieruchomo przy biurku, wpatruje się w dokumenty, jakby chciała podpalić je wzrokiem.

Sięgam za siebie i przesuwam blokadę w drzwiach. Opuszczam roletę w ich szybie, odcinając nas od świata zewnętrznego. Jeśli Kennedy widzi moje poczynania, nie komentuje ich.

Podchodząc do jej biurka, staram się być jak Joker i najlepiej jak potrafię, naśladowuję Heatha Ledgera.

– Dlaczego tak poważnie?

Kennedy wzdycha, wciąż wpatrując się w dokumenty.

– Moja sprawa mafiosa z Vegas właśnie wróciła na wokandę z powodu apelacji. Moriotti załatwił sobie nowy proces.

Pochyliłam się przy końcu jej biurka.

– Zamierzasz ponownie go oskarżać?

– Oczywiście. Sukinsyn zasługuje, by przez resztę życia gnić

w zimnej, ciemnej dziurze i to właśnie ja go w niej umieszczę.

Gwiżdżę przeciągle z wrażenia.

– Gdybym wcześniej o tym nie wspominał, ta mściwa postawa jest cholernie seksowna.

Nie śmiesz jej to. Nawet się do mnie nie uśmiecha.

– Naprawdę nie mam teraz czasu na pogaduszki.

– Tak... Ja też nieszczególnie chcę rozmawiać. Jednak...

Zaskakując ją, chwytam za jej fotel, obracam go i opieram dłonie na jego podłokietnikach, pochylając się jednocześnie. W ten sposób osaczam ją.

Przez chwilę rozprasza mnie jej gwałtownie unosząca się pierś, szeroko otwarte oczy i usta, rozchylone na tyle, że mógłbym wsunąć w nie język. Mój fiut domaga się, by otworzyła je nieco szerzej, i ta myśl też jest cholernie rozpraszaająca.

– Jednak niezależnie od tego, czy chcemy rozmawiać, czy też nie,

wygląda na to, że muszę wyłożyć kilka zasad. – Wpatruję się jej głęboko w oczy, a mój głos jest niemal tak twardy jak członek. – Zasada

pierwsza: nie wystawiasz ślicznego małego palca z mojego łóżka, nie budząc mnie wcześniej. Nigdy.

Przysuwam się i wodzę nosem po delikatnej skórze jej szyi, sunąc

językiem po tej samej ścieżce, gdzie bije jej puls, przytykając do niej usta i ssąc – na tyle mocno, by być może pozostawić malinkę.

To cena, jaką przyjdzie jej zapłacić.

– Pod prysznicem dwa razy waliłem konia – syczę tuż przy jej

skórze. – Mimo to, obserwując cię dzisiaj w sądzie, byłem twardy jak skała.

Piękna kruszyna wydaje cichy jęk. Ale jeszcze nie skończyłem.

– I klnę się na Boga, że wciąż jestem w stanie poczuć twój zapach

na palcach. Cały pieprzony dzień odchodzę przez to od zmysłów.

Odchylam się, aż mogę spojrzeć jej w oczy. Jest w nich żar

i subtelny głód.

– Przestań tak na mnie patrzeć – rzucam.

– Jak?

– Jakbyś chciała, żebym cię pocałował. Nie mam zamiaru cię całować, Kennedy. Jestem na ciebie wkurzony.

Przesuwa się w fotelu, spogląda to na moje usta, to na grdykę, lekko zaciskając przy tym uda. Jęk więźnie mi w piersi, ponieważ najwyraźniej lubi, jak się na nią wkurzam.

Jezu, ile mogłoby być przy tym frajdy.

Pozostaję jednak skupiony.

– Zasada numer dwa: rozmawiamy. Nie na temat procesu, ale całej reszty. Koniec z uciekaniem.

Jej szyja porusza się, gdy przetyka ślinę, niemal słyszę przyspieszone bicie jej serca. A może to moje własne.

– Zasada trzecia: nie spieszmy się. Jesteś pełna obaw, wciąż są między nami niewyjaśnione sprawy. Rozumiem to. Nie będę prosił o więcej, niż możesz mi dać.

Marszczy czoło.

– Brent, nie sądzę, by...

– Często to mówisz. Wydajesz się dezorientowana, więc mam zamiar ci to ułatwić. Zasada czwarta: przyjdę dzisiaj do ciebie. Przyniosę jedzenie. Spędzimy razem kilka chwil. Jeśli zdarzy się, że przez większość tego czasu nie będziemy mieć na sobie ubrań, poradzimy sobie i z tym. Zgódź się.



Cisza panująca przez dłuższy moment sprawia, że wstrzymuję oddech.

W końcu Kennedy łagodnieje.

– Tak.

– Grzeczna dziewczynka.

Mruży oczy, patrząc na mnie. A ponieważ jestem zadowolony

i pragnąłem tego przez cały pieprzony dzień, pochylam się i całuję ją głęboko. To mocny, wymagający pocałunek, zawierający w sobie

zaborczość, którą w stosunku do niej czuję. To pocałunek

z wykorzystaniem warg, języka, zębów, pozostawiający po sobie drzenie.

Jestem zwolennikiem zejścia ze sceny w odpowiednim momencie.

Podczas mowy końcowej ostatni obraz, jaki daję ławnikom, ostatnie

słowa, jakie pozostawiam, by wybrzmiały im w uszach, mają największą moc. Mogą zdecydować o uniewinnieniu lub dożywociu.

Ten pocałunek był właśnie takim podsumowaniem.

Staję więc prosto, odwracam się i wychodzę z jej gabinetu.



O zmierzchu staję na koślawym ganku wiktoriańskiego domu

i pukam do drzwi, które niemal natychmiast stają otworem, jakby

Kennedy już na mnie czekała. Pojawia się w promieniach zachodzącego

słońca w wytartych jasnych jeansach, które zwisają jej nisko na biodrach i w fantastyczny sposób opinają jej słodki tyłeczek. Jej top z lekkiego szyfonu trzyma się na dwóch cienkich ramiączkach, na wyciętym

w serek dekolcie naszyta jest biała koronka, przez którą idealnie widać jej jędrne, pozbawione biustonosza cycuszki.

Z powodu wybujałej wyobraźni ślinka napływa mi do ust, więc

mamroczę:

– Muszę wysłać sędzi Bradshaw kartę z podziękowaniami.

Kennedy chichocze, widzę, że wodzi wzrokiem po moich jeansach i czarnej koszulce, zatrzymując się w miejscu, gdzie krótki rękawek opina się na bicepsie.

– Ty też dobrze wyglądasz.

*Miau.*

Zza łydek Kennedy wychylają się duże czarne oczy

przytwierdzone do kuli szarego futra. Nie za bardzo lubię koty – wolę psy, domowe świnie oraz najśłodsze boskie stworzenia: jeże. Jednak

w przeciwieństwie do mojego współlokatora z pierwszego roku studiów, który prawdopodobnie został seryjnym mordercą, a w młodości starał się przejechać każdego kota zauważonego na drodze, nie nienawidzę ich.

– Kto to?

– Jasper.

*Miau.*

Kucam i wyciągam rękę.

– Cześć, Jasper...

– Brent, czekaj...

Ale nim ma szansę dokończyć ostrzeżenie, oczy Jaspera zmieniają

się w wąskie szczeliny, a pazury tną moją rękę niczym wkurzony

Wolverine. Jeden z pazurów trafia w mój środkowy palec.

– A to drań!

– Przepraszam – mówi Kennedy.

Potrząsam ręką, po czym wkładam koniuszek palca do ust, smakując własnej krwi.

– Przykro mi, że to powiem, ale twój kot to palant.

Bierze mnie za rękę, oceniając zranienie.

– Boi się nieznamych. Jest niczym kot stróżujący. – Spogląda za

siebie. – Jacob i Edward są o wiele miłsi.

– Ile ich masz?

Wzrusza ramionami.

– Tylko trzy.

Powoli kiwam głową.

– Wróciłem do twojego życia w samą porę. Stary dom, stado

kotów, niezdrowe zainteresowanie książkami o wampirach, które

przeznaczone są dla nastoletnich dziewczic... – Podnoszę kciuk i palec

wskazujący, układając tak, by pokazywały wąską szczelinę. – Zdajesz

sobie sprawę, że tyle ci brakuje, by stać się pełnoprawną kociarą?

Kennedy pokazuje mi język.

Uśmiecham się.

– Zrób to jeszcze raz, a pokażę ci o wiele lepsze zastosowanie dla

tego języka.

Śmieje się, kręcąc głową, jakby uważała, że żartuję.

– Dobra, idziemy – mówię. – Czeka nas spacer.

Ściąga brwi.

– Wydawało mi się, że miałeś przynieść coś do jedzenia.

– Tak, ale nie mówiłem, że zjemy tutaj.

Wyciągam rękę, więc podaje mi dłoń. Jest ciepła, miękka i idealnie

pasuje do mojej.

– Dokąd idziemy?

Pochyliam się i szepczę jej wprost do ucha, wywołując gęsią skórkę

na obojczyku:

– Niespodzianka.



W blasku różowopomarańczowego nieba idziemy przez miasto,  
trzymając się za ręce. Mijamy pomnik II Wojny Światowej i Lustrzaną  
Sadzawkę znajdującą się naprzeciw oświetlonego ciepłym światłem  
pomnika Lincolna, lawirujemy pomiędzy strzelającymi fotki  
i studiującymi mapy turystami, którzy są stałym elementem tego parku.

Docieramy nad zbiornik retencyjny Tidal Basin, którego spokojna tafla odbija światło latarni  
ustawionych na ścieżce dookoła niego. Wiosną  
drzewa wiśniowe w tym miejscu są pełne kwiatów, tworząc wokół  
jeziora gęsty różowy kobierzec, jednak o tej porze roku kwiaty już  
opadły, pozostawiając po sobie jedynie żywą zielen liści – obietnicę przyszłorocznego kwitnienia.

Prowadzę Kennedy ścieżką nad brzeg, gdzie w trawie czeka na nas

koc, na którego rogach umieszczone zostały małe latarenki. Na środku stoi butelka białego wina i dwa  
kosze piknikowe – jeden z talerzami, sztućcami i serwetkami, drugi z kartonowymi pojemnikami

wypełnionymi ciepłym chińskim jedzeniem. Nie byłem pewien, jakie

potrawy lubi Kennedy, więc zamówiłem wszystkiego po trochu.

Otoczające nas krzewy odgradzają od ścieżki – wydaje mi się, że nawet od całego miasta – tworząc w ten  
sposób małą oazę. Nasz własny mały

świat, tylko dla niej i dla mnie.

Kennedy przystaje, przyglądając się temu wszystkiemu. Jej

uśmiech w świetle latarni odbijającym się w jej błyszczących oczach

sprawia, że dech więźnie mi w gardle.

– To... To piękne, Brent. Dziękuję.

Kciukiem muskam jej dolną wargę.

– Ten uśmiech jest całym podziękowaniem, jakiego mi trzeba.

Jednak rozważam to stwierdzenie.

– Cóż, może jednak nie całym. – Puszczam do niej oko. –

Zobaczymy, jak rozwinie się akcja.

Jemy, pijemy, śmiejemy się i rozmawiamy. Kennedy opowiada

o wycieczce, na jakiej była tej wiosny na Belize, by nurkować, ja

streszczam zeszłoroczny wypad na spływ kajakowy na Alasce. Mówię

o męskiej lidze lacrosse, w której grywam w niektóre weekendy, a jej twarz rozjaśnia się, gdy opowiada o swoich niedzielnych wyprawach na wyprzedaże garażowe, na których poluje na antyki. Obgadujemy

również naszych krewnych, nadrabiając najnowsze plotki o dalszych

znajomych rodziny. Zarzucamy się historyjkami – zabawnymi,

strasznymi, sprośnymi – ze studiów licencjackich, jak i magisterskich prawniczych.

To udana randka. Taka, że ujęcia z niej można by zmontować

z jakąś okropną popową piosenką w tle i wyszłaby tandetna komedia

romantyczna. Taka, o której nazajutrz facet opowiadałby kumplom,

nawet jeśli nie udało mu się zaliczyć panienki.

Godziny mijają, choć nie zdajemy sobie z tego sprawy. Gdy

ponownie stajemy na ganku domu Kennedy, jest po północy. Oboje

jesteśmy zrelaksowani i uśmiechnięci – jej policzki są pięknie

zaróżowione od dobrego wina i świetnej rozmowy.

Otwiera drzwi i pyta:

– Wejdiesz?

*W ciebie? Wezmę cię na plecach, na brzuchu, tradycyjnie i oralnie.*

– Na „kawę”? – droczę się, zaznaczając palcami cudzysłów.

Jej oczy ciemnieją, przypominają teraz barwę czekoladę.

– Nie, ale mogłabym oprowadzić cię po domu. Pokazać, jak idzie

remont. Byliśmy w stanie zachować oryginalne listwy.

Szczerzę zęby w uśmiechu.

– Już ja wiem, jak to jest. Najpierw: „chodź, zobacz moje

listwy...”, a następnie: „zerwij tapetę i spójrz na cegły, chłoptasiu”.

A jeśli będę miał szczęście, pozwolisz mi zajrzeć pod dywan przy jakichś fikołkach na podłodze, gdy oboje stracimy nad sobą panowanie.

Śmieje się.

– Nie zapominaj o kominku. Chcesz zobaczyć moje palenisko,

Brent?



– Pewnie, i twój słodki stryszek też.

Dom jest inspirującą kombinacją najnowszych trendów nowoczesnej wygody i lśniącego uroku starego drewna. Rozmawiamy o belkach sufitowych, które zostawiła w salonie, i bezprzewodowych głośnikach, które zostaną zainstalowane w każdym pomieszczeniu.

Pokazuje mi maleńką pracownię z oryginalną tapetą, która, jeśli uważnie się przyjrzeć, posiada wzór w kobiece i męskie akty.

To właśnie dom wiktoriański. Projektowany przez nieśmiałych zбочeńców.

Idziemy na górę do jej sypialni.

Oświetlenie jest słabe, ale miłe – to pojedyncza kryształowa

lampka, stojąca na mahoniowym stoliku nocnym. Ściany są beżowe,

z ciepłym ciemnoczerwonym akcentem za łóżkiem, które jest olbrzymie, z milionem puchatych poduch przypominających chmury. To łóżko,

z którego nie chce się wychodzić przez wiele dni – a po sposobie,

w jakim Kennedy mi się przygląda, zgaduję, że na tym może polegać jej plan.

Zatrzymuję się przy kominku, dotykając palcami imponującej

marmurowej obudowy.

– Ładny.

Kennedy przygląda mi się, stojąc przed drzwiami.

– Tak... ładny.

Gdy nasze spojrzenia się krzyżują, wydaje się, że oboje rozumiemy sytuację. Nie potrzebujemy słów. Dobre czy złe, właściwe czy niesłuszne, wszystko, co zaszło w naszym życiu, doprowadziło nas do tego miejsca, do tej chwili.

Mówię głębokim, ochrypłym głosem:

– Chodź do mnie, Kennedy.

Od razu wchodzi w moje ramiona. Podnoszę ją i tulę do siebie.

Chwyta mnie za włosy, ciągnąc lekko i przytrzymuje się ich.

Całujemy się, jakby zaraz miał skończyć się świat.

Atmosfera między nami się rozgrzewa, czas zatrzymuje się, gdy

nasze usta się scalają, języki pieprzą nawzajem, a z gardeł dochodzą jęki i pomruki, wyrażając niepoahamowane pragnienie. Kennedy wije się przy mnie, odchyła głowę, gdy moje wargi przemierzają nieskazitelne tereny jej doskonałej szyi.

– Brent... – dyszy, przeciągając palcami po moich włosach. – To prawdziwe. Powiedz, że to naprawdę się dzieje.

Spoglądam jej w oczy i kładę dłoń na policzku.

– To prawdziwe. To tak prawdziwe, że nie mogę przestać drzeć.

Wpatruje się w moją twarz... i się uśmiecha. Ponieważ mi wierzy.

Emocje pęcznią mi w piersi, wszystko, co do niej czuję... Nie mam słów, by to opisać. To jak... Wal się, Jacku Dawsonie... Teraz ja jestem królem świata.

Zsuwam ramiączko jej topu na tyle, by odsłonić jasną, gładką pierś.

Uginam kolana, obsypując miękki wzgórek pocałunkami, zamykając

wargi wokół twardego, napiętego szczytu jej sutka. Pieszczę go z uwagą językiem, okrążam, drażnię, pocieram. Jej jęk jest głęboki i przeciągły, aprobujący moje ssanie.

Nie przerywając działania, chwytam ją za biodra i podnoszę, po czym niosę do łóżka. Układam ją na pościeli, nadal pieszcząc i ssąc.

Łapie za tył mojej koszulki, więc uwalniam jej sutek, jednocześnie unosząc ręce, by mogła mi ją zdjąć przez głowę. Jej dłonie natychmiast opadają na mój tors, paznokcie drapią skórę. Ciągnę mocno za jej top, więc drugie ramię wkrótce się poddaje, przez co obnażam ją od pasa w górę. Spijam i pochłaniam ją wzrokiem – ma jasne, idealne ciało.

Całuję ją w brzuch, liżę i skubię go zębami, zmierzając coraz wyżej. Kennedy wygina się i jęczy, jej dłonie wracają do moich włosów.

Żar naszej skóry, ocierających się o siebie piersi, jest niemal nie do zniesienia, a mimo to wciąż niewystarczający. Wracam do jej ust,

przygryzam jej pełną dolną wargę, po czym ją całuję. Rozkoszując się smakiem jej mokrych, słodkich, miękkich ust, wsuwam w nie język...

Jej jęki się nasilają. Na ślepo odpinam guzik jej jeansów i z niewielką pomocą jej palców, zsuwam spodnie razem z bielizną, pozostawiając ją całkowicie nagą.

Desperacka potrzeba, by na nią patrzeć, daje mi siłę, by klęknąć

obok, jednak moje palce pozostają w kontakcie z jej ciałem. Wędrują po jej torsie, obejmują piersi, drażnią piękne sutki, śledzą kształt

obojczyków, zsuwają się po ramionach. Mój wzrok przesuwają się za

nimi, zapisuję w pamięci każdy szczegół – różowy odcień nieskazitelnej skóry, cień mostka, lekkie wcięcie miednicy, gładki, perfekcyjny

wzgórek poniżej – i, co najlepsze, nagie, pulchne fałdki lśniącej

kobiecości.

Mam ochotę zamknąć oczy i jęczeć, gdy ten obraz wypala się

w moim umyśle, ale zmuszam się do uniesienia powiek. Chwytam

Kennedy za kostki i rozsuwam jej nogi, by mieć lepszy widok. Ponownie jęczę, przeciągle, nisko i ochryple, pocierając dłońmi, zatapiając w niej palce, przysuwając usta. Leżę na brzuchu, oddychając tuż przy jej

skórze, palcami otwierając różowe ciało.



– Chryste, Kennedy, twoja cipka jest cholernie idealna.

Mruczy na moje słowa.

– Stworzona do całowania, lizania i pieprzenia przez cały dzień

i noc.

Przywieram rozchyłonymi ustami do jej ciała, a ona krzyczy.

Poszukuję językiem, pieszczę – moje oczy samoistnie się zamykają,

ponieważ jest słodka, mokra i gorąca. Mógłbym zatracić się w jej

szparce. Mogłaby mnie zniszczyć, ponieważ nie mam pojęcia, jak będę

funkcjonował bez nieustannego myślenia o tych gładkich, pełnych

fałdkach. Miękkich i przepysznych. Moje usta poruszają się na niej ostro

– w jej najbardziej intymnym miejscu. Moja broda drapie czułą skórę jej ud, prawdopodobnie pozostawiając lekkie zaróżowienie, co podnieca

mnie jeszcze bardziej.

Nosem pocieram łechtaczkę, po czym ssę i liżę ten raj między jej

udami. A kiedy przenoszę się nieco wyżej, liżąc nabrzmiały pąk,

Kennedy szarpie biodrami i osiąga orgazm tuż przy moich ustach – cała się trzęsie, wykrzykuje moje imię.

Daję jej krótką chwilę na odzyskanie sił. Obracam głowę i ssę

skórę uda – tym razem z pewnością pozostawiając po sobie malinkę.

Liżę czułe miejsce tuż pod kością jej miednicy. Oddycha pospiesznie

i ciągnie mnie za ramiona.

– Chodź tutaj – dyszy. – Pocałuj mnie, Brent.

Z ochotą wypełniam polecenie.

Czule obejmuję dłońmi moją twarz. Z zaskakującą siłą popycha

moją pierś, aż muszę uklęknąć. Kiedy już znajduję się tam, gdzie chce, bym był, szarpie guzik moich jeansów. Wymyka jej się pomruk

frustracji, a ja się uśmiecham.

Jednak gdy rozpina mi rozporek, mój uśmiech zmienia się w jęk

dochodzący z otwartych ust, ponieważ nie bawi się w podchody – od

razu zsuwa mi bieliznę, uwalniając twardego, napiętego penisa,

i zaczyna go pieścić. Opada na niego ustami, językiem nawilża delikatną skórę, zaczynając od główki, następnie biorąc mnie całego w swoje

gorące, mokre usta.

Szarpię biodrami i muszę złapać za jej plecy, by ochronić się przed

upadkiem.

– Chole... Pieprzę...

Wymykają mi się przekleństwa, gdy Kennedy zaczyna nade mną

pracować. Obracając cudownie językiem wokół żołądki, porusza głową,

ssąc tak mocno, że przyprawia mnie niemal o zawał.

Czyż nie byłaby to fantastyczna śmierć?

Wierzch jej dłoni ociera się o zamek moich spodni, gdy obejmuje

moje jądra, masując je, dodając niewielkie ciągnięcie, wysyłające prąd aż do mojego kręgosłupa. Naprawdę jest w tym dobra – za dobra, bo gdy zanurzam dłoń w jej miękkich włosach, by samemu dodać nieco wrażeń,

Kennedy mruczy wokół mojego członka, a wywołane tym wibracje

natychmiast spychają mnie na krawędź.

A ponieważ to wspaniałe uczucie, chciałbym przez całe życie mieć

te wargi owinięte wokół fiuta... Nie... Nie... nie skończę w jej ustach.

Nie za pierwszym razem.

Gdybyśmy lata temu w ferrari ojca „zrobili to” naprawdę, byłby to

powolny, delikatny i słodki akt miłosny, jaki opisują w książkach.

Teraz nie ma w nas nic powolnego czy delikatnego.

Pożeramy się nawzajem – konsumujemy szaleńczo – dziko

pieprzymy.

Mimo wszystko jest w tym czułość, ponieważ chcemy być bliżej,

całować głębiej, każde doznanie czynić lepszym. Zaciskam palce w jej włosach, odsuwając ją od mojego fiuta, aż znajdujemy się pierś w pierś, twarzą w twarz.

Co sprawia, że ona praktycznie na mnie warczy.

Całuję ją mocno i śmieję się przy jej wargach.

– W tej chwili pasowałaby ci ksywka „odkurzacz”.

Kennedy patrzy mi w oczy, odpowiadając śmiechem i, Jezu, to tak

piękne, że aż boli.

Z gracją motyla lądującego na liściu kładzie się na łóżku, opierając się na łokciach. Wodząc wzrokiem w górę i w dół, mówi ochryple:

– Chodź tutaj.

To wymarzone polecenie.

– Tak, pani.

Odwracam się do niej plecami, siadam na krawędzi łóżka i ściągam

jeansy. Z portfela wydaję trzy prezerwatywy. Odpinam też protezę

i zsuwam ją z nogi, ponieważ na łóżku łatwiej poruszać się bez niej, nie zaczepia się o pościel. A zamierzam się dużo ruszać.

Kennedy jest niecierpliwa, ponieważ zamiast leżeć i czekać, aż

przyjdę się nią zająć, wyciska gorące pocałunki wzdłuż mojego

kręgosłupa. Przesuwa się w stronę mojego karku, przyciskając mi piersi do pleców, powodując, że jęczę. Obracam się i chwytam ją za szyję,

przytrzymując na miejscu, gdy biorę w posiadanie jej ciepłe, chętne usta.

Drugą ręką obejmuję ją w pasie, przyciągając do siebie, gdy podnoszę się na kolana.

Z jej ust wymykają się ciche piski i pomruki. Zaskakuje mnie,

w pewnej chwili popychając mocno moją pierś, przez co ląduję na

materacu, a ona, z lekkim westchnieniem, na mojej twardej piersi. Całuje mój tors i uśmiecha się zalotnie, gdy się podnosi.

– Chcę na ciebie patrzeć.

I dokładnie to robi – przygląda mi się z głodem w oczach, badając dłońmi.

Jednak wtedy dzieje się coś cholernie dziwnego. Przełykam

z trudem ślinę i czuję się obnażony. Odsłonięty. Wyobrażam sobie, że

właśnie w taki sposób muszą czuć się kobiety, które mają rozstępny, cellulit lub nadmierną oponkę na brzuchu. Coś w ciele, co natychmiast by zmieniły, gdyby tylko mogły.

Chodzi o to, że już dawno temu poradziłem sobie z problemami

wywołanymi brakiem nogi. To mi nie przeszkadza, a dziewczyny,

z którymi byłem, bardziej interesowała długa i gruba trzecia noga, jeśli wiecie, o czym mówię.

Jednak jeśli mam być szczery, ten mój brak kończyny jest dziwny.

To... ułomność. Umysł podpowiada, że coś tam powinno być.

W naturalnym odruchu człowiek spodziewa się dwóch długich nóg,

jednak jedna z moich zbyt szybko się kończy.

Pod baczny spojrzeniem Kennedy moja pierś unosi się

gwałtownie i opada. Nie wiem, czy to mój wyraz twarzy, czy chwila

zawahania, ale przysięgam, ta kobieta czyta mi w myślach.

– Wiesz, co myślę, gdy na ciebie patrzę, Brent?

Moja odpowiedź jest szorstka, ochrypła:

– Co?

Pieści mój brzuch, ramiona, obie nogi.

– Nie myślę: „och, Brent jest taki silny”, nawet jeśli taki jesteś. Nie myślę: „tak wiele przeszedł”, nawet jeśli tak było. – Patrzy mi prosto w oczy. – Myślę: „idealny”. Jesteś... perfekcyjny.

Nie zdawałem sobie nawet sprawy, jak bardzo chciałem usłyszeć

od niej te słowa, dopóki mi ich nie dała. Chwytam ją za ramiona

i pociągamy w dół, wkładając w pocałunek każde dzikie, słodkie i szalone uczucie, jakie do niej żywię.

Dosyć gadania. Dosyć spoglądania i pieszczona. Musimy się

pieprzyć – teraz.

Obracam ją na plecy, by być na górze, wciskając ją w materac.

Ruchy Kennedy są równie nieokiełznane – drapie, ciągnie, ociera się

o mnie biodrami, obejmuje, ściskając udami tak mocno, że ledwie mogę oddychać. Sięgam po gumkę, zębami rozrywam opakowanie i nasuwam

ją pospiesznie jedną ręką. Opierając się na łokciu, wsuwam członek

między jej dolne wargi, jęcząc z powodu gorącej wilgoci, którą

wyczuwam nawet przez lateks. Kennedy kołysze biodrami, szerzej

rozkłada nogi, zachęcając mnie, więc gładko w nią wchodzę.

Nie ruszam się przez dłuższą chwilę. Jestem w ciele Kennedy. Jest

taka piękna, tak cholernie cudowna. Pozwalam, by do mnie przywykła,

dopasowała się do mojej wielkości, gdy rozkoszuję się napięciem jej

mięśni – błogością mokrej cipki owiniętej na całej długości mojego fiuta.

Patrzę w dół, w jej nieziemsko piękne brązowe oczy i zaczynam się

ruszać. Wycofuję się i wchodzę, kołysząc biodrami w powolnym,

równym rytmie. Ma rozchylone usta, z każdym pchnięciem wymyka się

jej słodkie westchnienie. Pocieram nosem o jej nos, po czym, ku czystej satysfakcji, zamykam oczy, całuję ją w usta i przyspieszam zabawę.

Język Kennedy tańczy z moim, gdy ta jęczy w moje usta:

– Wiedziałam... Wiedziałam, że tak będzie. Tak... o tak, Brent.

Chwyta mnie za tyłek, przyciągając jeszcze bliżej. Całuję ją po

szyi, przyspieszając ruchy, robiąc to mocniej i zataczając biodrami kółka między jej udami za każdym razem, gdy w pełni się w niej zanurzam.

Byłbym zażenowany tak pospiesznie wzbierającym orgazmem, gdyby

nie chodziło o nią. Ponieważ to tak cholernie dobre.

Idealne – jak mówiła.

Cipka Kennedy zaciska się na mnie, gdy wzrasta jej własna

przyjemność. Mocniej kręcę biodrami, szybciej pocierając kością łonową o jej lechtaczkę. Chwilę później dzieje się niemożliwe. Z piskliwym

jękiem jej mięśnie kurczą się na mnie tak mocno, że to niemal bolesne.

Ostatni raz wbijam się w nią, dochodząc tak spektakularnie, że krew

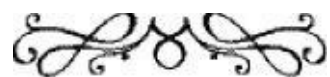
szumi mi w uszach, zagłuszając nasze jęki.

Słuch wraca powoli. Kennedy głaszcze mnie po plecach

w delikatnej, niemal wdzięcznej pieśczoce. Unoszę głowę i otwieram oczy. Kobieta mruga, patrząc na mnie.

Czuję, że powinienem coś powiedzieć, coś ważnego i głębokiego.

Jednak seks z nią skradł moją mądrość, obrabował mnie ze słów. Całuję ją więc w usta – delikatnie, czule. Czuję jej zadowolenie, gdy tuli mnie do siebie, trzymając, jakby nie chciała puścić.



Nie zasypiamy.

Chcemy, ale lekkie pocałunki zmieniają się w głębsze, czuły dotyk w spragnione pieszczoty i mimo zmęczenia pieprzymy się całą noc.

W rundzie drugiej Kennedy większość czasu spędza na brzuchu, ponieważ mam obsesję na punkcie jej tyłeczka. Okrągły i jędrny pod

moimi palcami, gładki i prężny pod językiem, podskakuje we wspaniały sposób, gdy wchodzę w nią od tyłu. Wbijam w niego palce,

pozostawiając delikatne siniaki na miękkim ciele. Drapię i skubię zębami, całuję i pieszczę. Gdyby pupcia Kennedy została pomnikiem, chciałbym paść przed nim na kolana i się modlić.

W trzeciej rundzie to ona ujeżdża mnie. Niegdyś wzięła kilka lekcji

jeździectwa i teraz, rany, wiem, że były na wagę złota. Doprowadza się do orgazmu, a ja uznaję tę pozycję za szczególnie zachwycającą.

Sposób, w jaki podskakują jej cycki, gdy zsuwa się po mnie, sposób,

w jaki wyginają się jej cudne plecy, gdy zatacza kółka biodrami,

i oszałamiający wyraz jej twarzy, gdy zaskakuje ją orgazm, podczas

którego po raz drugi dzisiejszej nocy szczytuje z moim imieniem na

ustach. Przepiękna.

Kennedy nie ma kondomów, więc po rundzie trzeciej już nic nie

mamy, chociaż nie powstrzymuje nas to przed zabawą. Z początku

wymaga to trochę perswazji, ale w końcu zgadza się usiąść na mojej

twarzy, a ja doprowadzam ją do spełnienia językiem głęboko wsuniętym w jej wnętrze. Następnie się kładzie, całkowicie wyczerpana, gdy

wsuwam fiuta pomiędzy jej piersi i ocieram się o nie powoli. Zbiera

w sobie na tyle siły, by unieść głowę i possać żołądź, jęcząc, gdy

z rozkoszą rozlewam się na jej skórze.



Po tej chwili niewiele pamiętam – jestem pewien, że musiałem na nią opaść, po czym oboje zasnęliśmy.

Z zasłużonego snu budzi mnie wilgotny, natarczywy język, dotykający miejsca tuż za uchem. Łaskocze, więc na mojej twarzy pojawia się uśmiech, zanim otwieram oczy. Obracam się na plecy, spodziewając się znaleźć ciepłe brązowe oczy, wpatrzone we mnie z uwielbieniem, ale zauważam migdałowe czarne ślepia, patrzące na mnie znad wąsów i puszystej białej mordki.

*Miau.*

Kolejne liźnięcie czuję na nodze, a gdy tam spoglądam, widzę brązowo-czarną kulę futra, praktycznie uprawiającą seks z moim kolanem. Mam wyschnięte, nieco obolałe gardło, najprawdopodobniej od sapania i jęczenia. Przełykam z trudem ślinę i znowu przyglądam się białej kulce moszczącej się przy mojej głowie.

– Ty pewnie jesteś Edward – mówię ze względu na jego jasną sierść, kontrastującą z drugim kotem, najprawdopodobniej Jacobem, którego futro bardziej przypomina wilcze.

I tak, jestem pierońsko przerażony, wiedząc o tym.

Drapię kota po głowie, siadam, głaszczę się po brodzie, rozglądając się za Kennedy.

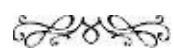
Na stoliku nocnym, oparta o lampę, znajduje się kartka.

*Musiałam iść do pracy. Zobaczymy się po południu w sądzie.*

Liścik? Żarty sobie stroi? Po wczorajszej nocy – pocałunkach, pieszczotach, wszystkich tych orgazmach – dostaję liścik?



Nie ujdzie jej to płazem. Nie ma mowy.



W rekordowym tempie wpadam do domu i biorę prysznic.

Harrison proponuje śniadanie, patrząc na mnie w ten sam sposób,

w który Avengersi przyglądali się Bruce'owi Bannerowi na chwilę przed tym, gdy stał się Hulkiem.

Wpycham omlet do ust, chwytam aktówkę

i maszeruję do drzwi z zapiętą do połowy koszulą i krawatem luźno

zwisającym z szyi.

Dziesięć minut później wpadam do gabinetu Kennedy, zamykam

za sobą drzwi na zasuwkę i zasłaniam roletę w ich szybie.

Uśmiecha się do mnie zza biurka, przy którym siedzi z założonymi

rękami.

– Cześć.

Grymas pogłębia się na mojej twarzy.

– Nie rozumiałaś wcześniejszych zasad?

Mina Kennedy zmienia się i zdradza dezorientację.

– Co?

Zbliżam się do niej powoli, lecz stanowczo.

– Ukończyłaś Yale, więc musisz coś rozumieć. Przychodzi mi więc

na myśl, że rankiem celowo je zламаłaś. – Pochylam się, puls na jej szyi przyspiesza. – A łamanie zasad niesie za sobą konsekwencje, mała

buntowniczo.

Wierci się nerwowo pod moim spojrzeniem, jednak w jej oczach tli

się ekscytacja.

Podniecenie.

Żądza.

– Nie uciekałam, Brent. Dostałam e-maila. Poczyniono ustalenia w sprawie Moriottiego, musiałam więc przyjść wcześniej... do pracy...

– urywa, patrząc na wąską linię moich zaciśniętych ust.

Kiwam głową i powoli rozwiązuję krawat.

Jednym wprawnym ruchem podrywam ją z fotela i sadzam na środku biurka.

– Brent...

Nie mówi nic więcej. Nie może, ponieważ wkładam jej krawat między zęby i wiążę jego krańce za głowę. Oczywiście nie za mocno, tylko na tyle, by się tam trzymał.

To ją knebluje.

Nie mogę pozwolić, by ktoś nas słyszał. Profesjonalny wizerunek i takie tam.

– Najwyraźniej wczoraj nie wyraziłem się wystarczająco jasno. –

Wsuwam rękę pod spódnicę Kennedy, ściągam jej majtki i wkładam je sobie do kieszeni. – Teraz to naprawię.

Rozchylam jej nogi, ciągnę ją do przodu po blacie i klękam przed biurkiem.

Najpierw dotykam jej językiem, śledząc nim jej gładką szparkę.

Natychmiast dołączam usta, całując i ssąc śliczną cipkę. Kennedy odchyła się w tył, jęcząc cicho, jedną ręką trzyma się biurka, drugą wplątuje w moje ciemne włosy.

Posuwam ją ustami w sposób, w który chciałem to zrobić, gdy się obudziłem. Pieprzę ją językiem, ponieważ to również chciałem zrobić.

Nie tracąc czasu, mocno pieszczę jej łechtaczkę, przyciskając i pocierając, a nawet drapiąc lekko zębami. Pęcznieje pod moim

językiem, rozkoszując się poświęcaną jej uwagą. W ciągu kilku minut

Kennedy porusza biodrami przy mojej twarzy i syczy wokół krawata,

będąc na skraju potężnego orgazmu.

Wtedy zamieram. Odsuwam się i ze spokojem siadam na piętach.

Wstaję, rozpinam spodnie, wydaję sztywny członek i gładzę go

mocno dłonią. Kennedy patrzy na moje poczynania szeroko otwartymi

oczami.

– Chciałaś mieć orgazm? – pytam, unosząc brwi.

– Mhm.

Kiwam głową, wciąż robiąc sobie dobrze.

– Tylko kobiety przestrzegające zasad mogą go mieć.

W tej chwili wygląda na zirytowaną. Naprawdę wkurzoną.

– Ale jeśli mnie przeprosisz, pozwolę, by tym razem ci się upiekło.

– Szrzzszm... – mamrocze, chociaż nie wygląda na zbyt skruszoną.

Nachylam ku niej ucho.

– Nie słyszałem. Jeszcze raz?

– Szrzzszm... – jęczy.

Ściągam brwi, po czym uśmiecham się.

– Och, nie możesz mnie przeprosić, bo masz zakneblowane usta. –

Cmokam. – Przerąbane.

Bierze szybki zamach pięścią.

Chwytam ją za rękę i zakładam ją do tyłu, stając pomiędzy

kolanami Kennedy – mój członek dotyka miękkiego materiału jej

niebieskiej gładkiej bluzki. Próbuje się zamachnąć drugą, ale tę również chwytam i jedną ręką przytrzymuję jej obie za plecami.

Jej spojrzenie tnie moją twarz.

– Iesrzę ię.

Obdarowuję ją szerokim uśmiechem.

– To rozumiem. I nie mam nic przeciwko.

Chwytam fiuta u podstawy, pochylam się nad Kennedy i wchodzę

w nią cały. Tak cudownie ją czuć. Poruszam się w niej bezlitośnie, aż zamyka oczy. Opiera czoło na moim policzku. Puszczam jej rękę, by

złapać za biodra, przysunąć jeszcze bliżej.

Można by pomyśleć, że zdejmie knebel, ale zamiast tego obejmuje

mnie, trzymając się podczas tej żywiołowej jazdy. Potrzeba zaledwie

kilku minut, by znów znalazła się na krawędzi, czuję pulsujące wokół

mnie mięśnie i słyszę piskliwy jęk, wskazujący na zbliżający się koniec zabawy.

Zatrzymuję się. Sama próbuje pociągnąć akcję, ocierając się

o mnie, ale w tej pozycji nie jest w stanie nic wskórać.

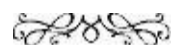
– Jeśli jeszcze raz obudzę się, a ciebie nie będzie, przywiążę cię do tego cholernego łóżka. – Desperacja w moim głosie nieco zmniejsza

efekt groźby. – I będę to robił godzinami. Nie zostawię cię tak teraz, bo nie jestem okrutny, ale sprawię, że będziesz błagać, po czym zaczniesz krzyczeć, nim pozwolę ci na orgazm. I, cholera, gwarantuję ci to.

Liżę jej ucho, kręcąc językiem na małżowinie, po czym je całuję.

Rozwiązuję krawat.

– A teraz poproś.



Gryzie mnie w ucho. Mocno.

Szarpię się w tył ze śmiechem.

– Spokojnie, Tysonie. – Wychodzę z niej odrobinę i poruszając

biodrami, drocę się z nią. – Poproś, Kennedy. Dla nas obojga. Będzie zajebiście.

Czuję jej usta na policzku, na szyi.

– Proszę, Brent. Och... proszę.

Tylko tego mi trzeba.

Wbijam się w nią, zabierając nas oboje na szczyt. Wspinamy się na niego razem, jęcząc i dysząc z dzikością i fanatyzmem.

To cholernie niesamowite.

Oddycham ciężko, nie ruszając się przez chwilę, aż moje serce zwalnia do normalnego rytmu. Prostuję się i poprawiam jej ubranie.

Zapinam spodnie i kiwam na nią palcem.

– Mam nadzieję, że czegoś cię to nauczyło. Ku przestrodze zatrzymam sobie twoje majtki.

Nie wydaje się zadowolona. Po niesamowicie podniecającym akcie jest to nie do przyjęcia.

Obejmuję jej twarz i całuję czule. Kciukiem gładzę policzek.

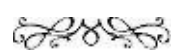
– Wczorajsza noc była najlepszą w moim życiu. Powiedziałbym ci to rankiem, gdybyś pokusiła się, żeby mnie obudzić przed wyjściem.

Jej gniew zanika, zmieniając się w coś, co przypomina ostrożną radość.

Całuję ją w czoło i odsuwając się, oblizuję wargi, wciąż jej smakując.

– Do zobaczenia na sali sądowej, pani prokurator.

Puszczam do niej oko i wychodzę bardziej zadowolony, niż gdy tu wchodziłem.



Po południu w sądzie Kennedy jest rozproszona. Wybita z rytmu.

Może nie przywykła do szybkich numerków w pracy. Może to przez to, że zabrałem jej majtki, które gładzę palcami podczas rozprawy dla

swojej własnej perwersyjnej przyjemności. Bez względu na powód ma dzisiaj zły dzień.

I wydaje mi się, że obwinia za to mnie.

A gdy wieczorem zjawia się u mnie, robi to bez zapowiedzi.

Harrison nalewa jej słabego drinka, którego osusza dwoma łykami, przez cały czas się we mnie wpatrując.

Oddaje pustą szklankę lokajowi i wyćwiczonym głosem kobiety,

która wychowywała się w domu pełnym służby, mówi:

– Dziękuję, Harrisonie. Nie będziesz nam później potrzebny. –

Zwraca pełne ognia spojrzenie na mnie. – Brent, chciałabym z tobą porozmawiać. Na osobności.

Wyciągam rękę.

– Prowadź, złościco. Pójdę za tobą wszędzie.

Podąża do sypialni. W chwili, w której zamykają się drzwi, przyciska mnie do ściany. I zrywa ze mnie ubranie.

Co poddaje mi pomysł, by codziennie napastować ją w sądzie, ponieważ jeśli tak na to reaguje, nie ma dla mnie silniejszej motywacji.

Kilka dni później, podczas lunchu z Jakiem, Stantonem i Sofią, wprowadzam ich w sytuację z Kennedy.

Cała trójka gapi się na mnie. Tępo.

Jake kręci lekko głową, jakby próbował otrząsnąć się z myśli.

– Pozwól, że się upewnię, czy dobrze rozumiem: posuwasz oskarżycielkę w procesie, w którym jesteś obrońcą?

Z trudem przełykam ślinę.

– Tak. Cóż, czasami uprawiamy seks, a czasami po prostu spędzamy razem czas.

Jak na przykład wczoraj u Kennedy: zwinęliśmy się na kanapie

i oglądaliśmy film. Wybrała *Mad Max: Na drodze gniewu*. A gdybym wcześniej nie wiedział, że jest niesamowita, po tym wyborze byłbym

tego pewien. Tuliliśmy się, pozwoliła mi dotykać cycuszków, co było

podniecające. Ale to tyle.

– Czasami rozmawiamy...

Jak w noc po całkowicie satysfakcjonującym, wściekłym seksie,

kiedy Kennedy powiedziała mi o ustaleniach w sprawie Moriottiego. Jest poważnie. FBI wyłapało groźby wobec prokuratury. Wobec Kennedy.

Moriotti rozpuścił wici, że oferuje okazałą sumkę dla każdej

kryminalnej kanalii, która ją sprzątnie. To dość powszechne w sprawach mafijnych, w których próbuje się zastraszyć prokuraturę, by nie ruszyła z pracami. Agenci nie zdobyli żadnych konkretnych dowodów jego

planu, jednocześnie jednak przypisano jej agenta biura szeryfa

federalnego do ochrony. Tak na wszelki wypadek.

– A czasami uprawiamy słodką, czułą miłość.

Stanton dopytuje:

– I to nie wpływa na prowadzoną przez was sprawę?

– Nie. W sędzie sobie nie odpuszczamy, po czym w nocy, w łóżku

jesteśmy dla siebie jeszcze bardziej nieustępliwi. I wszystko jest super.

– Oskarżycielka jest twoją przyjaciółką z młodości, w której się

zakochałeś, gdy miałeś siedemnaście lat, po czym nie widziałeś jej przez kolejnych czternaście? – pyta Sofia, głaszcząc męża po ręce.

Ostatnio jest między nimi lepiej, od dnia Wielkiego Kompromisu.

Stanton zgodził się nie marudzić w sprawie pracy żony ze wszystkimi

naszymi klientami, póki Sherman, ich wielki rottweiler, będzie siedział

u jej boku. Nie muszę chyba dodawać, że żaden z nich od tego czasu nie podniósł na nią głosu ponad szept.

– Zgadza się. – Wrzucam frytkę do ust. Ostatnio spalam miliony

kalorii, muszę to uzupełnić.

Jake się przysuwa, wciąż ma minę, jakby nie rozumiał.

– I chcesz być z nią w związku? Takim prawdziwym?



Wzruszam ramionami.

– Nie to, byśmy wybierali już imiona dla dzieci, ale zmierza to w tym kierunku.

Mam już nawet ułożoną listę – Waldo jest na jej szczycie.

– I Kennedy czuje to samo? – dopytuje Sofia.

Biorę łyk wody.

– Mniej więcej. Ma swoje problemy. Pracujemy nad nimi.

W końcu sobie z nimi poradzi.

Stanton opiera łokcie na stole.

– Jesteś pewien, że nie ciągnie cię do niej dreszczyk związany z walką?

Marszczę brwi.

– Oczywiście, że nie, dlaczego pytasz o coś takiego?

Sofia odpowiada:

– Ponieważ, prócz rodziców i terapeuty, to z nami jesteś najdłużej.

*Ha. No tak.*

Stanton kiwa głową.

– Dokładnie tak. I powiedziałaś, że ma „problemy”, więc moim pytaniem jest: jeśli wygrasz, jak Kennedy poradzi sobie, nie tylko przegrywając pierwszą sprawę w Waszyngtonie... ale przegrywając ją



z tobą?

Nie myślałem o tym za wiele, byłem zajęty całym tym niesamowitym seksem. Jednak prawdopodobnie powinienem to zrobić.

Nagle nie jestem już tak głodny.

Później, tego samego dnia siedzę w gabinecie Waldo. To nie jest nasz zwyczajowy dzień spotkań, ale udało mu się mnie wcisnąć.

– Jesteś bardzo cichy. – Przygląda mi się cierpliwie zza okularów.

– Cichy... i spokojny.

Jak mówiłem wcześniej, zazwyczaj lepiej myśli mi się w ruchu, jednak w tej chwili w głowie kotłuje mi się tak wiele rzeczy, że potrafię jedynie siedzieć nieruchomo na kanapie.

Pochyliam się, opieram łokcie na kolanach.

– Naprawdę uważasz, że mam problemy z intymnością?

Światło rozpala się w jego oczach, duma z wiedzy, że tygodnie, miesiące, lata pracy mają w końcu przynieść rezultat – że jestem na skraju objawienia.

– Nie sugerowałbym tego, gdybym nie sądził, że to prawda.

Drapię się po brodzie, po raz pierwszy poważnie się nad tym zastanawiając.

– Ale dlaczego tak uważasz? Mam świetną relację z przyjaciółmi, rodziną, jestem dobrym partnerem dla kobiet, troskliwym, wspaniałym kochankiem...

Wyjaśnia:

– Jeśli chodzi o twoje romantyczne gesty, Brent, wkładasz ogromny, jeśli nie kolosalny, wysiłek, by utrzymać emocjonalny dystans.

Mówiąc twoimi słowami: utrzymujesz „luźną relację” i wolisz się

„bawić”, ponieważ uważasz, że życie jest zbyt poważne. Nie szukasz

prawdziwej partnerki, jedynie kobiety, z którą możesz spędzić trochę czasu. Wyobraź sobie skutny lodem staw. Suniesz po tafli na łyżwach, nie myśląc nawet, by zerknąć pod spód i sprawdzić, jak stabilny jest lód. To cię nie obchodzi, ponieważ nie planujesz zostać w jednym miejscu

wystarczająco długo, by wpaść.

Ma rację i wyśmienicie się to sprawdzało... aż do teraz.

– Wiesz, dlaczego to robię?

Przytakuje.

– Tak.

I cisza.

Cholerni psychoanalitycy i te ich gierki.

Unoszę brew.

– A możesz mi powiedzieć?

Chrząka.

– W młodym wieku doświadczyłeś ciężkiej traumy.

W przeciwieństwie do większości nastolatków nigdy nie przeszedłeś fazy „nieśmiertelności”, czasu, gdy młody człowiek jest święcie

przekonany, że nigdy nie stanie mu się nic złego, niezależnie od

ryzykownego zachowania. Ponieważ zbyt dobrze wiedziałeś, że złe

rzeczy jednak się zdarzają. Że bezpieczeństwo jest iluzją, a straszne wydarzenia uderzają niespodziewanie i nie ma w tym naszej winy. Strata nogi pozostawiła cię z dwoma przeświadczeniami, których trzymasz się do dziś. Pierwszym z nich jest to, że życie jest nieprzewidywalne

i okrutnie krótkie, więc wykorzystujesz je, wyciskając z niego tyle

doświadczeń, ile tylko zdołasz. Realizujesz cele z niemal fanatyczną energią, ponieważ nigdy nie wiesz, kiedy skończy ci się czas. Drugie, które jest emocjonalnie przeciwstawne do pierwszego, każe ci strzec

własnych uczuć, a w szczególności przed kobietami. Trzymać emocje

w ryzach, ponieważ nie wiesz, kiedy skończy ci się na nie czas.

A najbardziej obawiasz się możliwego bólu po stracie ukochanej osoby.

Jego słowa odbijają się echem w mojej głowie. I brzmią dość

prawdopodobnie.

Co wcale nie oznacza, że muszę w nie wierzyć.

– Poznałem kogoś. – Biorę łyk wody ze szklanki stojącej na stoliku przede mną. – Cóż... zbliżyłem się z kimś, kogo znałem wcześniej, chyba byłoby bardziej właściwym określeniem.

Teraz kolej Waldo, by się pochylić, ponieważ nigdy wcześniej nie słyszał, żebym mówił takim tonem o kobiecie.

Poważnym. Zdesperowanym.

Opowiadam mu o Kennedy. O naszym dzieciństwie, o szkole

z internatem, sprawie Longhorna i wszystkim, co wydarzyło się między nami, odkąd zobaczyłem ją na przyjęciu. Mówię mu, że bardzo bym

chciał, żeby nam się ułożyło, o tym, że chcę ją chronić i spełniać jej marzenia. A przede wszystkim opowiadam, jak bardzo nie chcę tego

spieprzyć. Wliczając w to proces Longhorna.

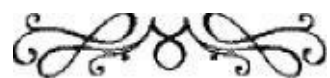
Zaskakuję go pytaniem:

– Wierzysz w bratnie dusze, Waldo?

Czyści okulary. Gdy ponownie wkłada je na nos, odpowiada:

– Myślę, że lepszym pytaniem byłoby: czy ty w nie wierzysz,

Brent?



– Teraz tak. – Staram się ubrać optymistyczne myśli w słowa. –

Przez te wszystkie lata Kennedy przed nikim się nie otworzyła. Miała swoje powody, ale wynik jest taki, że żaden facet nie pokonał jej

ziejącego ogniem smoka. A co, jeśli... Co, jeśli nigdy nie pozwoliłem

sobie kochać kobiety dlatego, że nie miałem jej nic do zaoferowania?

Ponieważ oddałem serce Kennedy, kiedy mieliśmy po siedemnaście lat?

A przez cały ten czas... po prostu czekałem, aż do mnie z nim wróci.

Milczymy przez dłuższą chwilę, jedynym dźwiękiem jest tykanie antycznego zegara.

– Co o tym myślisz, Waldo?

Mężczyzna uśmiecha się do mnie z dumą. I pewnością.

– Cóż, Brent, zastanawiam się nad tymi dwoma teoriami i wolę twoją.

– Boże... taaak.

Kennedy szarpie biodrami, ujeżdżając mnie – gładkie ruchy

przeszły w ostrą, zdesperowaną jazdę. Obejmuję dłonią jej jedną pierś, palcami ściskając sutek, jednocześnie ssąc z entuzjazmem drugi.

– Och... Och!

Gdy osiąga orgazm, opiera podbródek na mojej głowie, jej mięśnie

bezlitośnie ściskają mojego fiuta, więc wybucham w niej

z niepohamowanym krzykiem.

Chwilę później leżymy splątani, jej twarz znajduje się na mojej

piersi, kończyny i spocone torsy kleją się do siebie uspokajająco.

Głaszczę ją po ręce.

I rozmyślam.

Kennedy kilka dni temu przedstawiła wszystkie dowody przeciwko

Justinowi Longhornowi. Następnego dnia powołałem na świadka innego

eksperta komputerowego, by przynajmniej zasugerować pewne

wątpliwości. W tej chwili został mi tylko Justin. Będzie zeznawał

w swojej własnej obronie... i proces dobiegnie końca.

Zastanawiam się, czy w ten właśnie sposób Serena Williams lub

Peyton Manning czują się, kiedy muszą grać przeciwko własnemu

rodzeństwu. To wielki konflikt interesów. Chciałbym wygrać tę sprawę

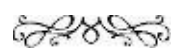
– dla Justina i dla potwierdzenia własnego profesjonalizmu. Mimo to nie chcę, by Kennedy przegrała.

Wzdycham.

– Słuchaj... – zaczynam. – Wiem, że myślisz, że wygrasz ten

proces...

Głos Kennedy brzmi aksamitnie w moich uszach, zawsze tak jest,



gdy zafunduję jej trzy orgazmy.

– Nie myślę, wiem o tym.

Lekko ściskam jej ramię.

– Tak, ale chodzi o to, że jutro wszystko się posypie. Mam zamiar

powołać Justina na świadka, a nie ma mowy, by ławnicy wysłali go na

dwadzieścia lat do paki, po tym, jak usłyszą jego zeznania. Nie dałaś im zbyt wielkiego wyboru, więc albo dostanie dwadzieścia lat odsiadki,

albo zostanie uniewinniony. Musisz zawrzeć ze mną ugodę, Kennedy.

Siada na łóżku i wpatruje się we mnie, jakby w ogóle mnie nie

poznawała.

– Ty parszywy draniu!

Znacie już resztę rozmowy. Wyrzuciłem jej ubranie przez okno,

ona chciała mnie uderzyć, i tak dalej...

– A teraz słuchaj, pączuszk. – Spoglądam w dół na jej piękną, rozwścieczoną twarz, patrzę prosto w jej oczy. – Zakochuję się w tobie.

Kennedy całkowicie pode mną zamiera.

Kręcę głową.

– Nie, już się w tobie zakochałem. Kiedy na ciebie patrzę, kiedy

o tobie myślę, nie mogę się zdecydować, czy cię pieprzyć, dusić, czy tulić. Zazwyczaj mam ochotę na wszystko jednocześnie. A jeśli to nie miłość, to nie wiem, co to jest.

Otwiera usta, by się sprzeczać, ale nie daję jej ku temu okazji.

– Jesteś wszystkim, czego szukałem, nawet jeśli nie wiedziałem, że

tak jest. Poruszyłem sprawę ugody, bo uważam, że tak będzie najlepiej dla sprawy, i ponieważ jestem przerażony, że jeśli wygram,

wykorzystasz to przeciwko mnie. A już i tak mam ci wiele do

wynagrodzenia.

Oddycha gwałtownie, jakby biegała, w swojej głowie  
prawdopodobnie to właśnie robi.

– Puść mnie, Brent. Natychmiast mnie puść.

Uwalniam jej nadgarstki i schodzę z niej, po czym siadam obok,  
a moja noga zwisa z łóżka. Kennedy siada, ale się nie odsuwa.

Praktycznie mogę zobaczyć trybiki poruszające się w jej głowie.

Zakładam jej włosy za ucho.

– Nie musisz mi na to odpowiadać.

Byłoby cholernie miło, gdyby to jednak zrobiła, ale nie musi tego  
jeszcze robić.

Kiedy się odzywa, koncentruje spojrzenie na złożonych dłoniach,  
które trzyma na kolanach.

– To wszystko dzieje się zbyt szybko.

– Wiem. To szybkie, ale prawdziwe, Kennedy. – Biorę ją za rękę. –

Jesteśmy prawdziwi.

Wpatruje się w nasze złączone ręce, ale nie odwzajemnia uścisku.

Raczej pozwala, by jej dłoń swobodnie leżała w mojej.

– Zależy mi na tobie, Brent. Musisz już o tym wiedzieć. Nie... nie

wiem, czy jest we mnie miłość do ciebie. Nie jestem pewna, czy jestem do niej zdolna. Od tak dawna  
marzyłam, by z tobą być... A potem, po

szkole, pozwoliłam tym marzeniom umrzeć. Skremowałam je.

Pochowałam. Zatopiłam na dnie...

– Tak, dzięki, rozumiem.

W jej oczach pojawia się ostrość.

– Chyba... Wolę, gdy są pogrzebane, Brent. Wszystko jest wtedy

łatwiejsze. Mój związek z Davidem, podobnie jak wcześniej, był

prosty. Mogłam się nimi cieszyć i żyć dalej, gdy się kończyły, ponieważ nie miały dla mnie znaczenia. Nie wpływały na moje życie ani na to, kim jestem.

Przypomina mi się Waldo i zamarznięty staw.

– Lubisz sunąć po powierzchni.

Marszczy czoło, nie bardzo rozumiejąc. Wyjaśniam więc:

– Jeśli nigdy nie nurkujesz, nie musisz obawiać się utonięcia.

Powoli przytakuje.

– Tak, mniej więcej.

Kennedy zabiera rękę i wstaje. Przeciera oczy i wzdycha.

– Pójdę do domu pomyśleć, dobrze?

Czy jestem rozczarowany? Jak cholera.

Pokonany? Nie ma takiej opcji.

Wiem, o co jej chodzi, wiem więcej, niż kiedykolwiek uda jej się zrozumieć. I, jak mówiłem wcześniej, jestem cierpliwy. Nieugięty.

Nawet przez sekundę nie wierzę w to, że nie jest zdolna mnie

kochać. Między nami jest zbyt wiele pasji, zbyt wiele uczuć. Sądzę, że może nawet już mnie kocha.

Muszę jej tylko pomóc to zobaczyć.

Kennedy staje do mnie twarzą, jej postawa nabiera nieco

profesjonalizmu, choć wciąż jest cudownie naga.

– I nie będzie żadnej ugody. Trzymam się własnego planu. Jeśli go

teraz zmienię, zawsze już będę się zastanawiała, czy była to najlepsza decyzja dla sprawy, czy może miały na nią wpływ uczucia do ciebie.

Kiwam głową zrezygnowany, chociaż nie zaskoczony.

– Dobra.

Bierze moją koszulę z łóżka, wkłada ręce w rękawy, ale wyciągam



palec, powstrzymując ją. Otwieram drzwi sypialni, za którymi znajduję stosik starannie złożonych ubrań. Przypuszczałem, że tam będą.

Kennedy chichocze cicho, gdy je jej podaję. Krzyczy w głąb

korytarza:

– Dziękuję, Harrisonie.

Naprawdę powinienem mu więcej płacić.

W pomieszczeniu panuje cisza, gdy kobieta się ubiera. Chociaż nie znajduje biustonosza, jakoś nie jest mi przykro z tego powodu.

Podchodzi do mnie, staje na palcach i całuje miękko.

– Do zobaczenia jutro.

Tak. Na naszej finałowej rozgrywce. Naszej wielkiej bitwie.

A kiedy zapadnie wyrok, zwycięzca będzie mógł być tylko jeden.



– Wysoki sędzie, chciałbym powołać na świadka Justina

Longhorna.

Chłopak poprawia krawat, ociera ręce o brązowe spodnie i zajmuje miejsce. Po złożonej przysiędze spogląda na mnie, więc zachęcająco kiwam głową.

– Jak się czujesz, Justinie?

Przełyka z trudem ślinę.

– Niezbyt dobrze.

Wskazuję na salę sądową.

– Trochę to szalone, prawda? Jak szybko może się poruszać

machina prawnicza... Wessać cię w całości w swoje zimne, twarde

tryby?

Wstaje Kennedy.

– Wysoki sędzie, czy pan Mason mógłby zadawać świadkowi

poprawne pytania?

Spoglądam na nią, zerkając na słodkie nogi, które odsłania

ciemnoniebieska spódnica.

– Mam ich kilka.

– Więc proszę do nich przejść – rzuca sędzia.

– Tak, oczywiście. – Zwracam się do Justina: – Ile masz lat?

Jego głos jest cichy i piskliwy.

– Siedemnaście.

– Masz jakieś zainteresowania, hobby?

– W dużej mierze to komputery.

Przechodzimy przez jego dzieciństwo. To, jak zainteresował się

grami na konsoli, na komputerze, a w końcu grami w sieci

i programowaniem. Pytam o to, jak zaprzyjaźnił się z anonimowymi

użytkownikami na forach, dzięki czemu uzyskał dostęp do sekretnych

czatów przeznaczonych dla hakerów. A tam rozwinął swoje umiejętności. Rozmawiam z nim o tym, jak ci ludzie chwalą się swoimi osiągnięciami i jak starają się zaimponować sobie nawzajem.

– Opowiedz o banku First Security – mówię.

Jest teraz bardziej swobodny. Bardziej ożywiony.

– Jego zabezpieczenia są legendarne. Firewall na medal. Każdy

chciał się włamać, ale każdy, kto próbował, poległ. Zaczęto mówić, że jest nie do złamania.

– Podjąłeś więc rękawicę? Postanowiłeś włamać się do ich systemu

on-line?

Zerka na ławę przysięgłych, kiwa głową.

– No... tak. To było wyzwanie. Jak walka z finałowym bossem

w grze.

Opowiada, jak działał przez trzy bezsenne doby, napędzany

energetykami i czekoladą.

– A potem? – pytam.

Nie potrafi ukryć uśmiechu, gdy mówi:

– Dostałem się. Z początku nie mogłem w to uwierzyć, ale miałem to przed sobą. Wszystkie konta.

– Co wtedy zrobiłeś? Wszedłeś na forum, by pochwalić się chłopakom dobrą nowiną?

Justin ściąga brwi.

– Nie. Nikomu nie powiedziałem. Przez chwilę po prostu wędrowałem po tym systemie, sprawdzając różne rzeczy. Spodziewałem się wyrzucenia, gdy zorientują się, że jestem w środku. – Jego głos cichnie i smutnieje. – Ale nikt... nikt mnie nie widział.

– Co było dalej?

– Stworzyłem własne konto. Fikcyjne.

Opieram się o biurko obrony.

– Dlaczego?

– Żeby sprawdzić, czy ktokolwiek zauważy.

– I zauważył? Czy ktoś cię wykrył, Justinie?

Mocno kręci głową.

– Nie.

Pytam cicho:

– I co zrobiłeś potem?

Oto właśnie chodzi. O ryzyko. Justina i moje, ponieważ zasadniczo przyznaje się do winy.

– To był błąd. Nie chciałem.

– Czego nie chciałeś, Justinie?

Bierze głęboki wdech.

– Wziąłem centa z każdego konta.

Unosi się jeden kącik moich ust.

– Centa?

Przytakuje.

– Tak. Poczekałem dwadzieścia cztery godziny, żeby zobaczyć...

– Czy ktokolwiek to zauważy?

– Tak.

– Zauważono?

Odpowiada tak cicho, że sędzia prosi o powtórzenie.

– Nie.

– Więc co było dalej, Justinie?

Wpatruje się w mikrofon przed nim.

– Wziąłem sto centów, a każdą setkę ze stu kont.

Zerkam na ławników. Osiem kobiet, wszystkie są matkami.

Sześciu mężczyzn, w tym czterech ojców i dwóch wujków. Ta

dwunastka zdecyduje o losie Justina, wybierając pomiędzy skazaniem

a ułaskawieniem. Każda z osób skupia uwagę na chłopaku. Przygląda się jego gestom, wsłuchuje się w jego słowa. Zauważa każdy szczegół,

dokładnie tak, jak na to liczyłem. Nikt nie wydaje się wkurzony, ich miny wskazują wahanie, ciekawość, a nawet... współczucie.

Idealnie.

Ostrożnie dobieram słowa.

– I wtedy ktoś to wykrył?

– Nie.

– Co więc zrobiłeś?

Milczy, patrzy na salę i kiwa głową.

– To mi się miesza... Nie pamiętam dokładnej kolejności, ale...

wróciłem tam i wziąłem z kont jeszcze więcej pieniędzy.

– Planowałeś je wydać? Spędzić weekend w Aspen? Urządzić

imprezę w eleganckim hotelu?

Wzdryga się.

– Nie. Nie planowałem nic z nimi robić.

– Dlaczego więc je wziąłeś?

Kręci głową, szczerze zdezorientowany. Zagubiony niczym

chłopiec, którym wciąż jest.

– Nie... nie wiem. To był... wypadek. Nie chciałem niczego

takiego.

Pozwalam przez chwilę wybrzmieć słowom. To znacząca cisza.

Wchodzę z powrotem za biurko.

– Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie. – Patrzę na Kennedy. –

Jest pani, pani Randolph.

Nie poświęca mi spojrzenia. Jej ostry jak brzytwa wzrok od razu

skupia się na Justinie. Oskarżycielka jest niczym drapieżnik, który ma przed sobą ranną gazelę.

– Pani Randolph – mówi sędzia. – Proszę zaczynać.

Kennedy rusza do przodu prawie biegiem. Jej głos jest niemal nie

do poznania. Ostry i wymagający, dosłownie tnie powietrze.

– Wypadek? Dobrze słyszałam? Ukradł pan dwa miliony trzysta

tysięcy dolarów z kont emerytalnych niewinnych, oszczędzających

z trudem ofiar w drodze wypadku?

Kennedy równie ostrożnie dobiera słowa. Oboje chcemy

namalować ławnikom swój własny obraz.

Justin mruga.

– Tak.

Kennedy chodzi przed nim, wygląda agresywnie, niebezpiecznie.

Gdyby to nie był decydujący moment, z pewnością by mi stanął.

– Jak długo zajął panu ten „wypadek”? – pyta.

– Nie... Nie pamiętam.

– Dłużej niż pięć minut?

– Tak.

– Dłużej niż dziesięć?

– Ee... Tak.

– Godzinę?

Justin się wierci.

– Chyba z godzinę. Pewnie gdzieś tyle.

Kennedy kiwa głową.

– Panie Longhorn, wypadek to niefortunne, nieprzewidziane

zdarzenie. Na przykład, gdy ktoś się potyka i upada na chodnik.

Rozumie pan różnicę pomiędzy pańskim działaniem a upadkiem na

chodnik?

Spanikowane spojrzenie Justina wędruje do mnie.

– Co?

– Do upadku nie potrzeba godziny. Taka ilość czasu wskazuje na

celowe, rozmyślne działanie. – Krzyżuje ręce na piersi i zmienia taktykę niczym pięściarz zmieniający lewy sierpowy na hak. – Dwa miliony

trzysta tysięcy to sporo pieniędzy, panie Longhorn.

Chłopak z wahaniem kiwa głową.

– No chyba.

– Co można zrobić z taką sumą?

– Nie... Nie wiem. Chyba prawie wszystko.

Kennedy wskazuje go palcem.

– Właśnie, prawie wszystko. Za taką ilość pieniędzy można kupić wolność. Władzę. A chciał pan władzy, prawda?

– Nie. Nie dlatego...

– Uważał się pan za lepszego od ofiar, prawda? Nie musiał pan pracować na te pieniądze. Ani ich oszczędzać. Mógł je pan po prostu wziąć, kiedy pan tylko chciał, czyż nie tak?

– Ja...

Przyciska go. Mógłbym zgłosić sprzeciw, ale tego nie robię. Siedzę i pozwalam jej robić dokładnie to, co przewidywałem.

– Jak się pan czuł, łamiąc zaporę systemową banku, panie Longhorn?

Justin marszczy czoło.

– Nie wiem.

– Jasne, że pan wie. Czy było to dobre?

– Chyba tak.

– „Chyba” nie jest odpowiedzią. Tak czy nie?

– Tak, czułem się dobrze.

– A jak się pan czuł, biorąc te pieniądze? Wiedząc, że powiódł się pana plan?

– To nie był... Nie chciałem...

– Myślał pan o okradanych ludziach?

– Niespecjalnie.

– Oczywiście, ale nikt z nas nie kupuje tego pańskiego jąkania,

panie Longhorn, ponieważ wszyscy znamy prawdę. Złamanie

zabezpieczeń systemu bankowego sprawiło, że poczuł się pan

mądrzejszy od innych hakerów, prawda?

– Tak, w pewien sposób...

– A zabranie tych pieniędzy dało panu władzę. Ale to nie tylko

konta, to ludzie. Ludzie, którzy, jak pan wiedział, byli przerażeni na widok zniknięcia oszczędności ich życia. To również sprawiło, że dobrze się pan poczuł?

– Nie. Nigdy nie chciałem...

– Chciał im pan pokazać, że jest pan lepszy. Mądrzejszy. Chciał

ich pan wystraszyć. Skrzywdzić. Niewinnych, bezbronnych ludzi jak

pani Potter. – Wskazuje na drobną staruszkę, która siedząc w pierwszym rzędzie, marszczy brwi. – I się panu udało, ponieważ po wszystkim

został pan komputerowym prześladowcą. Cyberprzestępcą.

Policzki Justina przybierają intensywnie różowy kolor, jego oczy

błyszczą łzami.

– Przepraszam!

– Tak, panie Longhorn, z pewnością. Oni nigdy...

– Chciałem tylko, żeby ktoś mnie zauważył! – krzyczy Justin.

Kennedy natychmiast zamyka usta. – Chciałem tylko, żeby ktoś zwrócił

uwagę, że tam jestem! – Wybuch płaczem. Szłocha w ręce, jego słowa

są przytłumione, mimo to boleśnie jasne: – Nikt mnie nie zauważa! Nie mam przyjaciół. Chodząc szkolnymi korytarzami, czuję się jak duch.

Jakbym w ogóle nie istniał. – Wskazuje na puste miejsca za mną, gdzie powinni siedzieć jego rodzice. –



Nie ma tu nawet mamy i taty! Nic ich nie obchodzi. Nikogo nic nie obchodzi. – Płacze dalej, czemu przygląda się cała sala.

Wliczając w to Kennedy.

– Ja... To... – jąka się oskarżycielka, próbując odzyskać spokój,

ale słowa Justina rozbrzmiewają echem w jej głowie.

– Mógłbym iść do więzienia na dwadzieścia lat albo umrzeć jutro,

a nikomu nie sprawiłoby to różnicy. – Patrzy na panią Potter. –

Przepraszam. Nie chciałem pani wystraszyć. Chciałem tylko, by ktoś,

ktokolwiek, wiedział, że jestem.

Na sali panuje grobowa cisza, słychać jedynie szloch chłopaka.

Kennedy wpatruje się w niego, w jej oczach wirują tysiące emocji.

I najprawdopodobniej jeszcze więcej wspomnień.

Podnoszę rękę.

– Przerwa, wysoki sędzie?

– Oczywiście. – Stuka młotkiem, ławnicy wychodzą z sali.

Przechodząc obok Kennedy, która wciąż stoi zszokowana, staję

z Justinem przed miejscem przysięgłych. Klepię go po plecach, gdy

ociera oczy.

– Wszystko dobrze, chłopie.

W drodze do stołu obrony widzę, że pani Potter piorunuje

wzrokiem Kennedy.

– Powinnaś się wstydzić! Żeby tak krzyczeć na tego biednego

chłopca...

– Nie... nie...

Pani Potter przepycha się do przodu, by przytulić Justina i poklepać go czule po plecach.

– Już, już. Chodź, mam w kieszeni kilka ciastek. Haroldzie, daj

chłopcu ciastka!

Ponieważ Justin wygląda, jakby był w dobrych rękach, biorę

Kennedy pod rękę i kieruję w stronę drzwi.

– Narada?

Prowadzę ją korytarzem do jednej z małych, pustych salek

konferencyjnych. Ostrożnie wprowadzam do środka i odsuwam dla niej

krzesło.

– O Boże – mówi, nadal porażona.

– Oddychaj, Kennedy.

– Ja... Cholera jasna...

– Kennedy – mówię z naciskiem, odzyskując jej uwagę. –

Oddychaj.

Patrzy mi w twarz.

– Całkowicie się załamał.

– Tak.

– Nie... Nie jest przestępcą... Jest tylko samotnym chłopakiem.

– Wiem.

Pociera czoło.

– O Boże, złamałam go.

Przytakuję.

– Tak, złamałaś.

– Czułam się przy tym tak dobrze, Brent. – Klepie się w pierś. –

Dzięki temu czułam się tak dobrze. Byłam silna.

– Tak... Rozumiem.

Oddycha pospiesznie, zszokowana.

– Nigdy już nie chciałam czuć się słaba, więc zrobiłam wszystko,  
by go złamać, ponieważ miałam władzę, sprawiłam, że poczuł się źle.

– Wiem – przyznaję cicho.

Kennedy podnosi głos, gdy dociera do niej przerażająca prawda.

– Brent, znęcałam się nad nim!

Łzy grożą powodzią, więc kładę rękę na jej ramieniu.

– Kennedy, już dobrze.

Opuszcza głowę, uderzając czołem w blat.

– Hej! – Kładę rękę na stole, by tego nie powtórzyła. – Spokojnie.

Tak się składa, że podoba mi się twoja głowa, więc może jej nie rozbij, co?

Patrzy na mnie mokrymi od wyrzutów sumienia oczami.

Siadam naprzeciwko niej.

– Dobra, słuchaj, Justin jest dobrym dzieciakiem. Samotnym, tak,  
ale nie zniszczyłaś mu życia. Wierz mi, pozbiera się. – Wąham się,  
ponieważ jest mocno zdenerwowana. – Wiem, że takie objawienia są  
wyczerpujące, sam to przerabiałem, ale musimy coś zdecydować,  
kończy nam się czas, więc może porozmawiamy teraz o ugodzie?

Potrzeba zaledwie chwili, by Kennedy się wyprostowała, uniosła  
głowę. Znów patrzy na mnie prokurator federalna K.S. Randolph.

– Co proponujesz?

– Skazanie jako nieletniego, bez przeniesienia do akt, gdy będzie  
dorosły, oraz dwa lata okresu próbnego, w czasie którego będzie



pracował w dziale komputerowym FBI lub w departamencie

bezpieczeństwa w towarzystwie agenta, który pozna się na jego talencie i wykorzysta w dobrym celu.

Opiera się na krześle.

– To... niespotykane rozwiązanie.

Wzruszam ramionami.

– Przyjaciel znalazł się w podobnej sytuacji, gdy jako nastolatek podpadł prawu. W jego przypadku naprawdę dobrze się to sprawdziło.

W ten sposób Justin nie wyrośnie na wrednego cybergeniusza, który zhakuje kody nuklearne, ponieważ mamusia go nie kocha. Będzie pod nadzorem. Będzie doceniany, Kennedy, a wydaje mi się, że o to właśnie chodzi.

Bębni palcami po blacie, zastanawiając się nad tym.

– Cztery lata. Chcę, by był pod nadzorem, póki nie ukończy dwudziestu jeden lat. I żadnych bankowych „wypadków”. Wywinie jeszcze jeden taki numer, a trafi prosto za kraty.

Uśmiecham się.

– Ta twoja mściwa postawa jest zdecydowanie seksowna.

Odpowiada uśmiechem, po czym wyciąga rękę.

Ściskam ją.

– Ma pan swoją ugodę.

Kennedy wstaje, ale nie puszczam jej dłoni, ponieważ jeszcze nie skończyłem.

– Wysłałem ci coś do domu. Będzie na ciebie czekało, gdy wrócisz. Chcę, byś miała to na sobie wieczorem, gdy przyjedziesz do mnie punktualnie o siódmej. – Ściskam jej dłoń. – Proszę, zgódź się.

Daje mi jeszcze lepszą odpowiedź. Pochyla się nad stołem i mnie całuje.

Po czym się zgadza.

Po załatwieniu wszystkich formalności wyprowadzam Justina

z sądu na ciepły, słoneczny dzień. Ma w kieszeni numer do pani Potter, prócz tego umówili się na spotkanie w parku w ten weekend. Ponieważ

potrzebuje podwózki do domu, schodzimy schodami, gdzie za rogiem

czeka na nas w samochodzie Harrison.

Kiedy jesteśmy w połowie schodów, z sądu wychodzi Kennedy, by

udać się do swojego gabinetu. Kilka kroków za nią znajduje się dwóch agentów biura szeryfa federalnego ubranych w cywilne stroje. Podchodzi do niej dziennikarka w żółtych spodniach i marynarce, trzymając w dłoni notatnik.

– Pani Randolph, co mogłaby mi pani powiedzieć na temat

zbliżającego się ponownego procesu Gina Moriottiego?

Kennedy odpowiada pewnym siebie, zadziornym głosem, co jest

dość seksowne:

– Dowody oskarżenia są tak solidne jak za pierwszym razem. Nie

widzę powodu, by wyrok miał się czymś różnić. Jestem przekonana, że

i tym razem zostanie skazany.

– A jak się pani czuje w związku z plotkami, że pan Moriotti płaci

za pani głowę? Obawia się pani o swoje bezpieczeństwo?

– Gino Moriotti od bardzo dawna zastrasza ludzi, wykorzystując

przemoc, by wzbudzić przerażenie. Jednak w tym przypadku powinien

nastawić się na rozczarowanie.

Przyglądając się blond twardzielce, która nie daje sobie w kaszę

dmuchać, myślę z dumą: *Oto moja dziewczyna.*

Tym razem Kennedy pojawia się punktualnie: pukanie rozlega się o siódmej. Czekam na podwórku, prosząc Harrisona, by otworzył drzwi.

Całe popołudnie moja energia buzowała bardziej niż zazwyczaj.

Próbowałem popracować, ale wciąż zastanawiałem się, kiedy Kennedy wróci do domu.

I jaką będzie miała minę, kiedy otworzy pudełko, które jej

wysłałem – niemałe, białe pudło przewiązane czerwoną wstążką. Duże na tyle, by pomieścić sukienkę, buty i torebkę.

Moja matka ma asystentkę modową, z którą od lat współpracuje.

Ponieważ moje dłonie spędziły na ciele Kennedy sporą ilość czasu, dość dobrze znam jej wymiary. Cóż, wystarczająco dobrze, by opisać idealną suknię, która będzie pasowała na nią jak szyta na miarę.

I jestem w tym dobry, ponieważ jest dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem.

Gdy Kennedy wchodzi na patio, dech więźnie mi w gardle. Jej

smukła szyja i delikatne ramiona są nagie, ponieważ biała sukienka nie ma ramiączek – kobieta praktycznie błyszczy w poświacie księżyca.

Miękka, połyskująca tkanina otula jej piersi, ściskając je i podnosząc, tworząc pyszny dekolt, w którym chciałbym zanurzyć język. Materiał

podkreśla jej wąską talię, po czym troszkę się rozszerza, a lekki szyfon porusza się nieznacznie na wietrze tuż nad jej kolanem.

Sukienka jest śliczna. Seksowna, ale elegancka. Coś, co kobieta

mogłaby założyć na randkę... Albo dziewczyna na bal.

Włosy ma rozpuszczone, opadające luźno na wspaniałe ramiona,

jej usta lśnią muśnięte błyszczykiem. A jej uśmiech – jest w nim

nadzieja, zachwyt i zdumienie. Serce przyspiesza mi w piersi, ponieważ

byłem w stanie jej to dać.

Kennedy rozgląda się po ogrodzie, zauważa małe światełka

porozrzucane po drzewach i krzewach, jak i świece stojące na stole

nakrytym dla dwojga. Z głośników płynie *Kiss Me* zespołu Sixpence None the Richer – w latach dziewięćdziesiątych byli dość znani. Kiedy spojrzenie tych wspaniałych oczu powraca do mnie, wiem, że rozumiem.

Wie już, co staram się zrobić.

Wzruszam ramionami.

– Nie byłeś na balu maturalnym... Pomyślałem, że czas to

naprawić.

– Brent... – Wzdycha. – To... Wow.

Przygryzam dolną wargę i kiwam głową.

– Och, jest jeszcze coś. – Otwieram pudełeczko leżące na stole

i podchodzę do niej.

– Masz dla mnie bukietek? – W jej głosie słychać rozbawienie.

– Tak. – Przypinam jej czerwone różyczki przy piersi. – Jako

nastolatek zapewne dałbym ci coś z gumką na rękę, ponieważ

wstydzilibym się przypiąć to tutaj. – Palcami gładzę miękką skórę ponad sukienką. – Ale teraz jestem dorosły, więc bukietek na agrafce bardziej do mnie przemawia. – Po zamocowaniu głaszczę jej ramię, wywołując

tym dreszcz. – A w dodatku mogę dotknąć twojej piersi.

Dźwięk jej śmiechu rozchodzi się po ogrodzie i ogrzewa mi serce.

Kennedy przechyla głowę, gdy zmienia się utwór. To *Photograph* Eda Sheerana. Uśmiech mojej towarzyszki staje się szerszy.

– Uwielbiam tę piosenkę.

Unoszę jedno ramię.

– Mnie się na początku nie podobała. W radiu puszczała ją na

okrągło, przez co mnie wkurzała. – Patrzę jej prosto w oczy. – Ale

ostatnio bardzo ją lubię. Przypomina mi o tobie. O nas.

Powoli kiwa głową i bierze mnie za rękę.

– Zatańcz ze mną, Brent.

– Myślałem, że nigdy nie poprosisz.

Obejmuję ją i przyciągam do siebie. Naśladuję jej niewielkie kroki, choć przeważnie po prostu się kołyszymy. Kennedy opiera policzek na kłapie mojego smokingu, więc całuję ją w czubek głowy.



– Pięknie wyglądasz – mówię, chociaż przyciskający się do niej namiot w spodniach prawdopodobnie dał jej wcześniej jakąś podpowiedź.

– Dziękuję. – Unosi głowę i patrzy mi w twarz. – Dziękuję, że to zrobiłeś. To jak... Sen stający się jawą.

Nim pochylam głowę, by ją pocałować, dotykam kciukiem jej policzka, mówiąc:

– Tak, rzeczywiście.

Tydzień później Kennedy dzwoni przed południem do mojego gabinetu.

– Hej, przyjdiesz do mnie wieczorem, prawda?

Nigdy nie widziała oryginalnej *Ucieczki z Nowego Jorku* –

kultowego klasyka i mojego ulubionego filmu. Zgodziła się na wieczór ze Snake'em Plisskenem.

Rozsiadam się w fotelu.

– Wataha wściekłych psów by mnie nie powstrzymała.

– Okej, dobrze. Potrzebuję twojego kija do lacrosse. I to bardzo.

Odpowiedź zajmuje mi dłuższą chwilę.



– Czy to jest jakaś ksywka dla mojego fiuta?

Jej śmiech rozbrzmiewa w słuchawce.

– Nie, to oznacza, że na strychu mam nietoperza i potrzebuję twojego kija, by go złapać.

Siadam prosto, starając się zrozumieć to niedorzeczne stwierdzenie.

– Na twoim strychu jest nietoperz?

– Tak.

– I uważasz, że złapiesz go kijem do lacrosse?



– To właśnie powiedziałam.

– Dobra, Kennedy, pozwól, że ci wytłumaczę: jesteś piękna, mądra i utalentowana w wielu dziedzinach, ale nie masz pojęcia o lacrosse.

Widziałem, jak grasz. Kijem do lacrosse nie złapałabyś piłki do koszykówki, gdyby nie była przywiązana do ziemi.

Praktycznie słyszę, jak przewraca oczami.

– Ale muszę go złapać. Dzwoniłam do dwóch firm zajmujących się deratyzacją i innymi takimi, ale w obu usłyszałam, że go zabijają.

Nietoperze to nieszkodliwe stworzenia, co noc pożerają tyle robactwa, ile same ważą. Nie chcę go zabijać, chcę jedynie, by wyniósł się z mojego strychu.

– Zatem dobrze, że mam dwa kije do lacrosse. Złapiemy go razem.

Słyszę jej śmiech.

– Miałam nadzieję, że to powiesz.

Dzierżąc kije, zjawiam się u Kennedy przed zmrokiem, byśmy byli

na miejscu, gdy pokaże się ten latający szczur. Kiwam głową agentowi siedzącemu w nieoznakowanym

samochodzie przed jej domem, po czym

podchodzę do drzwi i wchodzę bez pukania.

Mamy to już za sobą.

Znajduję ją na kanapie, wyciągniętą na brzuchu – dzięki czemu

mam widok na jej jędrny tyłeczek odziany w małe spodenki do biegania

– głaszczącą i mówiącą do kota Jaspera. Zaczynam podejrzewać, że jest on demonicznym pomiotem Mefista, złego władcy piekieł ze świata

Marvela.

– Kto jest słodką kicią? – grucha. – Jaki śliczny kociaczek.

– Jego właścicielka jeszcze ładniejsza – mówię z uśmiechem.

Kennedy przewraca się na bok, by na mnie spojrzeć.

– Ha, ha.

– Nie żartuję. – Unoszę kije. – Gotowa do boju?

Wstaje z kanapy.

– Tak. – Bierze kask futbolowy z logo Yale leżący na stole

i zakłada go na głowę. – Gotowa.

Wygląda tak uroczo, że mój fiut się podnosi, bo też chce zobaczyć.

– Fajny kask. Spotykałaś się z jakimś futbolistą, o którym

zapomniałaś mi powiedzieć?

Uśmiecha się.

– Nie. To część kostiumu na Halloween z trzeciego roku studiów.

– Mhm... – Zaczynam myśleć o strojach, właściwie o Kennedy

w różnych przebraniach. – Masz może kostium cheerleaderki?

Kręci głową.

– Ale rok później byłam Supergirl.

Mój umysł eksploduje.

Przygryzam pięść na wyobrażenie jej szczupłego, idealnego

małego ciała owiniętego niebieską lycrą, w małych – miejmy nadzieję z dziurą w kroku – czerwonych majteczkach oraz z satynową czerwoną peleryną kołyszącą się na jej plecach.

Nie można zapominać o pelerynie.

– Dlaczego, u diabła, mówisz mi o tym dopiero teraz? – narzekam.

– Nadal go masz?

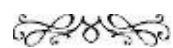
Jej uśmiech jest leniwy i kuszący.

– Tak. Jest na strychu.

Po złapaniu nietoperza zamierzam go wycalować.

Godzinę później, po ciosie Kennedy, przy którym kij o włos minął się z moją głową, a dzięki któremu z pewnością skończyłbym nieprzytomny, mamy małego brzydala zamkniętego w kartonowym pudełku. Po zmroku zawozimy do nad Tidal Basin i wypuszczamy na wolność.

Po całej operacji wracamy do Kennedy, gdzie posuwam Supergirl przewieszoną przez oparcie kanapy w salonie. Dwa razy.



W następnym tygodniu Kennedy mocno pochłonięta jest przygotowaniami do ponownej rozprawy Moriottiego. Spędzamy wspólnie kilka godzin – wskakuje do mojego łóżka po północy, ja za to ofiaruję jej kolację, jak i własnego fiuta w jej gabinecie. W końcu w sobotę zgadza się odłożyć pracę i pojechać ze mną wieczorem do rodzinnej posiadłości nad Potomakiem. Rodzice spędzają weekend w domu nad jeziorem w Saratodze, więc będziemy mieć całą willę dla siebie.

Nie mogę się doczekać, aż znajdzie się w domu mojego

dzieciństwa, by spełnić każdą sprośną fantazję w każdym z jego pokoi.

A jest ich wiele w tym domu. Jedziemy moim kabrioletem

z opuszczonym dachem, słońce świeci, moja dłoń spoczywa na jej udzie, a Tom Petty rozbrzmiewa z głośników.

Henderson, lokaj moich rodziców, wita nas ciepło niczym wujek.

Zajmuje się naszymi bagażami, więc bierzemy łódź, by popływać po

rzece. Żeglujemy dłuższą chwilę, po czym kotwiczymy i całe popołudnie opalamy się i łowimy ryby. Woda jest cholernie zimna, ale słońce mocno grzeje, gdy wychodzimy na brzeg. Rozkładamy koc na piasku,

a następnie, bo jesteśmy całkowicie nadzy, rozgrzewamy się... w inny

sposób.

Jej skóra pachnie kokosami – przez olejek do opalania. Nagie ciało

wokół jej cipki jest gładkie i smakuje lekko słono. Kiedy wkładam w nią palce, jej kolana grzęzną w piasku po obu stronach mojej głowy.

Kennedy leży na mnie, jej blond czupryna znajduje się w moim kroku,

jej usta ślizgają się w górę i w dół mojego fiuta, jednocześnie go ssąc.

Chwytam ją za tyłek i przyciągam do siebie, chcąc, by moje usta miały pełny kontakt z jej szparką. Krew szumi mi w uszach niczym wodospad, czuję się lekko pijany. Pracuję nad nią – ssę i całuję, pocieram twarzą

i liżę jej łechtaczkę. Kennedy mruczy wokół mnie, aż moje biodra samoistnie się szarpią.

Jest blisko. Wiem to ze sposobu, w jaki dziko się o mnie ociera,

tracąc wszelakie zahamowania i zmysły. Szuka, bada, dba jedynie

o wzrastające uczucie, które żąda uwolnienia. Ściskam jej pośladki

i palcem wodzę po szczelinie pomiędzy nimi – ślizgając się i drocząc.

Pewnego dnia mi na to pozwoli i będzie to cholernie wspaniałe.

Jednak jeśli ma być dobry, seks analny wymaga większego

przygotowania niż ta wycieczka. Zamiast tego wsuwam jeden palec w jej tylną dziurkę, jednocześnie pocierając płasko i mocno językiem jej

łechtaczkę.

Orgazm wybucha w niej niczym bomba, jej niekończący się jęk rozchodzi się głęboko w moich trzewiach.

Opada z sił i leży na mnie bezwładnie. I chociaż ma fantastyczne wargi, to jeszcze nie wspiąłem się na szczyt. Mam inne plany.

Obracam nas na bok i zmieniam pozycję tak, że moja pierś przyciska się do jej śliskich pleców. Przyciągając jej miednicę do siebie, unoszę jej nogę i błyskawicznie wsuwam się w nią. Kennedy kładzie

głowę na kocu, gdy się w nią wbijam, ustami pieszcząc jej kark i ramię.

Całuję, liżę, ssę jej miękką skórę. Drapię podbródkiem i zębami, powstrzymując się jednak od gryzienia. Z mojego gardła dobiega warkot. Będąc w niej głęboko, wyciągam wolną rękę i pocieram czułą łechtaczkę, głaszczę jej brzuch i ściskam aksamitne piersi.

Orgazm w końcu przedziera się przeze mnie, a rozkosz jest tak wielka – tak intensywna – że tracę kontrolę nad swoim ciałem.

I słowami.

– O, jak dobrze. Uwielbiam to... Chryste, cholernie cię kocham...

Kiedy odzyskuję panowanie nad ciałem, opieram czoło na łopatkę

Kennedy, która się do mnie tuli. Jednak gdy moje serce zwalnia bieg, kobieta sztywnieje. Spina się.

I odsuwa.

*Cholera.*

Podnoszę się na łokciu i obracam ją, by była na plecach i patrzyła tylko na mnie.

– Hej.

Uśmiecha się, ale to wymuszone.

– Hej.

Mój głos jest głębszy. Bardziej ochrypły.

– Wszystko dobrze?

– Tak.

Ale jej nie wierzę.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówi, po czym lekko ściąga brwi.

– To przez to, jak teraz wyglądam?

– Co? – Szczerze nie wiem, o czym ona, do diabła, mówi.

– Dlatego mnie pragniesz? Dlatego jestem tutaj?

Krzywię się.

– Nie. Oczywiście, że nie. – Wodzę wzrokiem po jej znajomych

rysach twarzy, przypominając sobie, jak wyglądała, gdy miała dziewięć czy trzynaście lat i każdego roku, kiedy ją widywałem, aż do teraz. –

Jesteś moją przyjaciółką, zawsze uważałem cię za zabawną, wspaniałą dziewczynę, a kiedy byliśmy starsi, sądziłem, że jesteś cholernie urocza.

Nawet gdy ukrywałaś się za okularami i pod wielkimi swetrami, uważałem, że jesteś ładna. Kiedy zaczął mi regularnie stawać, widok twojego aparatu na zęby trochę mnie przerażał, jednak nigdy nie zmniejszył mojego napalenia.

Wygląda, jakby się zastanawiała. Nie jest zadowolona z tego

wyznania, nie widzę w niej ulgi, jakiej się spodziewałem. Siada, więc również to robię, opierając łokcie na ugiętych kolanach – mój fiut leży wyczerpany na moim udzie.

Kennedy spogląda na wodę.

– Pamiętasz ostatni tydzień lata, tuż przed rozpoczęciem trzeciej

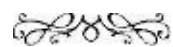
klasy szkoły średniej, kiedy przywiozłeś tutaj kilku chłopaków z drużyny lacrosse na weekend? Byli w grupie kumpli Cashmere.

Dłuższą chwilę zajmuje mi odnalezienie zamglonego wspomnienia.

– Tak?

– Nie wiedziałam, że są u ciebie, więc przyszedłam zapytać, czy spędzimy razem czas. Wszyscy byliście w basenie. Stałam na tylnym patio, ale nikt z was mnie nie widział. Rozmawialiście o dziewczynach... o mnie.

Żołądek mi się ściska, przez co zamykam oczy. Teraz pamiętam.



– Mówili, że jestem dziwna. Że dziwnie pachnę...

Natychmiast na nią spoglądam.

– Wcale nie.

Jej głos jest cichszy niż szept:

– I mówili, że jestem brzydka. Że musieliby ubrać mi worek na głowę, gdyby chcieli...

– Kennedy... – błagam.

Mam ochotę coś zabić. Coś rozszarpać. Chcę sięgnąć do jej głowy i zetrzeć te wspomnienia, by już nigdy o tym nie myślała.

– Zaraz potem wyszłam.

Chwytam ją za ramię.

– Byli palantami. Głupimi, okrutnymi, małymi fiutkami. Ja nic takiego nie mówiłam.

– Tak, wiem, że nie mówiłaś. – Jej głos staje się ostrzejszy. –

Nigdy nic nie powiedziałaś. Po ich wyjeździe przyszedłaś do mnie i zachowywałaś się... normalnie. Ponieważ byłam na tyle dobra, by być twoją przyjaciółką, przynajmniej póki nikt cię ze mną nie widział.

Mogę jedynie na nią patrzeć. Wyciągam słowa ze swojego wnętrza i ofiarowuję jej:

– Przepraszam. Przepraszam, że cię zraniłem. Byłem kretynem

i tchórzem, pozwalając im tak mówić. Ale cię lubiłem. Blondynka czy

brunetka, w eleganckich ubraniach czy w worku na śmieci, chciałem być blisko ciebie. Nawet wtedy.

Spuszcza głowę, ale chwytam ją za podbródek.

– Gdybym mógł cofnąć się w czasie i to zmienić, zrobiłbym to.

Jednak teraz jesteśmy tutaj. Poszliśmy naprzód. Kocham cię. A jeśli

potrzebujesz chwili, by to zrozumieć, by pojąć to sercem, poczekam.

Ponieważ jesteś tego warta. Zawsze byłaś.

Znów jest między nami dobrze, gdy wchodzimy do domu

rodziców, trzymając się za ręce, udając się prosto do mojego pokoju pod prysznic.

Aż w połowie foyer stajemy jak wryci.

Ponieważ na jego środku, wpatrując się w nasze złączone dłonie

jak w jakiś żywy cud, stoi moja matka.

– Witaj, kochanie! – Gdyby jej uśmiech był jeszcze większy, jej

twarz pękłaby na pół. – Kennedy, moja droga, co za wielka przyjemność mogąc cię znów widzieć. Tutaj. Z Brentem.

– Witam, pani Mason. Również miło mi panią spotkać.

Następuje wymiana uścisków i pocałunków.

Staram się usilnie, by w moim głosie nie pobrzmiwało

rozczarowanie, jakie czuję:

– Co tu robisz, mamó? Myślałem, że będziecie na Saratodze.

– Odezwały się plecy twojego ojca, więc musieliśmy wrócić do domu.

W tej właśnie chwili tata przechodzi przez otwarte drzwi biblioteki, rozmawiając przez telefon, a jego plecy wydają się być w świetnej

kondycji.



Mrużę oczy i patrzę na Hendersona, wyczuwając zdradę.

– Mieliście udany dzień? – pyta mama.

– Tak, było super – mówię. – Pływaliśmy po rzece. Właśnie szliśmy wziąć prysznic.

To tyle, jeśli chodzi o łodzika w sali balowej.

– Dobrze – chwali miękko. – W razie gdybyście planowali inne akcje, myślę, że najlepiej będzie, jeśli spędzicie noc w pokoju Brenta.

I korzystajcie również z jego łazienki, bo niestety inne pokoje w domu nie są przygotowane dla gości.

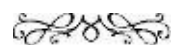
Biedny Henderson wygląda na obrażonego.

– Najmocniej przepraszam, ale...

Matka macha ręką, uciszając go.

– Nie są przygotowane, Hendersonie. Kropka.

Zaczyna mnie przerażać. Prawda, że chcę przelecieć Kennedy na dziesięć różnych sposobów, ale wyobrażanie sobie matki kibicującej



nam z bocznej ławki z flagą w jednej ręce i konfetti w drugiej jest po prostu złe.

– Okej. Dzięki, mammo.

Prowadzę Kennedy na górę, ale po dwuminutowym pobycie

w pokoju jej telefon daje znać o nadejściu wiadomości.

Kobieta siada na skraju łóżka, czytając ją. Siedząc na obrotowym

fotelu przy biurku, stukam się w skronie niczym medium.

– Czekaj, nie mów. Moja matka nie mogła się powstrzymać, by nie powiedzieć twojej matce, gdzie jesteśmy, a to wiadomość od niej.

I zostaliśmy wezwani wieczorem na kolację.

Kennedy wzdycha i pokazuje mi telefon.

– Powinieneś występować w Vegas, byłbyś gwoździem programu.

Opada plecami na moje łóżko i prosto w sufit wypuszcza głośny, sfrustrowany oddech.

Kolacja u Randolphów to poważna sprawa. Mężczyźni muszą założyć garnitury, kobiety suknie koktajlowe. Trzymam u rodziców odpowiedni strój, mama pożycza Kennedy małą czarną sukienkę, kupioną wiele lat temu w Paryżu. Na zawsze będę wdzięczny, że wciąż ma metki – matka nigdy jej nie nosiła. W przeciwnym razie potężna erekcja wywołana widokiem ubranej w nią Kennedy byłaby po prostu dziwna.

Stół w jadalni jest wystarczająco długi, żeby pomieścić trzydzieści osób i pełną zastawę. Bez klasycznej muzyki przygrywającej w tle pomieszczenie byłoby krępująco cicho podczas pierwszych chwil. Ponieważ nasi rodzice nic nie mówią – tylko się nam przyglądają. Wyczekująco.

W końcu ojciec Kennedy próbuje nawiązać normalną rozmowę:

– Jak idzie twoja sprawa z Nevady, księżniczko?

Ściągam brwi, patrząc na nią, i szepczę:

– Tak cię nazywa? Dlaczego on może to robić, a ja nie?

– Nie teraz, Brent.

Odpuszczam niechętnie, ale może być pewna, że później do tego wrócę. Nawet gdybym miał przywiązać ją do łóżka, a dyskusja nie dobiegłaby końca. Chociaż możliwe, że szukam tylko wymówki, by przywiązać ją do łóżka.

– Dobrze. Jestem pewna, że będę w stanie wywalczyć ponownie

skazanie.

Mitzy chrząka, sygnalizując, że kurtuazyjna część rozmowy dobiegła końca i teraz rozpocznie się przesłuchanie.

– To bardzo dobrze, Kennedy, ale czy jest coś, co chciałabyś nam powiedzieć? Zakomunikować może o czymś, podzielić się informacjami?

Kennedy mruga jak mała lalka.

– Nie, nic mi nie przychodzi do głowy.

Mitzy rzuca lnianą serwetkę, mruży oczy i patrzy na córkę niczym groźny jastrząb.

– Byłam na przyjęciu Prince’a, młoda damo. Widziałam jak po tandetnych oświadczeniach Davida Brent cię wyniósł. Chciałabym więc wiedzieć – jak i prawdopodobnie wszyscy tu zebrani – co się dokładnie między wami dzieje?

Ten stanowczy sposób przepytывania jest znany w rodzinie

Kennedy. Mitzy Randolph byłaby świetnym prawnikiem.

– Jesteśmy z Brentem... przyjaciółmi.

I, cholera, korzyści płynące z tej przyjaźni są fantastyczne.

Mitzy prycha:

– Nie bądź taka skromna, Kennedy, nie jesteś w tym dobra.

Już rozumiem, dlaczego córka nie chce rozmawiać o tym z matką.

To zdanie niczym cytata z oryginalnej bajki o Kopciuszku. Dziewczyna szyje różową sukienkę od podstaw, a jej wredne przyrodnie siostry rozrywają ją na strzępy. Odkąd pamiętam, nie ma ani jednego aspektu życia Kennedy, którego Mitzy nie chciałaby rozerwać.

Ale to co innego. Kennedy ma teraz mnie.

Również rzucam serwetkę, sięgam przez stół i biorę Kennedy za rękę.

– Prawda jest taka, pani Randolph, że się spotykamy. Chcemy zobaczyć, jak nam się ułoży... Cieszymy się swoim towarzystwem.

A poza tym to naprawdę nie pani interes.

Kennedy przygląda mi się, jakbym był księciem, który obudził ją właśnie pocałunkiem, znalazł jej szklany pantofelek, wziął ją na latający dywan i pokonał złą wiedźmę.

Zatracamy się w tej chwili, patrząc sobie w oczy.

Aż moja matka piszczy tak głośno, że dziwię się, iż nie pękają kieliszki poustawiane na stole. Do tego klaszcze.

– Miałaś rację, Mitzy! Miałaś całkowitą rację.

– Mówiłam ci, Kitty. Tak jak planowałyśmy!

Kennedy marszczy brwi.

– Co znaczy „tak, jak planowałyśmy”?

Niczym złoczyńca z komiksu o Batmanie Mitzy wyjawia swój przebiegły plan:

– Masz trzydzieści dwa lata, najwyraźniej sama nie znalazłabyś sobie męża. Wiedziałyśmy o tym z Kitty, więc zorganizowałyśmy wasze spotkanie, żeby popchnąć akcję. I spójrzcie tylko, jak się pięknie udało.

– Niczego nie organizowałyście, mamó. Spotkaliśmy się z Brentem na przyjęciu, w dodatku zostaliśmy przydzieleni do tego samego procesu.

Mitzy unosi idealne brwi.

– A kto ściągnął cię do domu, byś mogła być na tym przyjęciu i popracować nad swoim małym procesem?

Szczęka Kennedy uderza o podłogę.

– Powiedziałaś, że ojciec jest chory! Mówiłaś, że musi przejść badania!

– To tylko środki prowadzące do celu, kochanie.

Oburzone brązowe spojrzenie ląduje na ojcu.

– Miałaś butlę z tlenem, kiedy cię odwiedzałam! I te... –

Żywiołowo gestykułuje przed twarzą. – ...te rurki w nosie!

– To była butla ciotki Edny – wyjaśnia matka, zupełnie nie pomagając.

Ojciec przynajmniej ma na tyle rozumu, by okazywać zawstydzenie – choć zaledwie niewielkie.

– Chciałem, byś była szczęśliwa, księżniczko.

Do dyskusji dołącza moja matka:

– Wiesz, w jakiej sprawie nie mogę podjąć decyzji, Mitzy?

– W jakiej, Kitty?

– Czy ma być to lato czy jesień. Czerwiec jest najbardziej

klasyczny, ale będą groziły nam burze. Nie interesuje mnie przesąd, iż deszcz w dniu ślubu wróży szczęście. Nie ma nic szczęśliwego w błocie i mokrej sukni.

– To zależy od lokalizacji – mówi Mitzy. – Lokalizacja to sprawa kluczowa. Nie chcę miasta. Może Palm Beach?

– Mamo... – warczy Kennedy.

– Chociaż w Palm Beach jest okropnie wilgotno. Jednak zdecydowanie ma być na świeżym powietrzu. Białe namioty, zielone wzgórze, zachód słońca...

Kennedy wstaje.

– Mamo...

– I białe kwiaty! – rzuca Mitzy. – Ale nie lilie, przywiodzą mi na myśl pogrzeb.

Kennedy zaczyna tupać.

– Mamo!

Mitzy gdaka jak niezadowolona kwoka.

– Naprawdę, Kennedy?! Co w ciebie wstąpiło? Czy tak powinna się zachowywać przyszła panna młoda?

– Nie zrobisz tego! Nie ty będziesz decydować!

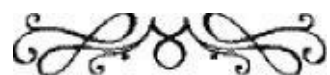
– Ścisz głos. Od krzyku popękają ci naczynka krwionośne, a przy twojej cerze naprawdę nie możesz sobie na to pozwolić.

– Sami podejmiemy decyzję, a ty nie będziesz miała nic do powiedzenia w tej sprawie, mamo! Jeśli zechcemy pobrać się na Tahiti, zrobimy to!

Mitzy macha lekceważąco ręką na córkę.

– Tak, tak, dobrze, kochanie. – Następnie odwraca się do mojej matki i pyta, kto zaprojektował suknię ślubną Ivanki Trump.

– Właściwie – syczy Kennedy pod nosem – zrobimy dokładnie tak.



Pobierzemy się na Tahiti. – Uderza pięścią w stół. – W barze!

– To oświadczyny? To takie niespodziewane. – Zerkam na nią, jakbym był zaskoczony, po czym kiwam głową. – Przyjmuję je.

– Nago! – krzyczy Kennedy do matki, grożąc palcem. – I nie zrobimy żadnych zdjęć!

– Jeśli będziemy nadzy, musimy robić zdjęcia – nalegam. – I nagrać film.

Jednak nasze matki nie przestają trajkotać. Równie dobrze

mogłoby już nas nie być w jadalni, co jest najlepszym pomysłem tego wieczoru.

Wstaję i biorę ją za rękę.

– Chodź.

Z początku mi się opiera, więc muszę ją ciągnąć.

– Nie przeszkadza ci to? – pyta z wyrzutem, wskazując na naszych rodziców, którzy nawet nie zauważają naszego wyjścia. Pograżeni są w poważnej dyskusji.

O nas.

– Nie, nie przeszkadza.

– Dlaczego? Jak mogą...

Przerywam jej głębokim pocałunkiem – jedną rękę trzymając na jej karku, drugą na plecach – przyciągając ją do siebie. Następnie mówię:

– Niech się bawią. Niech rozmawiają i planują. Kiedy przyjdzie czas i tak zrobimy, co będziemy chcieli.

Prowadzę ją w kierunku drzwi.

– A teraz chodźmy się przejść. Możesz mi pokazać szopę na łodzie.

– Czy jest w tym podtekst?

Jestem zaskoczony, że w ogóle musi pytać.

– Oczywiście.

Moi rodzice są w zarządach kilku organizacji charytatywnych, instytucji i stowarzyszeń, których cele są bliskie ich sercom – dokarmianie dzieci trzeciego świata, dostarczanie iPadów do szkół miejskich, ochrona zagrożonych roślin w lasach deszczowych. Bale charytatywne – eleganckie przyjęcia, które ściągają darczyńców dla tych akcji – są na porządku dziennym. Czasami rodzice zmuszają mnie do uczestnictwa w nich, bym reprezentował Fundację Masonów.

Właśnie z tego powodu w czwartkowy wieczór przechodzimy z Kennedy przez łukowate drzwi Instytutu Smithsonian, uczestnicząc w gali na rzecz wspierania tworzenia zbiorników wody pitnej w Afryce.

Pomieszczenie oświetlone jest chłodnymi, strategicznie rozmieszczonymi pomarańczowymi wiązkami światła, przy suficie przyczepione są udrapowane jasne tkaniny. Słysząc nieustający szum rozmów i śmiechu, a także dzwonienie kieliszków z szampanem, gdy dżentelmeni w smokingach i damy z biżuterią cieszą się swoim towarzystwem.

Kennedy wygląda zjawiskowo w krótkiej, obcisłej lodowobłękitnej sukience z jednym ramiączkiem, które daje złudne wrażenie, że odzienie w każdej chwili może się z niej ześlizgnąć. Później mam zamiar sprawdzić tę teorię. Popijamy z kieliszków, rozmawiając z organizatorem i gospodarzem wieczoru Calvinem Van Der Woodsenem, starym znajomym ojca.

Chwilę później Calvin zostaje poproszony do kuchni, ponieważ brakuje fioletowego jarmużu do dekoracji. Właśnie wtedy podchodzi do nas mój nieszczęsny kuzyn. – Witaj ponownie, kuzynku. Nie spodziewałem się, że cię tu dzisiaj



spotkam.

– Cześć, Louis. – Kiwam głową.

Przygląda się pożądliwie Kennedy.

– A kogóż my tu mamy?

– Kennedy Randolph, pamiętasz mojego kuzyna Louisa, prawda?

Kobieta krzywi się, jakby miała w ustach niedojrzałą cytrynę.

Biorę to za potwierdzenie.

– Randolph, co? Niegdyś chodziłem z twoją siostrą. Claire... –

przeciąga samogłoski w kiepski sposób. – Jesteś do niej podobna. Co

u niej?

Kennedy rzuca mu wymowne spojrzenie.

– Jest mężatką. Szczęśliwą mężatką.

– Szkoda. – Wskazuje na mnie palcem, rozlewając nieco szkockiej

na podłogę. – A mówiąc o małżeństwie, z tego co słyszałem, przyjdzie mi wygrać nasz zakład.

Cholera. Zapomniałem o tym.

Kennedy blednie, praktycznie czuję, jak jej serce gubi rytm.

– Zakład? – pyta szeptem.

– Tak. – Przytakuje Louis. – Dzięki tobie Brent będzie mi winny

wartą dziesięć tysięcy butelkę szkockiej. – Puszczą do niej oko. – Będę o tobie myślał, rozkoszując się każdym jej łykiem.

Kiedy odchodzi, Kennedy odwraca się do mnie. Przysuwam się,

sycząc jej wprost do ucha:

– Nie rób tego, nawet się, kurwa, nie waż. Był na przyjęciu

u moich rodziców i założył się ze mną, że matka wyswata mnie do końca tego roku. I tyle. Boże dopomóż, jeśli kłamię w tej sprawie,

własnoręcznie odetnę sobie drugą nogę.

Patrzę jej w twarz. Ma szeroko otwarte oczy, w których połyskuje niepewność. Kennedy najwyraźniej szuka potwierdzenia, którego nie mogę jej dać.

– Wierzysz mi?

Wydycha wolno powietrze.

– Chciałabym. Ale... jest mi ciężko.

Klnę pod nosem. Chwytam ją za ramię.

– Chodźmy.



W drodze do drzwi mijamy Calvina – mówię mu, że Kennedy ma migrenę i nie będziemy w stanie pozostać do końca wieczoru. Na zewnątrz szukam samochodu z Harrisonem za kierownicą, po czym macham, by podjechał. Pomagam Kennedy wsiąść na tylne siedzenie i wciskam guzik, który unosi przegrodę oddzielającą nas od kierowcy.

Przez chwilę siedzimy w ciszy.

W końcu moja towarzyszka mówi cicho:

– Proszę, nie złość się na mnie.

– Złościć się na ciebie? – Parskam śmiechem. – Kochanie, jestem

wściekły na swoje młodsze ja, chciałbym cofnąć się w czasie i skopać temu chłopakowi dupę. Jestem wkurzony na gościa, który namieszał ci

na studiach w głowie. Potrzebuję całej swojej siły, by nie zacząć go szukać, by nie dowiedzieć się, gdzie pracuje, kupić tę firmę i go

zniszczyć. – Obejmuję jej twarz i dodaję ciszej: – Ale nigdy nie

złościłbym się na ciebie. Nie w takiej sprawie.

Ściąga brwi.

– Dlaczego więc wyszliśmy? Gdzie jedziemy?

– Nie ufasz mi, więc wracamy do mnie, gdzie będziemy się

kochać, aż to zrobisz.

Świetny plan, prawda? Też tak uważam.

W jej złotych oczach pojawia się żar.

– To... może trochę potrwać.

– W takim razie dobrze, że mam wyśmienitą kondycję. Będziemy się pieprzyć, aż mi zaufasz, albo oboje umrzemy z głodu. Postanowione.

Wytyka z ekscytacją:

– Harrison nigdy nie pozwoliłby, byśmy umarli z głodu.

Puszczam do niej oko.

– Otóż to.

Dwa dni później Kennedy wciąż jest u mnie. Gdy ją budzę,

stwierdza, że jeśli przeżyje choćby jeszcze jeden orgazm – nawet

małutki – padnie trupem. Lituję się więc nad nią i idę pobiegać. Po

powrocie znajduję ją zwiniętą na szeszlengu w salonie, ubraną w moje

kraciaste niebiesko-białe bokserki i koszulkę z Zieloną Latarnią. Jej miękkie włosy nakrywają jej ramię, gdy odwraca stronę w teczce

z dokumentami i popija kawę.

Ciepło rozkwita w mojej piersi i spływa ramionami, aż czuję

w palcach mrowienie. Ponieważ to takie dobre. Co mówił Waldo

o związkach? Satysfakcja. Kennedy w moim domu, ubrana w moje

ciuchy – to więcej niż satysfakcjonujące. To cholerne szczęście.

Entuzjastyczne spełnienie w sposób, którego nawet nie umiem opisać.

Wciąż chcę wieść nieskrępowane życie, ale tylko z nią.

Kennedy musi wyczuwać, że się jej przyglądam, ponieważ unosi

głowę.

– Wszystko w porządku?

Przytakuję, uśmiechając się leniwie.

– Tak, wszystko idealnie.

Przechodząc, całuję ją w czubek głowy i udaję się na górę pod prysznic. Kiedy wychodzę przewiązany jedynie ręcznikiem, słyszę dobiegające z dołu głosy. Jeden z pewnością należy do Kennedy, ale drugi jest zbyt głęboki, by należał do Harrisona. Ociekający wodą schodzę po schodach, nasłuchując.

– ...znasz jego rodzinę, ale musisz zrozumieć, że my też do niej należymy. Nie napieprz mu w głowie.

To Jake – rozmawia z Kennedy w salonie. Nie grozi jej, nigdy by tego nie zrobił. Jednak potrafi tak wyłożyć swoje racje, by najprostsze zdanie brzmiało jak ostrzeżenie.

– Myśli pan, że mogę to zrobić, panie Becker? Napieprzyć Brentowi w głowie? – mówi niemal zaskoczona Kennedy.

– Wnosząc po sposobie, w jaki zmienił się w ciągu ostatnich tygodni? Absolutnie.

Następuje chwila milczenia, wyobrażam sobie jej minę, jej postawę. Prawdopodobnie mruży oczy, krzyżuje ręce na piersi i wypycha biodro w bok – jak robi to w sądzie, gdy przesłuchuje oponenta.

– Jesteś wobec niego bardzo opiekuńczy, prawda?

– Tak – odpowiada prosto z mostu i bez wahania Jake.

Następnie Kennedy zaczyna się bronić. Może nawet jest obrażona... w moim imieniu.

– Dlaczego? On tego nie potrzebuje. Sam świetnie potrafi o siebie zadbać. Myślę, że twoja protekcyjnalna postawa w pomaganiu...

Przerywa jej głęboki śmiech Jake'a.

– Jestem świadom, że Brent jest w stanie doskonale poradzić sobie z własnym gównem. Nie o to chodzi.

– Więc o co?

Teraz Jake milczy. Wiem, że analizuje sytuację, uważnie dobiera słowa, by skutecznie podkreślić swoje stanowisko.

– Nigdy nie miałem braci... przynajmniej póki nie poznałem Brenta i Stantona.

Właśnie wtedy postanawiam się ujawnić. Wchodzę z korytarza do salonu, wciąż owinięty ręcznikiem. Czego Jake wydaje się nie doceniać.

– Jezu, wolałbym nie zostać przypadkowo oślepiony widokiem twoich klejnotów. Może zrzucisz coś na siebie, co?

Wzruszam ramionami, po czym obejmuję Kennedy.

– W tej chwili ubrania są bez sensu. Co cię tu sprowadza, wielkoludzie?

Unosi ciemne brwi, a w jego stalowoszarych oczach błyszczy nagana.

– Dzwoniłem. Telefon ci padł?

Drocę się:

– Mamusiu, wyglądasz inaczej. Zmieniłaś fryzurę?

Pokazuje mi środkowy palec.

Daję mu więc poważne wyjaśnienie:

– Byłem zajęty. Miało miejsce wiele seksu.

Kennedy szczypie mnie w pierś – i to cholernie boli.

Chociaż wyraz twarzy Jake'a pozostaje pusty.

– Gratulacje.

Unoszę brwi.



– To co tam? Dlaczego dzwoniłeś?

W tym tygodniu rzadko widywałem go w firmie. Wiele czasu

spędzał w sądzie, pracując nad procesem o morderstwo. Naprawdę się do niego przykładał, ponieważ szczerze wierzył, że jego klient jest

niewinny. To luksus, którego nieczęsto doświadczamy.

– Po południu urządzamy grilla. Jesteś zaproszony – mówi, po

czym zwraca się ze swoim niezwykle rzadkim uroczym uśmiechem do

Kennedy. – Ty też jesteś zaproszona.

Jedziemy do Jake’a i Chelsea na grilla. Ich dom jest świetnym

miejscem na takie okazje, ma basen, piękny ogród i polową kuchnię,

którą dobudował Jake.

Sofia uśmiecha się ciepło do Kennedy, więź między prawniczkami

natychmiast przysłania niechęć, jaka powstała między nimi kilka tygodni wcześniej w sądzie. Fakt, że Kennedy jest tu dziś ze mną, że jest dla mnie ważna, prawdopodobnie również w tym pomaga.

Przedstawiam Kennedy gromadce McQuaidów, kręci jej się

pewnie w głowie do czasu, gdy przechodzę przez Riley, Rory’ego,

Raymonda, Rosaleen, Regan i docieram do najmłodszego, trzyletniego

Ronana.

Cieszymy się bezchmurnym niebem, ciepłym słońcem i kilkoma

piwami, aż Jake stawia na środku kraciastego biało-czerwonego obrusu talerz burgerów i hot dogów, więc wszyscy siadamy do jedzenia. Po

drugiej stronie stołu słychać rozmowy dzieci, Riley McQuaid siada

naprzeciwko mnie, choć na jej twarzy widać niezadowolenie.

Dziewczyna posyła Jake’owi ostre spojrzenie niebieskich,

nieszczęśliwych oczu. Pomiędzy nastolatką a jej opiekunem panuje

wymowna cisza – atmosfera jest gęsta i ciężka.

Zatem, oczywiście, muszę zapytać, o co chodzi.

– Wszystko dobrze? – pytam, zerkając to na jedno, to na drugie.

Jake bierze kęs kanapki.

– Tak.

Riley mruży oczy.

– Jeśli uznać mieszkanie pod rządami faszystowskiego władcy

i dyktatora za dobre – w takim razie tak, oczywiście.

Jeden kącik ust Jake’a unosi się nieznacznie.

– Faszystowskiego? Uroczo.

Przysuwam się do Kennedy i szepczę:

– Zapowiada się obiecująco. – Unoszę głowę i patrzę na Riley. –

Myślałem, że przeszłaś już fazę nastoletniego buntu i weszłaś w okres odpowiedzialności i ciężkiej pracy. O co chodzi?

Riley i Jake milczą, dłuższą chwilę trwają w impasie.

Dopiero Chelsea wyjaśnia nieścisłości:

– Riley i Jake wczoraj się pokłócili. Zaprosiła przyjaciela.

Chłopaka. Do swojego pokoju. I zamknęła drzwi.

Teraz już wszystko jasne.

Zwracam się do Jake’a:

– Wpadłeś w szal?

Wzrusza ramionami, jego twarz nadal pozostaje bez wyrazu.

– Nie wpadłem w szal. Przyniosłem tylko wkrętarkę z garażu. I po problemie.

– Jak to? – Już się uśmiecham, czekając na coś, co z pewnością

będzie zabawne.

I nie jestem rozczarowany.

– Zdjął mi drzwi! – krzyczy Riley. – Nie mam drzwi! Mam szesnaście lat, mieszkam z piątką rodzeństwa i nie mam drzwi!

– Jak mówiłem, po problemie – stwierdza Jake.

– Wiesz, mam swoje prawa – ciągnie Riley.

Jake uśmiecha się cierpliwie.

– Tak, masz, a żadne nie obejmuje posiadania drzwi. Ani okna, jeśli już przy tym jesteśmy. Może zechcesz o tym pamiętać i przestać się rzucać?

Riley zaciska usta i milczy. Mogę się założyć, że w myślach pokazuje mu język albo, co bardziej prawdopodobne, środkowy palec.

Znam to uczucie.

– Przestań, Riley – mówi Stanton – nie zachowuj się tak. Mogło być gorzej.

– Nie wiem, w jaki sposób – mamrocze nastolatka, krzyżując ręce na piersi.

– Mogłabyś być Presley. – Stanton odnosi się do swojej

piętnastoletniej córki, która przez większość czasu mieszka ze swoją matką w Missisipi. Rozważa właśnie, którą z uczelni wybrać na

wschodzie kraju, prawdopodobnie jest tym niesłychanie podekscytowana.

Na twarzy Riley maluje się ciekawość.

– Pisałam do niej SMS-y, ale mi nie odpisała. Co u niej?

– Jest w pokoju bez Internetu, telewizji czy telefonu, gdzie spędzi

jeszcze trochę czasu. – Na jej pytające spojrzenie, wyjaśnia: – Wygląda na to, że próbowała skłonić Ethana Fortenbury’ego, by spróbował



wspiąć się po dębim rosnącym przed oknem jej sypialni.

Zauważam, że jedenastoletni Raymond mocno marszczy czoło.

Jake, jakby czytając mi w myślach, mówi Stantonowi:

– Wydajesz się zaskakująco spokojny w tym temacie.

Doświadczony ojciec nastolatki tylko macha ręką.

– Spodziewaliśmy się tego z Jenny od lat. Mieliśmy wszystko zaplanowane. Ten gówniarz Fortenbury przyszedł i zastał pod drzewem czekającą na niego Jenny. Ją i dubeltówkę.

Gwiżdżę.

Stanton puszcza oko do Riley.

– Także widzisz, kochana, zawsze może być gorzej.

Riley wzdycha i kręci głową.

– Nikt nas nie rozumie.

– Wręcz przeciwnie, księżniczko z Bel-Air, rozumie aż za dobrze.

Właśnie w tym tkwi twój problem – mówię z mądrością.

Wygląda na zdezorientowaną.

– Księżniczko, skąd?

Jęczę.

– Czuję się taki beznadziejnie stary. Dzięki, Riley.

Kennedy klepie mnie po rękę, w jej oczach błyszczą łzy.

– Jesteś stary. Dobrze, że w końcu zaczynasz to sobie uświadamiać. Częściej powinniśmy spędzać czas z tymi dziećmiakami.

To pierwszy raz, gdy odniosła się do naszej relacji, określając ją jako „my”. Związek. Para. Chociaż zabrzmiało to cholernie dziewczęco, podoba mi się dźwięk tego słowa pochodzący z jej ust.

– Powinniśmy, prawda?

Jej uśmiech trafia prosto do mojego wnętrza. Jest ciepły, seksowny, czuły i jednocześnie niegrzeczny.

– Tak, powinniśmy.

Patrzemy na siebie przez dłuższą chwilę w ten irytujący sposób,

w jaki robią to świeże pary, jakbyśmy zamknięci byli w prywatnej bańce pożądania. Przerywa nam mały Ronan McQuaid, rzucając:

– Tatuś.

Bez namysłu rzuca się na kolana Jake’a, wiedząc, że jest

bezpieczny, bo silne ręce zawsze go złapią.

– Na łącki, tatuś, na łącki! – nalega.

Nie wstając z miejsca, Jake chwyta małego pod rękę i podrzuca

wysoko nad głowę, po czym go chwyta, a dzieciak piszczy. Uśmiech

Jake’a jest tak szeroki, że odczuwam najdziwniejszą mieszanię

szczęścia i zazdrości, jaka kiedykolwiek ścisnęła mi klatkę piersiową.

Stawia malucha na ziemi, a ten odchodzi niezdarnie w stronę huśtawki.

Kończąc posiłek w rekordowym tempie, reszta dzieci idzie się bawić,

pozostawiając szóstkę staruszków przy stole.

Stanton pyta:

– Tatuś, co?

Jake zerka na Chelsea, a żar rozpala się w jego oczach, gdy chwyta

urocze spojrzenie kobiety przeznaczone tylko dla niego.

– Tak.

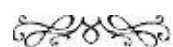
– Kiedy to się stało? – pytam.

Chelsea wkłada swoją małą dłoń w ogromną dłoń

Jake’a i wyjaśnia:

– W weekend Regan i Ronan zażądali rozmowy.

– Mówiła głównie Regan – wtrąca Jake – ale Ronan wiele kiwał głową.



Chelsea kontynuuje cicho:

– Stwierdzili, że wiedzą, że Robbie i Rachel byli ich rodzicami i że teraz są w niebie, ale ich nie pamiętają, przynajmniej nie tak jak reszta rodzeństwa. I mówili, że wszyscy ich znajomi mają mamusie i tatusiów...

Kiedy urywa, Jake kończy za nią:

– I poprosili, czy moglibyśmy być ich mamą i tatą.

– Wow – mruczy Stanton, a jego oczy promienieją czułością.

– Tak. – Wzdycha Chelsea.

– Płakałeś? – pytam Jake’a, ponieważ jestem na tyle męski, by

przyznać, że gdybym znalazł się na jego miejscu, z tą dwójką uroczych, anielskich twarzyczek wgapionych we mnie, straciłbym panowanie nad łzami.

– Byłem cholernie blisko – przyznaje.

Chelsea podnosi rękę.

– Ja ryczałam jak bóbr.

Przytakuję i szturcham wielkoluda łokciem.

– Więc już oficjalnie jesteś tatą?

Jego usta rozciągają się w powolnym, zawstydzonym uśmiechu.

– Chyba tak.

– Super, stary.

Kiwa głową.

– Naprawdę zajebiście.

Jakiś czas później Rory podbiega do czystego już stołu z wielką czerwoną piłką w rękach, a jego brat bliźniak Raymond depcze mu po piętach.

– Będziemy grać w kopanego. Chcecie dołączyć?

Trzymając rękę na ramionach Kennedy, odpowiadam:

– Ja się piszę. Jestem mistrzem w tej grze.

– Spoko.

Zwykle bardziej nieśmiały Raymond poprawia okulary i odważnie przygląda się seksownej dziewczynie siedzącej przy mnie.

– Chcesz być w mojej drużynie, Kennedy?

Kennedy się uśmiecha.

– Jasne.

Marszczę nos.

– Fuj, wybrałeś ją? Przecież jest dziewczyną. I kopie jak dziewczyna. Mówię z doświadczenia.

Raymond wzrusza ramionami.

– Jest od ciebie ładniejsza. A poza tym ty ją lubisz, więc pewnie nie będziesz się na niej wyżywał.

– Niezła strategia, Raymond.

– Zawsze chodzi o strategię.

Kennedy wstaje i bierze piłkę od Rory'ego, kręci nią w dłoniach i tymi swoimi przepięknymi oczami rzuca mi wyzwanie.

– Dzięki swoim dziewczęcym kopnięciom kiedyś cię pokonałam.

Drwię:

– Pozwoliłem ci wygrać. Nawet w wieku jedenastu lat byłem

dżentelmenem.

Śmieje się i pochyla, by mnie pocałować.

– A w wieku trzydziestu dwóch lat jesteś kłamczuchem.

Kiedy już mam pocałować ją w usta, Rory mi to uniemożliwia.

– Koleś, bez całowania. Wystarczająco często muszę powtarzać to

tej dwójce. – Wskazuje palcem na Jake’a i Chelsea, którzy nie wydają się ani trochę zażenowani.

Biedny dzieciak. Rzeczy, które musiał słyszeć z ich sypialni...

Zaraz wskazuje palcem na mnie.

– I musisz kopać jak należy. Żadnych bionicznych nóg.

Wzruszam ramionami.

– Dla mnie bez różnicy. – Zwracam się do Kennedy: – Ponieważ

jestem perfekcyjnym samcem, skopię ci tyłek i bez tego.

Mmm... kopanie tyłka może nie, ale klapsy... To dopiero pomysł.

Kennedy przewraca oczami. Od razu czuję, że mi staje.

– Też zagram – rzuca Sofia. – Uwielbiam grać w kopanego.

Rory podrywa głowę, krzywo patrząc na jej powiększający się

brzuch.

– Ześwirowałaś? Powinnaś uważać.

Stanton wyrzuca ręce w górę.

– Dziękuję! – Patrzy wymownie na żonę. – Nawet dziecko o tym

wie.

Ale Sofia nie daje się oszukać. Przygląda się uważniej Rory’emu.

– Stanton kazał ci to powiedzieć?

Rory się uśmiecha.

– Nie. Chociaż Jake zapłacił mi pięć dolców, by wpleść to

w rozmowę. Ale nawet gdyby tego nie zrobił i tak nie mogłabyś grać.

Nie będę kopał piłki w ciężarną kobietę.

Rosaleen biegnie przez patio, wyrywa piłkę z rąk Kennedy

i pociesza Sofię:

– Możesz być sędzią. – Ruchem głowy wskazuje na pięcioletnią

Regan. – Miej ją na oku, oszukuje.

Regan ściąga brwi i tupie w odpowiedzi.

Następnie Ronan podbiega niezdarnie do Rosaleen, uderzając

czołem w jej brzuch i sięgając po piłkę.

– Dać!

Rosaleen trzyma zabawkę z dala od jego zasięgu.

– Nie możesz grać, Ronan, jesteś za mały.

Jego piegowata twarz staje się czerwona ze złości.

– Dać!

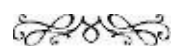
Jake bierze malca i sadza sobie na ramieniu.

– Chodź, koleżko, złapiemy arbuza.

Ale gdy Jake go niesie, chłopiec wyciąga się w kierunku piłki

i zawodzi żałośnie:

– Daaaaaać!



Zostajemy pokonani przez drużynę Raymonda i Kennedy. Nasza

drużyna gra w osłabionym składzie, gdy Riley musi odebrać „pilny”

telefon, a Regan zostaje zdyskwalifikowana za kłótnie z sędzią.

Mogłem dwukrotnie wyłączyć Kennedy z gry, ale kiedy mój

instykt współzawodnictwa i fiut stanęły naprzeciw siebie, wygrał fiut.

Oczywiście wiedział, że później zostanie wynagrodzony. A przyglądając się jej pupci w tych obcisłych spodenkach, gdy biegła między bazami, nie byłem w stanie tego przerwać.

Rory nazwał mnie palantem i miał rację.

Ale byłem palantem z wizją na seks, więc nic takiego się nie stało.

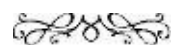
Trochę później, po tym, gdy wrzuciłem Kennedy do basenu, a ona próbowała mnie utopić, do tego dzieciaki powskakiwały do wody i rozegraliśmy zacięty mecz w Marco Polo, pożegnaliśmy się ze wszystkimi.

Parkuję na ulicy przed domem i gaszę silnik. Kennedy jest zmęczona, choć zadowolona, policzki i nos ma czerwone od wielogodzinnego przebywania na słońcu. Włosy ma związane w niechlujny kok na czubku głowy, ale kilka złotych pukli spływa na jej szyję.

Jej piękno jest niemal przerażające. Jest bardziej oszałamiająca, niż kiedy pierwszy raz zobaczyłem ją w czerwonej sukience, a naprawdę myślałem wtedy, że to niemożliwe.

– Nie zapytasz nawet, czy nie chcę jechać do domu? – pyta z uśmiechem, unosząc brew. – Trochę jesteś zarozumiała, wiesz?

– Wolę to widzieć jako dobre rozumowanie. – Wysiadam z auta, obchodzę je i otwieram jej drzwi. Bierze mnie za rękę, więc wciągam ją bezpośrednio w swoje ramiona. – Dodatkowo ty musisz się wykąpać, ja muszę się wykąpać, a panuje susza...



– W Kalifornii.

Bardzo powoli pochylam głowę i muskam ustami jej wargi – drocząc się.

– Wszyscy musimy oszczędzać wodę.

Czuję jej uśmiech.

– Mówisz jak wujek Jameson.

To mnie lekko dziwi. Z tego, co pamiętam, jej kontrowersyjny

wujek to połączenie generała Pattona i duetu muzycznego Cheech & Chong. Indywidualista, wojujący hipis, o którym naprawdę nie chcę

myśleć w trakcie całowania jej.

Odpuszczam żarty i wyznaję prawdę:

– Tak naprawdę w dupie mam oszczędzanie wody. – Wiodę nosem

po jej szyi, zarostem drapiąc czułą skórę obojczyka i wywołując u niej gęsią skórkę. Szepczę jej do ucha: – Chcę cię pieprzyć pod prysznicem, aż żadne z nas nie będzie mogło dłużej stać. – Językiem śledzę kształt jej ucha, przez co drży przy mnie. – To źle?

Odpowiada niepewnym głosem:

– Nie... nie brzmi to źle.

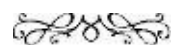
Obejmuję ją mocno i klepię w tyłek.

– No to chodźmy.

Następnego ranka budzą mnie miękkie usta wędrujące po mojej twarzy, ciepły oddech owiewający szyję i łaskotanie włosów na ramieniu.

Tym razem to na pewno nie kot.

Kennedy opiera głowę w zagłębieniu mojej szyi i zaciąga się moim zapachem. Wyciągam ręce w tył, chwytam ją, po czym obracam nas tak, byśmy leżeli do siebie twarzami, i obejmuję ją. Całuję w usta jak należy



– mimo porannego oddechu i w ogóle.

Zauważam, która godzina. Słońce już wstało, choć jest cholernie wcześnie.

– Muszę iść do biura – mówi.

Głaszczę ją po włosach, lekko przyciskając jej twarz do swojej



piersi, by przestała wygadywać głupoty.

– Ciii... Śniesz. Śpij dalej.

– Brent – mówi, śmiejąc się. – Wczoraj nie pracowałam. Naprawdę muszę to dzisiaj nadrobić.

Z mojego gardła dobiega pomruk niezadowolenia. Kennedy koi mnie dotykiem dłoni i pocałunkiem.

– Wrócę wieczorem, ale przywiozę ze sobą chłopców.

Unoszę nieco jedną powiekę.

– Mają jedzenie i wodę. Koty nie potrzebują nic więcej.

– Potrzebują miłości. Uwagi – nalega.

– Koty tym gardzą. Są ponad to.

Ponownie się śmieje.

– Nie moje. Nigdy ich nie zanieczyściłam, więc jeśli ma się nam udać, musisz je zaakceptować.

Ta kobieta wie, jakich przekonujących argumentów używać.

– Dobra. Koty mogą przyjechać.

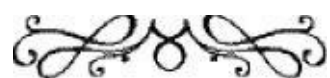
Na moim mostku zostaje złożony słodki pocałunek, po czym

Kennedy wymyka się z łóżka niczym piasek przez palce.

Zapadam w lekką drzemkę, bo kiedy ponownie widzę Kennedy, jest już ubrana. Odziane w bluzkę piersi przyciskają się do moich pleców, gdy kobieta żegna się szeptem i całuje mnie w ciepły kark.

Na wpół śpiąco mamrocze na pożegnanie:

– Pa, skarbie. Kocham cię...



Jest po dwunastej, gdy udaje mi się zwlec tyłek z łóżka. Zupełnie

nie wiem, jak wam powiedzieć, że to jak na mnie całkowicie dziwne. Na swoją obronę mam jedynie to, że Kennedy była w nocy dzika

i kompletnie mnie wykończyła. Kilka godzin i puszkę Red Bulla później mam na tyle energii, by pobiegać, więc udaję się na swoją ulubioną

ścieżkę w parku National Mall.

Wracam do domu, przy każdym kroku uśmiechając się jak idiota,

ponieważ nieustannie myślę o niewielkiej blondynie, która totalnie mną zawładnęła. Nie mogę się doczekać jej narzekania na ciężki dzień,

widoku jak je obiad, dźwięku jej śmiechu. Ma taki cudny śmiech.

Cholera, jestem żaloszny. Zaczynam wkurzać sam siebie.

Wychodzę zza rogu i na schodach domu zastaję czekających na

mnie współników. Wyglądają bardzo poważnie jak na niedzielne

popołudnie.

– Co takie pogrzebowe miny? – rzucam żartem. – Kto umarł?

Żadne się nie uśmiecha, więc przesywa mnie dreszcz.

Stanton odwraca wzrok, Jake wpatruje się we mnie spięty, jakby

przewidywał, co się zaraz stanie. Sofia podchodzi o krok.

– Brent, skarbie... coś się stało.

Automatyczne drzwi szpitalnej izby przyjęć rozsuwają się, więc natychmiast podbiegam do biurka recepcjonistki.

– Kennedy Randolph.

Ciemnowłosa kobieta lekko rozchyła usta, nim odzyskuje panowanie nad głosem, i mówi:

– Um... nie ma tu żadnej Kennedy Randolph.

Kłamie. Nawet gdyby nie była w tym kiepska, moja praca polega na zauważaniu mimowolnych tików, które mają zdenerwowani, ukrywający informacje ludzie. To drugi szpital, który odwiedzamy, w pierwszym recepcjonistka nie kłamała.

Jeden z informatorów Jake'a, prywatny detektyw, zadzwonił do niego, gdy tylko się to stało. Widział, jak ładna blond prokurator wsiada do ciemnego sedana na rządowych rejestracjach. Zaledwie kilka przecznic dalej w sedana wjechał SUV, przewracając go na dach.

Celowo.

Rozpętała się strzelanina. Wkroczyło FBI.

Na scenie pojawiło się wiele kolorowych świateł i syren radiowozów.

I karettek.

Wyciągnięto worki na zwłoki.

Tak naprawdę czuję ulgę, słysząc kłamstwo z ust recepcjonistki –

zmniejsza to szanse na to, iż Kennedy znajduje się w jednym z czarnych worków. A przynajmniej jeszcze w nim nie leży.

Pochyliłam się nad biurkiem.

– Wiem, że tu jest, i wiem również, dlaczego mówi pani, że jej nie

ma... – mówię drżącym głosem, zaciskając dłonie z frustracji i paniki.

Mam ochotę rozerwać ten szpital na strzępy, by tylko ją znaleźć lub wykończyć skurwieli, którzy śmieli jej to zrobić. – Ale musi mnie pani do niej wpuścić.

Jeszcze zanim otwiera usta, wiem, że mnie pogoni.

– Proszę pana...

– Jestem jej mężem.

To niezbyt mądre kłamstwo, za łatwe do wykrycia. Ale dzięki

niemu mogę zostać wpuszczony lub skierowany do kogoś stojącego

wyżej w łańcuchu osób odpowiedzialnych za dostęp do niej.

Twarz recepcjonistki nieco mięknie.

– Proszę chwilę poczekać. – Podnosi słuchawkę i obraca się do

mnie plecami, szepcząc do niej.

Stanton, Sofia i Jake przyglądają się, jak chodzę w kółko z palcami

założonymi na karku, spięty i sztywny. Po chwili z drzwi prowadzących do wnętrza szpitala wychodzi facet o kwadratowej szczęce, ubrany

w jeansy i koszulę. Uważnie mi się przygląda, choć jego twarz pozostaje bez wyrazu.

– Jak mogę pomóc? – pyta.

– Kennedy Randolph... – zaczynam.

– Nie ma tu takiej – kończy.

– Wiem, że jest.

– Nie ma.

– Jestem jej...

– Nie, nie jest pan.

Potrzebuję całej swojej siły, by nie złapać go za szyję i nie wydusić z niego odpowiedzi.

– Jest pan z FBI? Z biura szeryfa? Mieliście ją ochraniać, pilnować, by była bezpieczna! – Drga mi policzek. – Spieprzyłeś, Skippy.

– Nie mam dla pana żadnych informacji. Proszę odejść. Teraz.

– Żyje? – pytam, brzmiąc jak torturowany jeńiec, który w końcu został złamany. – Na miłość boską, niech pan powie przynajmniej tyle.

Nie dbam o resztę, o jej włosy, twarz, ramiona, nogi – nie mają znaczenia. Mogę ją kochać bez nich. Niech tylko oddycha. Niech tylko żyje.

Facet o kamiennej twarzy jest nieugięty.

– Informacje w tej sprawie może uzyskać jedynie najbliższa

rodzina. Nie potwierdzam tym, że przebywa tu taka pacjentka, ale gdyby była, nie należy pan do jej najbliższej rodziny. Nie mogę panu nic

powiedzieć. Nie będę powtarzał, by pan wyszedł.

Podchodzę do niego, gotowy nim potrząsnąć, ale Sofia chwyta mnie za ramię i odciąga w tył.

– Chodź, Brent. To na nic się nie zda. Chodźmy.

Pozwalam, by wyciągnęła mnie przed szpital.

– Kurwa! – Zakrywam twarz dłońmi. – Niech to krew nagła zaleje!

To właśnie czuli rodzice po moim wypadku? Czekaając na lekarza, by wyszedł i powiedział im, czy żyję?

Czuję, jakby w mojej piersi znajdował się gorący pręt, wciskający mi się w żołądek, płuca i serce. Powoli spalający mnie żywcem od środka.

Opuszczam dłonie i odwracam się w kierunku drzwi.

– Wracam, żeby pogadać z tym agentem. Zmuszę go do...

Na drodze staje mi Stanton.

– Aresztują cię. Nie tędy droga, stary.

Zgrzytam zębami tak mocno, że echo tego dźwięku odbija mi się w uszach.

Jake kładzie rękę na moim ramieniu i mówi uspokajająco:

– Brent, pozbieraj się. Masz znajomości, weź głęboki wdech i wykorzystaj je.

Zawsze nienawidziłem dupków, którzy wykorzystują pieniądze

i znajomości, ułatwiając sobie dotarcie do celu. A, możecie mi wierzyć, znam ich wielu. Jednak w tej chwili jestem wdzięczny za swoje

nazwisko, ponieważ jest w stanie otworzyć wiele drzwi.

Wyciągam komórkę i wybieram numer.

– Tato? Potrzebuję pomocy. Znasz kogoś z biura szeryfa federalnego?

Kiedy odpowiada, unoszę brwi.

– Dyrektora, co? To spoko. A możesz do niego zadzwonić?



Dziesięć minut później kowboj wraca do poczekalni.

– Brent Mason.

Wstaję, ale gdy podchodzimy do niego we czwórkę, wyciąga rękę niczym gliniarz z drogówki sterujący ruchem.

– Tylko pan.

Sofia natychmiast mnie ściska.

– Zadzwon do nas, kiedy tylko zdołasz, i powiedz, co u niej.

– Dobrze.

Jake ściska moje ramię, a Stanton klepie mnie po plecach.

– Mów, gdybyś czegoś potrzebował.

– Dzięki.

Wsiadam do windy z superagentem. Kiedy tylko drzwi się zasuują, mężczyzna informuje mnie:

– Ma się dobrze.

Moje płuca się zapadają. Wypuszczam z nich cały tlen, jakbym czekając na te słowa, wstrzymywał oddech od wieków.

– Ma złamaną rękę, dwa pęknięte żebra, stłuczenia na twarzy, ale żadnych poważniejszych obrażeń.

Dobra. Jest ranna, ale wyzdrowieje. Pomogę jej wrócić do zdrowia.

*Dzięki Ci, Boże.*

Gdy winda jedzie w górę, czuję, że facet się we mnie wpatruje.

– Dzwonił mój przełożony, powiedział, że mam pana natychmiast zaprowadzić na górę.

Przytakuję.

– Tak.

– Mówił, że polecił mu to osobiście sam dyrektor.

– Pewnie tak.

Milczy przez chwilę, po czym pyta:

– Kim pan, u diabła, jest?

Istnieje na to tylko jedna odpowiedź. Ściszam głos i patrząc mu prosto w oczy, wyznaję:

– Batmanem.

Parska śmiechem. Winda zatrzymuje się na dziesiątym piętrze,

mężczyzna prowadzi mnie korytarzem. Mijamy kilku agentów, jednak

tylko przed jednymi drzwiami stoi uzbrojony strażnik. Mężczyźni kiwają sobie głowami, agent biura szeryfa otwiera drzwi i wpuszcza mnie

samego do środka.

Światło jest słabe, żaluzje zasłonięte. Kennedy leży w szpitalnym

łóżku, lewą rękę ma zagipsowaną i zawieszoną na temblaku. Stoję przez chwilę, przypominając sobie, że

żyje. Przyglądając się jej, zapamiętuję każdy jej siniec. Jej twarz jest w opłakanym stanie – dolna warga pękła w połowie, na ranie zrobił się strup. Jej lewy policzek jest odrapany i czerwony, już zaczyna sinieć. Oko nad nim jest napuchnięte

i całkowicie zamknięte. Przy linii włosów widać szwy.

– Przyszedeś – mówi cichym, ochrypłym głosem, jakby miała obolałe gardło.

Siadam na jej łóżku i kładę rękę na niepotłuczonej stronie jej twarzy. Opiera się o moją dłoń, a gardło ściska mi się tak bardzo, że ledwie potrafię wydusić:

– Dobrze się czujesz?

Próbuje się uśmiechnąć, ale niezbyt jej to wychodzi z powodu poranionej wargi. Wpatruje się we mnie zdrowym okiem – słodkim złotobrazowym okiem.

– Tak.

Drugą ręką bardzo delikatnie gładzę ją po włosach i ramieniu, zatrzymując się na klatce piersiowej, gdzie czuję, jak mocno i równomiernie bije jej serce. Z trudem przełykam ślinę, oczy mnie pieką, ponieważ jest moją Kennedy i cierpi... Mogłem ją stracić. Na zawsze.

– Jezu, Kennedy... pozwól, że... – nie potrafię dokończyć. Zamiast tego obejmuję ją i tulę. Opieram twarz o jej szyję, oddychając przy miękkiej skórze, która wciąż, mimo smrodu szpitala, pachnie brzoskwiniami. Kobieta drży, więc głaszczę ją po włosach i plecach,



kołysząc ją przy tym i całując w skroń.

Chciałbym zostać w tej pozycji na zawsze. Wiem, że jest bezpieczna, ponieważ trzymam ją w ramionach i nigdy, przenigdy nie



pozwolę, by ktokolwiek ponownie ją skrzywdził.

– Mocno uderzyli w nasz samochód – szepcze przy moim ramieniu, zaciskając palce na moim bicepsie. – Nie miałam zapiętego pasa, gdy auto się przewróciło. Widziałam ich nogi, wiedziałam, że po mnie idą. Przyciągam ją bliżej, pamiętając, by nie ścisnąć za mocno.

Jej głos drży, jest pełen łez.

– I mogłam myśleć tylko o tym, że cię już więcej nie zobaczę. –

Odsuwa się na tyle, by móc spojrzeć mi w twarz. – Nie powiedziałam ci nigdy, że... że od zawsze cię kochałam... – Ostatnie słowo połączone

jest ze szlochem, jej twarz wykrzywia się w grymasie. – ...ale nigdy tak bardzo jak teraz.

Ocieram jej łzy i całuję czule, dotykając jedynie górnej wargi. Mój

głos jest stabilny, wyważony, gdy wypowiadam te najprostsze na świecie słowa:

– Kocham cię. – Ponownie tulę ją do piersi, opierając podbródek na

jej głowie. – Będziemy mieć wiele czasu, by to sobie powtarzać,

Kennedy. Nieustannie. Okazywać to sobie każdego dnia. – Całuję jej

włosy. – Aż nam to zbrzydni.

Śmieje się.

Dopiero wtedy jestem pewien, że będzie dobrze.

Jakiś czas później przychodzi pielęgniarka, by podnieść poziom

środków przeciwbólowych i napić Kennedy sokiem jabłkowym. Pytam

o drani, którzy jej to zrobili.

– Agenci ich zastrzelili. Nie żyją.

– Dobrze. – W moim głosie pobrzmiwa złowieszcza nuta.

Zabieram puste opakowanie po soku z jej rąk i kładę je na stoliku.

Opiera się na poduszce, wygląda na śpiącą – lekarstwa zaczynają

działać. Dotyka posiniaczonego policzka.

– Możesz nazywać mnie teraz Siniec. Zawsze chciałeś nadać mi  
przezwisko.

– To odpowiednia ksywka dla kogoś, kto je zadaje, nie otrzymuje.

Śledzi palcem linie mojego zmarszczonego czoła, wygładzając  
nieco mój grymas.

– Za wcześnie, by z tego żartować, co?

– Nawet za tysiąc lat też będzie za wcześnie.

Nim ma szansę odpowiedzieć, przez zamknięte drzwi przedziera  
się ostry kobiecy krzyk:

– Myślicie, że obchodzi mnie polityka szpitala? Mam gdzieś, że już  
ma gościa. Chcę natychmiast zobaczyć córkę!

Kennedy zamyka zdrowe oko.

– O nie.

– Zejdź mi z drogi, młody człowieku, inaczej będę musiała  
wyciągnąć konsekwencje!

– O nie.

Do sali wchodzi Mitzzy Randolph, ale wygląda niezwykle

niechlujnie w pomiętej ciemnoniebieskiej bluzce, czarnych spodniach, perłach na szyi i rozwalającym się  
koku. Nigdy nie widziałem, by Mitzzy była nieuczesa, zawsze uważałem, że jej włosy są zbyt  
przeżalone, by zmienić położenie.

Wstaję niczym ochroniarz, ale nie odchodzę od łóżka Kennedy,  
ponieważ – matka czy też nie – jeśli usłyszę jedno obraźliwe słowo,  
a stracę nad sobą panowanie.

– Witaj, mammo – mówi cicho Kennedy.

Mitzzy oddycha płytko, przyglądając się obrażeniom córki.

Podchodzi do niej powoli, jakby była w transie.

– Och, Kennedy, twoja śliczna twarzyczka.

– Nic mi nie jest. – Próbuje się uśmiechnąć. – To tylko siniaki. Nic trwałego. Nie będzie blizn.



Warga matki drży, a jej oczy wypełniają się łzami, które szybko spływają po policzkach. Nigdy nie widziałem płaczącej Mitzy, a sądząc po minie Kennedy, ona również.

– Moja słodka, cenna dziewczynka... – Głos jej się łamie. – ...co

oni ci zrobili?

Wyraz twarzy Kennedy łagodnieje, wygląda, jakby miała ochotę przeproszać, jednocześnie jest wdzięczna, że matka się przejmuje i jest poruszona.

– Nie płacz. Nic mi nie jest, naprawdę.

Ale Mitzy kręci głową i cicho łka.

Wskazuję na drzwi.

– Wyjdę na chwilę.

Kennedy zerka na mnie, po czym kiwa głową, dziękując mi.

Zanim jednak wychodzę, spoglądam na nie. Niektórym ludziom właśnie tego trzeba. Uderzenia w twarz, zagrożenia utratą kogoś bliskiego, by się obudzili i zdali sobie sprawę, ile znaczy dla nich ta osoba.

Mitzy szepcze cicho, patrząc na córkę, jakby w końcu ją dostrzegła, a nie tylko postać, którą chciała, by była.

Nareszcie.

Na korytarzu widzę agenta, który mnie tutaj przyprowadził, więc gestem przywołuję go do siebie.

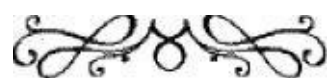
– Myśli pan, że spróbują ponownie?

Mruży oczy.

– Póki ktoś proponuje pieniądze, istnieje taka możliwość.

Kiwam głową, z dyżurki pielęgniarek biorę długopis, a z portfela

wyjmuję wizytówkę. Zapisuję informacje na jej odwrocie i podaję mu ją.



– Jeśli jakiegokolwiek ustalenia względem jej bezpieczeństwa mają

zostać poczynione, powinny dotyczyć tego adresu. Kiedy zostanie stąd wypisana, wyjdzie jedynie ze mną. I zostanie u mnie w domu.

Przez trzy kolejne dni nie wypuszczam Kennedy z łóżka.

Niestety nie ma w tym nic seksownego, ponieważ jest poobijana

i cierpi, lekarstwa przeciwbólowe sprawiają, że często śpi. Jednak dbam o nią, poprawiam poduszki, przynoszę jedzenie. Dobra, gotuje Harrison, ale ja je podaję.

Pomagam też przy kąpieli – a to istne piekło.

Z powodu pękniętych żeber seks nie wchodzi w rachubę. Nie mogę

nawet zrobić jej dobrze ustami, ponieważ wiem, że orgazm przyniósłby ze sobą tyle samo bólu co przyjemności. Twierdzi, że byłoby warto, ale się na to nie porywam.

Aż przychodzi dzień piąty i napalona lisiczka bierze sprawy

w swoje ręce. Dosłownie.

Jest noc, leżymy w łóżku, a Kennedy zaczyna opisywać

w najdrobniejszych szczegółach wszystkie rzeczy, które chciałaby,

żebym jej zrobił. Rzeczy, których nie może się doczekać, by zrobić mi.

Błaga, bym jej pokazał, bym wziął członek w dłoń i zrobił sobie dobrze.

Przy niej.

Rozsypuję się niczym domek z talii pornograficznych kart.

Unoszę się przy niej na kolanach, sapię i jęczę, wyobrażając sobie,

że to jej dłoń mnie pieści. Jednak jej ręka w dopasowanym do mojej

rytmie zajęta jest akcją między jej nogami, pocierając łechtaczkę,

wkładając i wyciągając palce. Kończę na jej piersi, a ona imponująco demonstruje, że jest na tyle podleczone, by znieść swój orgazm.

Zatem większą część dnia szóstego spędzam z ustami przy jej

pięknej cipce, nadrabiając stracony czas.

Jednak siódmego dnia jest drażliwa. Ma dosyć telewizji i chce

wrócić do pracy. Zwołuję drużynę na kolację. Harrison pilnuje potworków McQuaidów, by Chelsea i

Jake mogli dołączyć. Stanton

przyjeżdża z Sofią, której brzuch jest teraz tak wielki, że równie dobrze mógłby mieć własny kod pocztowy. Pojawiają się również Brian i Vicki.

Przedstawiam ich reszcie załogi, wszyscy gromadzimy się w jadalni, by jeść pizzę i popijać drinki.

Po kolacji przenosimy się do salonu, chłopaki oglądają mecz,

podczas gdy dziewczyny rozmawiają o dzieciach i ślubach.

– Będzie brunch – mówi Sofia do Kennedy na temat przyjęcia

panieńskiego dla Chelsea. – Niezbyt duży, bo Jake i Chelsea są

antyspołeczni.

– Ha! – Śmieje się Chelsea. – Zobaczymy, jacy społeczni będziecie

ze Stantonem, gdy już urodzi się to wasze szczęście. Po czym będziecie musieli pomnożyć to przez sześć.

– Powinnyście przyjść – mówi Sofia do Kennedy i Vicki. – Będzie

fajnie, będziemy popijać mimozy i pogramy w sprośne bingo. Młodzi

mają urządzony dom, więc każdy przyniesie w prezencie bieliznę.

Jake zapala się do tego pomysłu.

– Tak, zdecydowanie powinnyście przyjść. Im więcej, tym lepiej

dla mnie.

– Kiedy to? – pyta Kennedy, otwierając kalendarz w telefonie.

– Dwudziestego trzeciego.

Kennedy cmoka.

– Nie dam rady, będę wtedy w Vegas.

Do mojego umysłu zakrada się niepokój.

– O czym ty mówisz? – pytam.

Kennedy spogląda na mnie przez pokój, po czym rzuca od

niechcenia, jakby mówiła o pogodzie:

– Proces zaczyna się za dwa tygodnie. Obejdą się beze mnie przy

początkowych wnioskach, ale za kilka dni będę musiała tam lecieć.

Stawiam piwo na ławie i kieruję na nią całą swoją uwagę.

– Ale... nie prowadzisz już przecież tej sprawy.

Marszczy brwi.

– Oczywiście, że prowadzę. Dlaczego miałabym zrezygnować?

Wskazuję na jej rękę i oko.

– Zostałaś ranna.

– Nie, to już się goi. Do czasu rozpoczęcia procesu wrócę do pełni sił, zostanie tylko temblak.

Serce tłucze mi się o żebra, mam ochotę rzucić się na nią i potrząsnąć.

Wstaję, ponieważ lepiej mi się spierać, chodząc, a mam przeczucie, że wybuchnie z tego piekielna kłótnia.

– Kennedy... to... czyste szaleństwo. Uderzyłaś się w głowę w tym wypadku i nagle odebrało ci rozum?

– Słucham?

– Próbował cię zabić.

Kobieta wstaje powoli, prostując plecy i ramiona.

– Ale nie zabił. A ta sprawa jest moja.

– Przydzielą do niej innego prokuratora.

– Nie, nie przydzielą, ponieważ im na to nie pozwolę. Moriotti stara się mnie zastraszyć, ale nie zamierzam mu na to pozwolić. Nie odbierze mi tego.

Przyciskam palce do skroni i podnoszę głos:

– Cholera jasna, Kennedy, nie jest jakimś tam szkolnym

ciemieżycielem, jest pieprzonym psychopata, w dodatku ma motyw, by

wpakować ci kulkę w łeb. Masz zamiar wejść na jego terytorium, by

podać mu się na tacy? Może od razy narysuj sobie tarczę na czole!

Muszę wyglądać na spanikowanego, ponieważ jej postawa nieco

mięknie. W jej głosie słychać współczucie.

– Nic mi się nie stanie.

Wyciąga rękę, by pogłaskać mnie po ramieniu, ale się odsuwam.

– Tego nie wiesz! Cały czas coś może się spieprzyć! – Wskazuję

na Sofię. – Wiedziałaś, że przeżyła wypadek samolotu? Lecieli całą

rodziną i mieli pierońskie szczęście, że nikt nie zginął. – Wskazuję na Chelsea. – A jej brat wracał do domu z żoną i zostali zabici w wypadku na drodze, Kennedy. Potrzebowało ich sześcioro dzieci, a oni umarli. –

Pocieram kark i twarz, próbując się opanować. – A ja byłem

gówniarzem, zwykłym dzieciakiem, który bez powodu stracił nogę. Złe

rzeczy zdarzają się również wtedy, kiedy jesteś ostrożna. Nawet jeśli na nie nie zasługujemy.

– To moja praca, Brent.

– Praca, której nie potrzebujesz! Masz w tej chwili więcej

pieniędzy na funduszu, niż kiedykolwiek zarobisz, będąc prokuratorem.

– To nie ma znaczenia...

Ściszam głos:

– Rozumiem to, naprawdę. Przyjęłaś tę pracę, ponieważ potrzebny

był ci cel. Powód, dla którego codziennie wstajesz z łóżka. – Chwytam ją za ramiona, uginam kolana i patrzę jej prosto w oczy. – Ale teraz masz mnie. Możemy dawać sobie nawzajem ten powód.

Patrzy na mnie, jakbym kruszył jej serce. Nie, jakby jej serce

pękało przeze mnie.

To różnica.

– Dajesz mi te powody i naprawdę najbardziej na świecie pragnę



być twoja. – Kładzie rękę na moim sercu. – Ale muszę być ponad to.

*Szlag by to trafił!*

Coś we mnie pęka, bo ona mnie nie słucha. Jest zbyt uparta.

Lekkomyślna. A jeśli nie zmienię jej nastawienia, to ją zabiję.

– Jeśli polecisz, z nami koniec – mówię oschle.

– Brent... – ostrzega Jake, ale unoszę tylko rękę.

Kennedy się wzdryga. Przygląda się uważnie mojej twarzy,

szukając oznak blefu.

– Nie mówisz poważnie.

– Tak, cholernie poważnie. Nie mam zamiaru siedzieć tutaj

i odchodzić od zmysłów, zamartwiając się o ciebie. Nie mam zamiaru

spędzić reszty życia, oplakując ciebie, ponieważ postanowisz się zabić.

Zrobisz to, a z nami koniec.

Cichy, odległy głos, podejrzenie brzmiący jak Waldo szepcze, że to

złe. Że to szantaż. Ale każę mu się walić, ponieważ robię to dla jej bezpieczeństwa.

– Złożyłam obietnice wielu ludziom, Brent.

Na jej twarzy maluje się ból. Może nawet lekki strach. Jakbym nie

tylko wgniótł jej zbroję, ale otworzył ją szeroko, odsłaniając jej

najbardziej wrażliwe części.

Jednak nie mam zamiaru tego żałować.

– Więc je złam. Każdego dnia ktoś łamie obietnice. Na tym polega

świat.

– Mam osoby, które ryzykują życie, zeznając przeciwko

Moriottiemu. Ludzi, którzy zostali objęci programem ochrony

świadków, poświęcając wszystko, co mieli, ponieważ trzymałam ich za

rękę, mówiąc, że tak należy zrobić. Ponieważ przyrzekałam przyskrzynić tego gościa. A teraz... chcesz, żebym się na nich wypięła, ponieważ

sprawy się lekko skomplikowały?

Czuję, że moja twarz jest ostra, zamrożona niczym lodowa rzeźba.

– Tak. Chcę, żebyś odwróciła się do tego plecami i pobiegła

w przeciwnym kierunku.

Kręci powoli głową.

– Nie mogę... Nie wierzę, że każesz mi wybierać.

– Każę, a jeśli wychodzę przez to na dupka, niech i tak będzie. –

Ściskam jej rękę. – Proszę, byś wybrała i błagam... żebyś wybrała mnie.

W pokoju zapada cisza. Nie wydaje mi się, by ktokolwiek

oddychał.

Kennedy obejmuje w końcu moją twarz. Mówi ściszym głosem,

jak robi się na pogrzebach:

– Kocham cię, Brent. Naprawdę cię kocham i wiem, że ty również

mnie kochasz. Ale nie będę tą samą kobietą, jeśli tego nie zrobię.

A gdybyśmy mogli...

Nie słyszę kolejnych słów, ponieważ idę do drzwi i trzaskami nimi

za sobą tak mocno, że pęka znajdująca się w nich szyba.

Błądzą po mieście z godzinę, a może ze trzy, ponieważ boję się, co

jej powiem, jeśli wrócę zbyt wcześnie do domu. Jednak kiedy w końcu

do niego docieram, nie muszę się tym już przejmować.

Ponieważ dom jest ciemny. Pusty.

A jej w nim nie ma.

– Jak bardzo to popieprzone?

Następnego dnia wczesnym rankiem Waldo śledzi wzrokiem mój marsz niczym widz na Wimbledonie, gdy chodzę tam i z powrotem przed jego kanapą, słowo w słowo relacjonując kłótnię z Kennedy.

Ledwie zmrużyłem w nocy oczy, byłem zbyt zajęty odtwarzaniem wszystkiego w myślach. Chciałem, by do mnie zadzwoniła. Żeby powiedziała, że odzyskała rozum i że rzuci tę sprawę.

Ale telefon milczał.

Waldo chrząka.

– Choć to imponująca tyrada, ani słowem nie napomknąłeś o perspektywie Kennedy. Poświęciłeś choćby pojedynczą myśl temu, co ona może w tej chwili czuć?

Prycham rozdrażniony.

– Nie.

Byłem zbyt wkurzony, żeby analizować, jak ona się czuje z moją wkurzoną postawą.

Kiwa głową.

– Przeanalizujmy to. To Kennedy została zaatakowana i zraniona.

Otworzyła się przed tobą, gdy mocno walczyłeś o odzyskanie jej zaufania. Uwierzyła, kiedy wyznałeś jej miłość. I to ona była świadkiem, jak się wycofujesz, gdy przyszło wam się zmierzyć z pierwszym

wspólnym kryzysem. Jak myślisz, Brent, jak ona się z tym wszystkim

czuje? – Bębni palcami o podłokietnik fotela. – Jest przestraszona?

Załamana? Cierpi?

Trudno oprzeć się wyrzutom sumienia wywoływanym przez

doświadczonego psychoanalityka, ale podejmuję próbę.

– Nie czułaby się w ten sposób, gdyby postąpiła zgodnie z moimi pieprzonymi słowami.

Na jego twarzy pojawia się cień uśmiechu, jednak nie ma w nim dobra. Przypomina mi Jaspersa, który chwyta w pazury zabawkę w kształcie myszy i zamierza się nad nią poznęcać.

– Ale nie na tym polega związek. Wiesz o tym. Kennedy potrzebuje wsparcia, nie dyktowania warunków.

Otwieram usta, by się spierać, ale nie dopuszcza mnie do słowa.

– Nie traćmy czasu. Może spróbujesz być szczerzy i powiesz mi, co tak naprawdę czujesz?

Pocieram kark, bo spina się od kumulującej się frustracji.

– Żarty sobie stroisz, czy jesteś ślepy? Jestem wkurzony, Kapitanie. Oczywistość.

Przygląda mi się ze spokojem. Jakby wiedział, że jest inaczej. To cholernie denerwujące.

– Nie wyglądasz mi na wkurzonego. Bardziej na przerażonego.

Czego się naprawdę boisz, Brent?

Wyrzucam ręce w górę.

– Boję się, że stanie jej się krzywda!

– Tego, że stanie jej się krzywda, czy tego, że nie będziesz mógł zapobiec jej krzywdzie?

Niemal parskam śmiechem.

– A czy to jakaś różnica?

– Tak. Pierwsze mówi o twojej trosce. Drugie, że koncentrujesz się tylko na sobie. Na strachu, że ją zawiedziesz. Że nie będziesz w stanie jej ochronić.

Prawda jest nieugiętą, paskudną małą bestyjką. Drapie i gryzie, doprowadzając człowieka do szału, aż ją wpuści.

– Nie ochroniłem jej wcześniej, prawda? – Myślę o balu, o twarzy

Kennedy – zabłoconej i zakrwawionej. Przypominam sobie lata

okrutnych drwin i wstrętnych obelg, które mogły złamać jej ducha tak łatwo, jak kamień łamie kość. – Porzuciłem ją wilkom na pożarcie. Ale to się więcej nie powtórzy. Nie ma mowy. Tym razem staram się ją

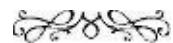
chronić.

Kiwa głową.

– Wcześniej zawiodłeś ją, bo byłeś samolubny. Byłeś młody, myślałeś tylko o sobie.

– Wiem o tym!

Rozkłada ręce, jakby następowało wielkie oświecenie.



– A mimo to znów tu jesteś, powtarzając się. Myśląc o własnych potrzebach. O własnych uczuciach. Znów niczym drażliwy nastolatek.

– Mam trzydzieści dwa lata, jestem dorosłym facetem, na litość boską!

Pochyliła się w fotelu.

– Tak, jesteś. I przez ostatnie tygodnie rzeczywiście tak się zachowywałeś. Rozczarowujące jest więc to, że w nocy wszystko się cofnęło.

Zgrzytam zębami i wskazuję na niego palcem.

– Wiesz co? Pieprz się, Waldo.

Wychodzę z jego gabinetu.

Po tej katastrofie, wciąż wkurzony, idę do kancelarii. Właściwie

jestem jeszcze bardziej wkurzony, ponieważ Waldo nie powiedział mi

tego, co chciałem usłyszeć. Nie podzielił mojego idealnie racjonalnego punktu widzenia, że zatrzymanie Kennedy bezpiecznie w moim domu,

w moim łóżku jest najlepszym i jedynym akceptowalnym rozwiązaniem.

Istnieją kobiety, które zaprzedałyby duszę, by żyć w złotej klatce, jednak nie chcę żadnej z nich.

Gdy stoję przed biurkiem, tasując dokumenty i trzaskając

szufladami, w drzwiach pojawia się Jake.

– O ile znam się na napadach złości, twój jest dość żalony.

Powinieneś pogadać z Regan, dałaby ci kilka cennych wskazówek.

– Odwal się, stary. – Nawet na niego nie patrzę.

Krzyżuje ręce na piersi.

– Nie mogę, koleś. Spieprzyłeś za bardzo, bym siedział i tylko się przyglądał.

Trzaskam górną szufladą i wskazuję na niego palcem.

– Odpierdol się, dobra? Jak sam byś postąpił, gdyby dotyczyło to

Chelsea? Jak byś się czuł, gdyby to ona wchodziła w paszczę lwa?

Głos Jake'a jest cichy i śmiertelnie spokojny.

– Chelsea może wchodzić do jakiegokolwiek paszczy zapragnie,

ponieważ to ja jestem lwem. I pilnuję, by być z nią. – Sapię ciężko, gdy podchodzi do mojego biurka. – Problem w tym, że lekceważysz jej

potrzeby. Rzuciłeś wyzwanie, któremu nie zamierzałeś sprostać, a ona poznała się na twoim blefie. Odejdzie od ciebie, Brent, nic, co powiesz, jej nie zatrzyma. Pozostało więc tylko jedno pytanie: co zamierzasz teraz zrobić?

W moim gabinecie pojawia się Sofia.

– Hej... chłopaki? Chyba...

Natychmiast jej przerywam:

– I ty, Sofio? Nie teraz, okej?

– Dobra, ale słuchaj...

– W przeciwieństwie do tego, co wszyscy uważacie, jestem już duży. To sprawa pomiędzy mną a Kennedy. Rozpracujemy to jakoś i nie...

– Odeszły mi wody.

W naszym języku istnieje jedynie kilka słów będących w stanie pozyskać natychmiastową i niepodzielną uwagę. Jednym z nich jest „pożar”. „Bingo” jest dosyć wysoko na liście. Moim ulubionym jest „zaraz dojdę”. Jednak, podobnie jak Jeden Pierścień, „odeszły mi wody” rządzi nimi wszystkimi.

Natychmiast odwracamy się z Jakiem twarzami do Sofii, która

opiera się teraz o ścianę. Dół jej zielonej sukienki jest mokry, coś cieknie jej po nogach, zostawiając ślad na wykładzinie.

– Wow, to sporo wody. W tej ilości można by utopić szczeniaka.

– Zadzwoń do Stanton – zgłasza się na ochotnika Jake.

Sofia wyciąga rękę.

– Nie! Jest w sądzie, a nie chcę, by jechał porschakiem do szpitala, bo po drodze może zabić siebie lub kogoś niewinnego. – Bierze głęboki, uspokajający oddech i wydaje rozkazy. – Jake, jedź do sądu i przywieź

Stantona do szpitala. Pani Higgens wie, gdzie jest. Brent, poproś

Harrisona, by się zjawił, pojedziemy do mnie po torbę, a potem jedziemy

do szpitala. – Zwija usta w dzióbek, wydychając powoli powietrze, niemal gwizdząc.

Wszystko inne rozpada się w świetle tego monumentalnego

wydarzenia, ponieważ nawet jeśli Sofia twierdzi, że wszystko jest

w porządku, jej twarz jest spięta i blada. Kobieta drży wystraszona, a jest moją najlepszą przyjaciółką na

całym świecie. Potrzebuje mnie.

Ruszamy z Jakiem w tym samym czasie – on do drzwi, ja do Sofii,

by wziąć ją na ręce. Chwyta mnie za szyję i mówi:

– Rodzę, Brent, nie jestem inwalidką. Mogę chodzić.

– Oczywiście, że możesz, ale po co masz to robić, gdy masz pod ręką takiego niesamowitego mężczyznę?

Schodząc po schodach, poprawiam ją sobie, a ona oczywiście to zauważa.

– Jeśli żartujesz na temat mojej wagi, jednym ruchem oderwę ci całą brodę.

– Żartuję? Ja? – Uśmiecham się. – Nigdy nie żartowałbym

z kobiecej wagi, a zwłaszcza z wagi ciężarnej. – Pokonuję ostatni

stopień, dodając: – Chociaż... wydaje mi się, że moja tytanowa proteza mogła się trochę wygiąć.

Szcypie mnie. W szyję. W ramię, wszędzie, gdzie może dosięgnąć.

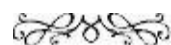
– Au! Jezu! Tylko nie szcyp! Szczypanie nie jest fajne!

Sofia zadaje śmiertelny cios. Jej starsi bracia, którzy uwielbiali się z nią droczyć, dorastając, musieli wyglądać jak dalmatyńczyki, ponieważ w szczypaniu jest naprawdę dobra.

Kiedy niosę ją chodnikiem, śmieje się, więc moja misja przyniosła zamierzony skutek.

Szesnaście godzin później misja Sofii również zostaje zakończona

sukcesem. Na świat z krzykiem – sprzecząc się – przychodzi pierwsze dziecko naszej kancelarii.



– Samuel, co?

Zerkam na kokon ze śpiącym, pachnącym słodko bobasem w jej

ramionach. Ludzie zawsze mówią, że noworodki mają usta po mamie lub



nos po tacie, jednak ja tego nie widzę. Dla mnie wszystkie wyglądają jak dzieci. Są szalenie słodkie, ale bardzo do siebie podobne.

– Zamierzacie skupić się na literze „S”? Jakby Sofia i Stanton nie było wystarczające?

Stanton odchyła się do tyłu, siedząc na rozkładanym fotelu obok łóżka Sofii. Wyciąga z torby winogrono i wkłada sobie do ust.

– Nie, po prostu wygląda jak Samuel.

– Wygląda jak kosmita. – Sofia się krzywi, więc natychmiast

prostuję: – Jak uroczy kosmita, ale ma taką wielką głowę. Jak to było, gdy wychodził?

Sofia uśmiecha się czule.

– Mam nadzieję, że dorobisz się kamieni nerkowych i się dowiesz.

Przez dłuższą chwilę siedzimy w całkowitej ciszy, aż Sofia cicho

pyta:

– Rozmawiałeś z Kennedy?

Moje serce się ściska, aż całe moje ciało zaczyna drżeć. Mój gniew

wyparował w którymś momencie w nocy. Pozostał jedynie ból.

– Nie.

Stanton wkłada do ust kolejne winogrono.

– Dlaczego nie?

– Wciąż mam nadzieję, że pójdzie po rozum do głowy.

– Kochasz ją? – Sofia zwraca się do męża z otwartymi ustami. –

Rzucaj.

Bez trudu trafia winogronem w jej usta.

Dotykam idealnej rączki małego Samuela, wyobrażając sobie,



jakby to było trzymać na rękach nowo narodzoną dziewczynkę o złotych włoskach.

– Tak, kocham ją.

– Więc, do cholery, napraw to, stary – nalega Stanton. – Musisz

walczyć. Powiedziałeś rzeczy, których nie chciałeś. Witaj

w związkowym świecie, ale nie można zrywać w trakcie kłótni. Nie,

kiedy naprawdę ją kochasz.

Sofia mówi z pełnymi ustami:

– Ma rację. Gdybyśmy zrywali za każdym razem, gdy się o coś

kłócimy, dom Samuela dawno już zostałby zmieciony z powierzchni

ziemi.

Stanton przytakuje.

W głosie Sofii pobrzmiwa doświadczenie:

– Wiem, że to przeraża. Podarowanie komuś takiej władzy nad

sobą... Akceptacja, że twoje szczęście zawsze zależeć będzie od drugiej osoby. Ale warto. – Wyciąga rękę, za którą chwyta Stanton, posyłając jej uśmiech.

Słowa sprzed dwóch dekad odbijają się echem w mojej głowie

i wymykają z ust:

– Dla jazdy warto spadać. – Sofia z zaciekawieniem przechyla

głowę, więc wzruszam ramionami. – Powiedziała mi to kiedyś mądra,

nieustraszona dziewczyna.

Stanton szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Brzmi, jakby warto było się jej trzymać.

A pewnie, że tak.

We własnym mniemaniu zachowuję się tak, jak marzy o tym każda

nastoletnia dziewczyna. Stoję przed oknem jej sypialni z boomboksem

nad głową. Biegnę przez lotnisko i łapię ją na chwilę przed tym, jak wsiada do samolotu, wyznając dozgonną miłość. Całkowicie przerabiam

domowy gabinet, stawiając jej biurko obok mojego, by udowodnić, jak

bardzo pragnę jej w swoim życiu.

Tak naprawdę nie robię żadnej z tych rzeczy.

Ponieważ to nie film, a prawdziwe życie. A mój związek

z Kennedy to najprawdziwsza rzecz, jaką znam.

To, czego potrzebuje z mojej strony, to nie są wielkie gesty czy

kosztowne prezenty, które mógłbym jej kupić bez mrugnięcia okiem.

Potrzebuje słów. I potrzebuje spojrzeć mi w oczy, gdy będę jej je dawał, by mogła dostrzec, że każde jedno ofiarowuję z głębi serca.

Kiwam głową agentowi federalnemu strzegącemu bramy jej domu.

Przepuszcza mnie, więc wchodzę schodami na ganek i pukam. Po czasie, który wydaje się być wiecznością i jednym dniem, drzwi się otwierają i błyszczące oczy – jedno nadal spuchnięte – patrzą na mnie wraz

z piękną, choć posiniaczoną twarzą.

W pierś kłuje mnie poczucie winy – ponieważ ona cierpi, a ja

dołożyłem jej bólu.

Słowa wydostają się pędem z moich ust:

– Nie skończyliśmy. Nie chciałem... – Głos mi się łamie. – Nie

chciałem tego.

Jej twarz zmiękcza cholerne współczucie – dla mnie. Ostrze

w mojej piersi wchodzi głębiej, skręcając się przy tym.

– Wiem, Brent.

Dotykam jej policzka, ponieważ dłużej nie potrafię jej nie dotykać.

– Przepraszam.

Dech więźnie jej w gardle.

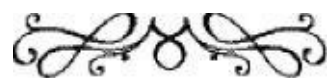
– Ja też. Przepraszam, że nie mogę ci tego ułatwić.

– Nie. Byłem dupkiem. Nie musisz mi niczego ułatwiać. Nie chcę,

byś się o to martwiła. Kocham cię, Kennedy.

– Ja też cię kocham. – Bierze głęboki wdech, po czym unosi głowę i mówi mocniejszym głosem: – Nie żądaj więcej, bym nie leciała. Nie sądzę, bym to znów zniosła.

– Nie zażądam. Jedyne, o co proszę, to... – Pochylam głowę i przysuwam się. – ...pozwól mi lecieć z tobą.



Wyraz jej twarzy załamuje się i kruszy. Tulę ją do siebie, gdy łzy zaczynają wsiąkać w moją koszulę, ale Kennedy kiwa głową przy mojej piersi.

– Tak. Proszę, leć ze mną.

Pierwszego dnia wielkiego procesu niektórzy prawnicy chcą się skupić wyłącznie na sprawie. Myślą o niej, wkładając łyżkę płatków śniadaniowych do ust. Ćwiczą mowę początkową, popijając poranną kawę, a notatki przyklejają na lustrze w łazience, gdy się golą i wiążą krawat.

Jednak Kennedy tak nie robi. Ponieważ tego ranka w pokoju hotelowym w Nevadzie cała jej uwaga skupiona jest na moim fiucie.

Stoję przy łóżku, a ona klęczy przede mną, pracując nad wrażliwą dolną częścią mojego gorącego i twardego członka, ssąc go. I to tak

cholernie dobrze, że niemal odpada mi głowa, gdy ją odchylam, a oczy uciekają mi w głąb czaszki. Wsuwam palce w jej włosy i zaciskam

mocno, trzymając ją na miejscu, żebym mógł wchodzić w jej usta.

*O rany.*

To najostrożniejsza zabawa, na jaką sobie z nią pozwoliłem od dwóch

tygodni – i bardzo jej się podoba. Mruczy wokół mnie, wzniecając tym dekadencją przyjemność w każdym nerwie mojego ciała. Podbródkiem

dotykam piersi, gdy patrzę w dół, przyglądając się, jak mój penis ślizga się płynnie pomiędzy różowymi wargami Kennedy.

– Właśnie tak. Bierz go właśnie tak – dyszę, ponieważ mam ochotę poświntuszyć.

Jej odpowiedzią jest jęk, który okazuje się być moją zgubą.

Z szybkością zrodzoną z desperacji, podnoszę ją, rzucam na łóżko

i chwytam za kostki, a następnie przeciągam ją na krawędź materaca.

Uginam kolana i wsuwam się w nią.

– O Boże... Brent... O tak...

Przygląda mi się, a złotobrzowe oczy płoną niczym ognisko

z suchych liści.

Największe z jej sińców zbladły do zaledwie niewielkich

przebarwień, a na jej policzku pozostały jedynie małe strupki. Pęknięta warga i opuchnięte oko całkowicie się zagoiły.

Zataczam koła biodrami, wchodząc głęboko, po czym zmieniam

ruchy na gładkie, równe posunięcia. Chwytam ją za łydki i szeroko

otwieram jej nogi, dając sobie wgląd w jej lśniące ciemnoróżowe ciało.

W takich chwilach żałuję, że moim ojcem nie jest Doktor Octopus

ze Spider-Mana.

Słowa wymykają się z mojego gardła:

– Pobaw się cycuszkami. Poskub śliczne sutki, jakby to było twoje zadanie.

Kennedy z jękiem zamyka oczy, sekundę później wypełnia

polecenie – małe dłonie spoczywają na jędrnych pagórkach, palce

zaciskają się na ich wyprężonych szczytach.

Mocno.

*O tak – moja dziewczynka.*

Jej spragniona cipka zaciska się wokół mnie, starając się mnie

przytrzymać. Kennedy błaga i, Jezu, nie ma słodszeo dźwięku na ziemi niż błagania pani Randolph.

O więcej.

O szybsze tempo.

– Mocniej, Brent. Głębiej.

Później następuje sonata jęków, pomruków i sapania oraz dźwięku

uderzającej o siebie skóry. Mięśnie na moich plecach rozciągają się, ścięgna napinają się do granic wytrzymałości niczym cięciwa łuku. Palce u nóg Kennedy podwijają się, a jej małe stopy zadzierają, jakby starała się odepchnąć od powietrza. Kończę z serią pomruków, przez które będę miał podrażnione gardło. Palce wbijam w skórę jej bioder,

przytrzymując ją nieruchomo – sprawiając, by przyjęła wszystko, co

jestem w stanie jej dać.

Kennedy chwytą mocno pościel, gdy osiąga orgazm zaraz po mnie.

Jej mięśnie kurczą się, wyciskając mojego pulsującego fiuta do ostatniej kropli. Kręci mi się w głowie, obraz mi się rozmazuje. Możliwe, że zaraz zemdleję.



Opadam na nią, moje kości zmieniają się w galaretkę.

Kiedy mijają wszystkie spazmy, Kennedy się śmieje. To

dźwięczny, magiczny śmiech, oznaka zadowolenia zmuszająca moje

własne usta do rozciągnięcia się w uśmiechu.

Proszę – oto jak powinno się rozpocząć proces.

Kiedy znów możemy stać, idziemy pod prysznic. Gips Kennedy

owijamy foliowym workiem, a potem pomagam jej umyć włosy – jak

i wszystkie zakamarki ciała – co jest wyzwaniem. Naturalnie, że jej

pomagam. Nie umiem inaczej.

Niedługo później mam na sobie granatowy garnitur z moimi

przynoszącymi szczęście spinkami do mankietów. Pomagam też

Kennedy z ubieraniem.

– Kevlar wygląda na tobie seksownie. – Mocuję rzepy kamizelki

kuloodpornej. – Zdecydowanie zabieramy to do domu.

Jej złote włosy zsuwają się z ramienia, gdy się odwraca.

– Masz perwersyjne zachcianki, co?

– Nawet nie wiesz ile. Ale nie martw się, poznasz je. – Składam

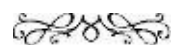
obietnicę, przypieczętowując ją pocałunkiem w policzek, po czym

trzymam jej bluzkę, gdy wkłada w nią ręce.

– Jak się czujesz, superbohaterko? – pytam.

W ciągu ostatnich kilku tygodni na własne oczy przekonałem się, że Kennedy jest mistrzynią radzenia sobie ze stresem. W ciągu dnia grzebie głęboko swoje negatywne emocje, takie jak strach czy wątpliwości. Jednak nocą, kiedy jesteśmy sami, demony wychodzą z krypty i wmawiają jej, że czeka ją niepowodzenie lub coś gorszego.

Jestem wdzięczny, że mogę tu być – mogę być mężczyzną, który ją utuli, gdy będzie drżała, który będzie szeptał jej do ucha, by się nie martwiła,



który będzie pomagał jej nieść ten ciężar.

Nigdy już nie będzie musiała robić tego sama.

– Dobrze. – Uśmiecha się, a błysk w jej oku podpowiada mi, że to prawda.

Cmokam ją w nos i zapinam bluzkę, ponieważ przez temblak sama nie potrafi tego sprawnie zrobić. Jednak gdy zauważam ślady po obrażeniach na jej twarzy – wciąż widoczne pod lekkim makijażem – uderza to we mnie. Obracam jej głowę, pod różnymi kątami sprawdzając żółtawy siniec.

– Co się stało?

– Obrona złoży wniosek o wykluczenie cię z procesu przez słuczenia i złamaną rękę. Będą twierdzić, że próbujesz tym wzbudzić współczucie u przysięgłych.

Marszczy brwi.

– Tak uważasz?

– Ja bym tak zrobił. – Wzruszam ramionami.

Kennedy przytakuje i wpatruje się w podłogę – widzę w jej oczach przewijające się potencjalne rozwiązania.

– Dobra. Będę gotowa obalić te argumenty.

– Tak. – Całuję ją w czoło. – Będziesz.



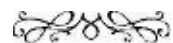
Kennedy wchodzi do sądu niczym generał. Wyobrażam sobie, że tak właśnie Joanna d'Arc weszła na pole bitwy, wyzywając Anglików.

Siadam w pierwszym rzędzie, zaraz za nią. Miejsce obok zajmuje

Connor Roth, agent biura szeryfa federalnego o zielonych oczach

i kamiennej twarzy, który wcześniej prowadził mnie do jej szpitalnej sali. Od tamtego czasu nie odstępuję jej na krok.

Kiedy Kennedy rozmawia cichym głosem z innymi oskarżycielami



siedzącymi przy stole, zerkam na Moriottiego znajdującego się po

drugiej stronie sali sądowej, zaraz obok drużyny swoich obrońców. Jest po czterdziestce, niski i krępy – bije od niego potęga – z czarnymi

zaczepionymi włosami, które są szpakowate na skroniach. Wygląda jak

typowy przestępca, choć ubrany jest we włoski garnitur, który kosztował

zapewne tyle co hipoteka niewielkiego domu. Śledzi Kennedy

wzrokiem, a kiedy zauważa jej temblak, parska śmiechem.

Wściekłość wrze we mnie niczym woda w piecu, przez co

zaczynam tracić rozum. Podnoszę się z miejsca, planując podejść do

niego i gołymi rękami urwać mu łeb. Szkoda że mój towarzysz staje mi na drodze.

Powstrzymuje mnie silny uchwyt na ramieniu.

– Nie rób tego, Batmanie – mruczy Roth. – Wyrzucenie z sali

i areszt, nim proces naprawdę się zacznie, nie przyniesie twojej

dziewczynie żadnych korzyści.

Jego słowa wytrącają mnie z krwawej fantazji, ponieważ ma rację.

To do bani, ale ma rację.

Trzy dni później mówię Kennedy, że po południu nie przyjdę do

sądu. Kiedy na jej twarzy maluje się zmartwienie, pospiesznie

wyjaśniam, że muszę się zająć własną robotą. To kłamstwo – Jake jest niesamowity na polu walki, a nawet na urlopie tacierzyńskim Stanton

nadrabia niektóre moje rzeczy z domu. Jednak to niewielka ściema –  
taka w słusznym celu.

Ponieważ gdyby wiedziała, gdzie się naprawdę wybieram, cień  
zmartwienia na jej twarzy przybrałby pełnowymiarowy grymas.



Współczesny mafioso różni się od niegdysiejszego Ala Capone  
w fedorze i ze strzelbami ukrytymi w futerale na skrzypce. Serial

*Rodzina Soprano* dość dobrze to pokazywał. Gdybyście nie wiedzieli, nigdy byście nie podejrzewali, że  
Carmine Bianco –

siedemdziesięcioletni ciemnowłosy facet o pomarszczonej twarzy,

siedzący przy stoliku na tyłach pobliskiej jadłodajni – jest najwyższym przywódcą bezwzględnej,  
obracającej milionami dolarów organizacji

kryminalistycznej, którego federalni już dwie dekady temu próbowali

oskarżyć o udział w zbrojnej grupie przestępczej. Wygląda jak czyjś

dziadek lub dobrotliwy wujaszek.

Z wyjątkiem dwóch wielkich ochroniarzy stojących za nim –

którzy pod kurtkami mają broń.

Jesteśmy jedynymi klientami w tym barze, więc kiedy wielkoludy

wychodzą do mnie przed jego stół, natychmiast unoszę ręce

i pozwalam się sprawdzić – obmacać, czy nie mam przy sobie broni lub podsłuchu. Przez całe życie  
ludzie opierali się na mojej młodzieńczej twarzy i chłopięcym wyglądzie i lekceważyli mnie przez to.  
Teraz

wykorzystuję tę przewagę, posyłając Carminowi uprzejmy uśmiech,

siadając naprzeciw niego.

– Panie Bianco, nazywam się Brent Mason. Dziękuję, że zgodził

się pan ze mną spotkać.

Odkłada przepelnioną składnikami kanapkę, żuje to, co ma

w ustach, po czym ociera twarz serwetką trzymaną w grubych palcach.

– Chcesz jedną?

Kręcę głową.

– Nie jestem głodny, dziękuję.

Jego spojrzenie jest ostre, błyszczy niczym stal sztyletu, gdy mnie

ocenia – po szarym garniturze, poluzowanym krawacie, roleksie.

– Nic o tobie nie wiem. Nie mam pojęcia, skąd ty wiesz o mnie, ale

mój człowiek od pieniędzy powiedział, że powinienem się z tobą

spotkać, więc oto jestem. Co możesz dla mnie zrobić, młody?

Jego doradca finansowy jest znajomym współpracownika jednego

z długoletnich brokerów mojej rodziny. Zadzwoiłem więc w kilka

miejsc, ponieważ nie ma znaczenia, czy jesteś gangsterem, czy księciem: pieniądze zawsze mają siłę przebicia.

– Chyba mógłbym powiedzieć, że mam dla pana... propozycję

biznesową – mówię ostrym, napiętym głosem. Nie wiem, czy to on zlecił

zamach na Kennedy lub czy to jego ludzie sprzątają ten bałagan. I nie mogę o to zapytać, bo i tak by mi nie powiedział. Mogę jedynie dobić z nim targu, ponieważ gdy chcesz pozbyć się węża, musisz go trafić

prosto w głowę.

Pochyla się nad stołem.

– Słucham.

– Gino Moriotti. Pracuje dla pana.

Usta starszego człowieka rozciągają się w uśmiechu.

– Rzekomo.

– Oczywiście. – Śmieję się.

– Co z nim?

Poważnieję.

– Ile jest dla pana wart? Ile może pan stracić, jeśli go zamkną na dobre? A nie mam żadnych wątpliwości, że zostanie wsadzony za kratki.

To przykuwa jego uwagę. Przygląda mi się w sposób, w który

robią to ludzie, którym się wydaje, że spotkali tę osobę już wcześniej, choć nie są w stanie sobie tego przypomnieć. Jakby starał się wymyślić, kim jestem. Domyślić się, o co mi chodzi.

Wykładam więc karty na stół.

– Prokurator prowadząca w tej sprawie...

– Ta blondyna – wytyka, przytakując w zrozumieniu.

– Blondyna – potwierdzam.

– Fajna.

– Tak, jest fajna. Jest również dla mnie bardzo ważna. Po

zakończeniu tej sprawy zamierzam zabrać ją z powrotem do

Waszyngtonu. Poślubić, mieć z nią urocze dzieciaki i się z nią zestarzeć.

A nie mam zamiaru robić tego, nieustannie oglądając się za siebie, martwiąc się, że ktoś z pana organizacji będzie próbował ją dopaść. –

Pozwalam mu się nad tym zastanowić, po czym dodaję: – Mam

pieniądze. Mam nieruchomości, których nie kupiłem, samochody,

dywany, antyki i biżuterię, a nic z tego nie będzie miało dla mnie

znaczenia, jeśli nie będę miał jej. Zatem proszę podać sumę.

Wpatrujemy się w siebie.

Kiedy nadal milczy, dodaję cichym, choć nieco groźnym głosem:

– Proszę pomyśleć o tym jak o dużej, dorodnej marchewce.

Podejrzewam, że więcej rzeczy da się załatwić marchewką niż kijem.

Jednak uprzedzam, że mój kij jest śmiercionośny i nie będę bał się go użyć.

Całym jego ciałem wstrząsa śmiech, aż stół od niego drży.

– Tak, och, posłuchaj, chyba nie cenisz własnych jaj, co? Brzmiało mi to jak groźba. – Zwraca się do jednego z ogrów stojących za nim: –

Wierzysz temu dzieciakowi, Tony?

Tony jednak nie jest przekonany.

– Nie wierzę, panie Bianco.

– Chyba źle cię usłyszałem, co... Brent?

Niczym od atakującego węża bije od niego zabójcza energia,

paruje z jego sylwetki jak z wrzącego garnka.

Ale mam to gdzieś – ponieważ odrobiłem zadanie domowe.

Pochyliam się i patrzę mu prosto w oczy.

– Jesteś żonaty, prawda, Carmine? Z tą samą kobietą od

pięćdziesięciu lat. Zakochałeś się w sąsiadce, przyjaciółce z dzieciństwa.

A ta pani prokurator? Jest moja. Więc... zapytaj sam siebie, czy istnieje coś, czego byś nie zrobił, by zapewnić żonie bezpieczeństwo. Czy jest jakaś zbrodnia, której byś nie popełnił, jakiś paragraf, którego byś nie złamał. Wtedy dopiero powiedz... czy to groźba.

W pomieszczeniu zapada gęsta, ciężka cisza.

Po chwili Bianco bierze kanapkę i odgryza kolejny kęs. Żuje, po

czym mówi:

– Podobasz mi się, młody.

Wzruszam ramionami.

– Większości ludzi się podobam.



Bierze kolejny gryz.

– Obstawiasz coś czasem?

– Niekiedy.

Kiwa głową i przełyka.

– Obstawiając... musisz spróbować przechylić szalę zwycięstwa na

swoją korzyść. Podmienić kości, wyważyć koło ruletki, policzyć karty.

Jednak gdy grasz w ten sposób i przegrywasz, to koniec. Podwijasz pod siebie ogon i odchodzisz od stołu. Próba oszukania krupiera tylko

wkurza kasyno. Sprowadza niepotrzebną uwagę, wiesz o czym mówię?

Jestem przekonany, że tak.

Bianco opiera się na krześle, przyglądając mi się.

– Więc... kiedy Gino przestanie grać, będziesz mógł poślubić

swoją uroczą dziewczynę, narobić z nią gromadkę niebieskookich

małych prawników i nie trudzić się przy tym oglądaniem za siebie. Nie będzie nas tam.

Wyrok zapada trzy tygodnie później. Stoję za Kennedy, gdy

przewodniczący ławy przysięgłych go odczytuje. Jestem pierwszą osobą, którą ściska pani prokurator, gdy Gino Moriotti zostaje uznany za

winnego wszystkich zarzucanych mu czynów.

Idziemy z Kennedy, jak i prokuratorami oraz agentami pracującymi

nad tą sprawą uczcić zwycięstwo. Pijemy wódkę. Wiele wódki. To

zajebista noc.

Niedługo później pakuję wszystkie rzeczy mojej wojowniczej

księżniczki i przenoszę jej dom do mojego zamku.

# EPILOG

*Pół roku później*

– Witamy na zjeździe absolwentów liceum Świętego Artura

rocznika dwa tysiące!

Spotkanie absolwentów szkoły średniej – jedna z najbardziej

irytujących imprez, na jaką kiedykolwiek mnie zaproszono. Musisz się wystroić, by spotkać się z ludźmi, których nie lubisz wystarczająco, by utrzymywać z nimi kontakt piętnaście lat po ukończeniu nauki.

Mężczyźni martwią się, czy ktokolwiek zauważy, jak bardzo wyłysieli, a odpowiedź brzmi: tak. Kobiety przejmują się jedynie, czy wyglądają tak samo, jak wtedy, gdy miały osiemnaście lat. Najnowsze wieści: nie.

Jeśli jednak tak jest, dzieje się to dzięki pieprzonej chemii pompowanej w żyły, którą powinny natychmiast odstawić.

Vicki i Brian odmówili przyjazdu, wykręcając się argumentem nie

do podważenia: dziećmi. Kennedy też nie chciała jechać, ale po mojej perswazji – i dwóch orgazmach – w końcu się poddała.

Myślę, że przyda jej się spotkanie z duchami przeszłości, żeby

mogła zobaczyć, że nawet gnojki dorastają, a co ważniejsze starzeją się.

Mówiła, że tego nie potrzebuje, ale uważam, że w głębi duszy wciąż ma otwartą ranę. Powrót tutaj wraz ze mną może ją w końcu zamknąć.

I, szczerze mówiąc, chcę tu z nią być. Chcę się nią chwalić – nią

i trzykaratowym brylantem w pierścionku zaręczynowym, który

podarowałem jej w zeszłym miesiącu. Ale nie dlatego, że jest teraz

piękna. Chciałbym się z nią pokazać, nawet gdyby wciąż miała okulary, aparat na zębach i ubrana była w luźny sweter. Ponieważ jestem z niej dumny – nie tylko z tego jak wygląda.

Wszystko jak do tej pory idzie po mojej myśli – mam też

dodatkowy, ukryty motyw przyjazdu.

Wiwaty dochodzą z głośników, gdy wraz z Kennedy wchodzimy

na salę gimnastyczną, trzymając się za ręce. Ponieważ nasza szkoła była dość kosztowna, można by się

spodziewać, że przyjęcie będzie

eleganckie. Z klasą.

Jednak nie – to typowe serpentyny, przygaszone światła i świece

na stołach, nieliczne światła stroboskopowe nad parkietem i kiepski DJ.

Bierzemy z baru coś do picia i spacerujemy wokół – witam się

z kolegami z dawnej drużyny lacrosse, nawet rozmawiamy przez chwilę

z pieprzonym Williamem Penderghastem. Jest teraz bogatym prezesem,

za żonę ma modelkę Victorię Secret. Cieszę się.

Mimo to i tak wiem, że mam lepiej.

– Cholera, Brent Mason! Chodź tu, ty przystojny bydlaku!

Zostaję zaczepiony przez opaloną blondynkę w błyszczącej

sukience, skropioną zbyt dużą ilością perfum Chanel No. 5. Kiedy się odsuwa, zauważam, że to moja niegdysiejsza dziewczyna – Cashmere

Champlaine. Byłoby miło powiedzieć, że dostała to, na co zasłużyła – że czas nie był łaskawy dla twarzy i ciała, które miało dla niej tak wielką wartość. Jednak nie byłaby to prawda. Nadal jest piękna, ma gustownie wymodelowaną za pomocą medycyny estetycznej twarz i wyćwiczone

ciało bez widocznego tłuszczu. Słyszałem, że kilka lat temu wyszła za mąż za zawodowego futbolistę, po czym się z nim rozwiódła. I wyszła za jego kolegę z drużyny.

Jej usta rozciąga agresywny uśmiech, ujawniając błyszczące białe

zębki. Klepie mnie po piersi.

– Jak tam, nieznajomy?

– Dobrze, Cazz – odpowiadam chłodno. – A u ciebie?

– Cudownie! Prowadzę własną firmę modelingową w Los Angeles!

Wszystkie te dziewczyny myślą, że będą następną Giselle, chociaż

większość nie dostałaby się do reklamy kremu na hemoroidy bez

wcześniejszego obciążenia fotografowi. A ty co porabiasz?

W tej właśnie chwili przechodzę do ukrytych motywów mojego



przyjazdu.

– Ostatnio się zaręczyłem.

Jej uśmiech staje się sztuczny, spojrzenie się wyostrza.

– Serio? Fajnie.

– Tak. – Przyciągam do siebie stojącą za mną Kennedy. – Moja

narieczona, Kennedy Randolph. Pamiętasz ją, prawda, Cazz?

Jej pozory zadowolenia ulatniają się, pozostawiając na twarzy

grymas.

– Witaj Cashmere. – Kennedy przygląda jej się oczami twardymi

jak topaz. Podobny wyraz twarzy przybiera w sądzie. Jest nieustraszona.

– Chyba sobie jaja robisz! – skrzeczy na mnie Cashmere. –

Wiedziała! Zawsze wiedziała, że na nią lecisz! Niewiarygodne!

Mój głos jest spokojny, pobrzmiwa w nim pozorna skrucha.

– Tak, masz rację. Zawsze tak było. Chociaż muszę się do czegoś

przyznać.

– Do czego?

– Zdradzałem cię, Cashmere. Przez całą szkołę średnią. Wszystkie

te wieczory, gdy mówiłem, że zostaję do późna na treningu, albo kiedy bolała mnie noga, albo gdy musiałem się uczyć, tak naprawdę byłem

wtedy z Kennedy. – Patrzę jej prosto w oczy, w których kipi wściekłość.

– To zawsze była ona. Zawsze.

Gdy na jej twarzy pojawia się oszołomienie, wiem, że mi wierzy.

Że moje słowa trafiły ją prosto w serce. I ostatni smok Kennedy został

skrócony o głowę.

– Mówisz... poważnie?

– Całkowicie. – Wzruszam ramionami. – Ale to przecież nic

takiego, prawda? Dzieciaki są podłe. Dbają jedynie o siebie, nie

obchodzi ich to, jak bardzo mogą kogoś skrzywdzić. Bez urazy, prawda?

Cashmere przełyka cokolwiek miała powiedzieć, ponieważ

jesteśmy otoczeni jej dawnymi koleżankami, a każda z nich słyszała, co powiedziałem. Zatem kobieta stara się, jak może, by wyjść z tego

z twarzą.

Uśmiecha się sztywno.

– Tak. Bez urazy.

– Super. – Głaszczę Kennedy po włosach. – Och, to dobra

piosenka. Wybaczcie, idę zatańczyć z moją narzeczoną. Na razie, Cazz.

Odwracam się i wyprowadzam stamtąd Kennedy.

Kiedy jesteśmy na parkiecie, a ona w moich ramionach, uśmiecha

się do mnie.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Przysuwam usta do jej ucha.

– Nie mogę cofnąć czasu i zmienić dla ciebie tych lat, ale mogę

zmienić to, jak ona je będzie pamiętała. Nie chciałem, by myślała, że jest lepsza od ciebie, nigdy taka nie była.

Kennedy wzdycha zadowolona i jednocześnie wdzięczna.

– Dziękuję.

Opiera głowę na mojej piersi, gdy przez chwilę tańczymy. Nagle

unoszą ją i mówi podekscytowana:

– Hej, wiesz, co powinniśmy zrobić?

– No co?

– Powinniśmy pojechać do tego punktu widokowego nad miastem.

– Ścisza głos do uwodzicielskiego. Droczy się. – Moglibyśmy...

zrobić... to, co kiedyś...

Pocieram nosem o jej nos.

– Tym razem pozwolisz mi iść na całość?

Przygryza wargę, jakby musiała się nad tym zastanowić.

– Nie wiem... Jestem porządną dziewczyną.

Przesuwam dłonie na jej biodra i ściskam.

– Ale jest fajnie, gdy nie jesteś.

I seksownie. Jest cholernie seksowna, gdy jest niegrzeczna.

Kennedy odchyła głowę, jej oczy błyszczą. Dla mnie.

– Jeśli się postarasz, atmosfera może stać się gorąca.

Słodko. Mogę się postarać.

– Wiesz, co sobie uświadomiłam? – pyta.

Przesuwam ręce do tyłu i chwytam ją za tyłek.

– Co?

– Nigdy nie nadałeś mi przezwiska.

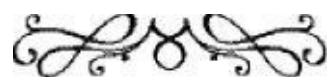
Całuję ją czule, obiecując jednocześnie więcej.

– Nadałem. Najlepsze na świecie, a za kilka miesięcy będę używał

go przy każdej nadążającej się okazji.

Przechyliła głowę na bok, próbując się domyślić, jednak w końcu się poddaje.

– A jak ono brzmi?



Unoszę jej lewą rękę do ust i całuję w knykcie, gdzie znajduje się pierścionek zaręczynowy. Gdzie niedługo znajdzie się obrączka.

– Żona.

## PODZIĘKOWANIA

Zawsze lubiłam bajki. Ich ponadczasową magię, niewinną prostotę i cudowną ideę, że miłość jest w stanie pokonać wszelkie przeszkody – pobić złoczyńcę, uratować księżniczkę i przełamać wszelkie zaklęcia.

Zaczęłam pisać *Ułaskawienie* jak bajkę. Prostą historię o przystojnym księciu, księżniczce o złotym sercu i ich słodkiej miłości.

Stąd jednak opowieść ewoluowała, a jej rozwój okazał się naprawdę zabawny. Teraz jest wesołą i namiętną wojną charakterów – historią opowiadającą o tym, jak młodzięcza miłość może przerodzić się w coś silniejszego i nierozzerwalnego.

Uwielbiam tę książkę. Kocham postacie – ich upór, dowcip,

a najbardziej chyba śmiech. Mam nadzieję, że Wy również ich

uwielbiacie, a ich historia pozostawi Was z ciepłym uczuciem satysfakcji i wiedzą, że prawdziwa miłość naprawdę jest w stanie pokonać

wszystkie przeciwności, a marzenie o szczęśliwym zakończeniu jest na wyciągnięcie ręki nas wszystkich.

Jestem wdzięczna, mogąc pracować nad tą serią z najlepszymi,

najbardziej utalentowanymi ludźmi. Dziękuję redaktorce Micki Nuding –

za pomoc w dostrzeżeniu, w jaki sposób niemożliwe przekształcić

w całkowicie wykonalne. Burza mózgów z Tobą jest najlepsza! Dziękuję mojej agentce Amy Tannenbaum z agencji Jane Rotrosen – za to, że

zawsze mnie wspierasz. Mówiłam to już wcześniej, ale naprawdę bez

Ciebie bym zginęła!

Dziękuję moim promotorkom Kristin Dwyer i Ninie Bocci –

nieskończenie Was obie uwielbiam za zabawę przy pracy i za to, że

jesteście takie niesamowite. Dziękuję mojej asystentce Juliet Fowler za pilnowanie wszystkiego, za podsuwanie innowacyjnych pomysłów

i niesamowitą energię. Wielkie podziękowania dla Sullivan & Partners za nienaganną kampanię reklamową *Skazania*. Równie wielkie wyrazy wdzięczności Molly O'Brien za niestrudzoną pracę i wsparcie.

Podziękowania dla wszystkich z Gallery Books, wliczając w to

Sarah Leiberman, Liz Psaltis, Paula O'Hallorana, wydawców: Jennifer

Bergstrom i Louise Burke – to dla mnie radość i honor, że mogę z Wami pracować.

Chciałabym również wyrazić podziw i uwielbienie dla Katy Evans,

Jennifer Probst, Kyry Davis, Alice Clayton i Christiny Lauren – dziękuję za Wasze uśmiechy i wspaniałe wsparcie!

Jestem też bardzo wdzięczna blogerom, którzy recenzują moje

książki i którzy tworzą żywą i wspaniałą społeczność czytelników

romansów.

Ponownie podziękowania dla Czytelników – dziękuję, że trwacie

ze mną w tej podróży, że kochacie moje postacie, bawicie się i śmiejecie z ich wybryków równie mocno jak ja! Uwielbiam Was wszystkich!

Dziękuję również mojej rodzinie za cierpliwość, radość i miłość –

jesteście moim własnym żywym romanssem. Buziaki.

# O AUTORCE

Emma Chase jest autorką bestsellerów z list „The New York

Timesa” i „USA Today”. Zaczynała, pisząc *Zaplątanych*, za których otrzymała nagrodę Goodreads Choice Awards za debiut roku 2013, po

czym wydała: *Zakręconych*, *Zniewolonych* i *Związanych*, jak również *Unieważnienie*, *Skazanie* i *Ułaskawienie*. Mieszka z mężem i dziećmi



w New Jersey. Możecie śledzić ją na Twitterze i Facebooku lub

odwiedzić stronę [www.emmachase.net](http://www.emmachase.net).

## SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

O AUTORCE

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: Appealed

Copyright © 2016 by Emma Chase

Copyright for the Polish edition © 2017 by Wydawnictwo FILIA

Gallery Books

An Imprint of Simon & Schuster, Inc.

1230 Avenue of the Americas

New York, NY 10020

First Gallery Books trade paperback edition January 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany

w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy.

Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania

za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2017

Projekt okładki: Olga Reszelska

Zdjęcia na okładce: Lauren Burke/Getty Images

macroworld/Getty Images

Przekład: Katarzyna Agnieszka Dyrek

Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

**FILIA**

eISBN: 978-83-8075-207-8

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilialia.pl

kontakt@wydawnictwofilialia.pl